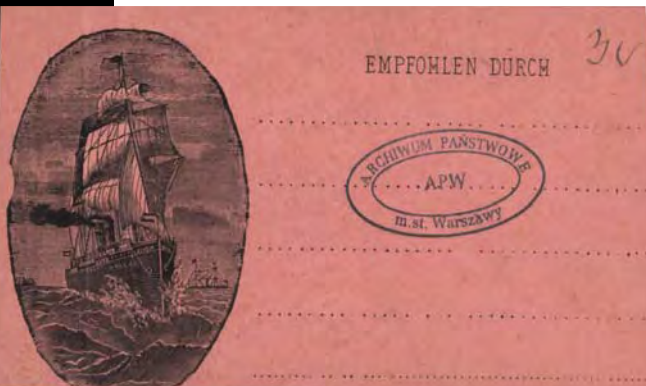


# Wszyscy jesteśmy migrantami

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci





Wszyscy  
jesteśmy migrantami

**WYSTAWA:**

Wszyscy jesteśmy migrantami.

Listy polskich emigrantów

z Ameryki z końca XIX wieku

(24.09.–27.11.2016 / Centrum Kultury ZAMEK)

Kuratorka: Natalia Bloch

Współpraca, projekt ekspozycji,

koordynacja, produkcja: Wojciech Luchowski

Autor plakatu i identyfikacji wizualnej:

Marcin Markowski

**PARTNERZY:**

Archiwum Państwowe w Warszawie

Muzeum Etnograficzne w Toruniu

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej

UAM w Poznaniu

Centrum Badań Migracyjnych UAM w Poznaniu

Specjalne podziękowania dla prof. Marcina Kuli

oraz Andrzeja Maszewskiego

**BADANIA TERENOWE:**

(Od)zyskiwanie pamięci migracyjnej

(maj/czerwiec 2016)

Koncepcja i opieka merytoryczna: Natalia Bloch

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej

UAM w Poznaniu

Centrum Badań Migracyjnych UAM w Poznaniu

**KSIĄŻKA:**

Redakcja: Natalia Bloch

Korekta: Karol Francuzik

Projekt: Marcin Markowski

Koordinacja: Wojciech Luchowski

Druk: [www.drukma.pl](http://www.drukma.pl)

Wydawca: Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

Współpraca: Instytut Etnologii

i Antropologii Kulturowej UAM w Poznaniu

i Centrum Badań Migracyjnych UAM w Poznaniu

ISBN 978-83-947011-0-9

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego**

Zrealizowano ze środków  
Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

CENTRUM  
KULTURY  
ZAMEK 

**ORGANIZATOR:**

Centrum Kultury ZAMEK

ul. Św. Marcin 80/82

61-809 Poznań

© Centrum Kultury ZAMEK 2016

Wydanie I

Poznań 2016



# Wszyscy jesteśmy migrantami

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

pod red.  
Natalii Bloch

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

6

---

## Wciąż migrujemy

---

Od momentu pojawienia się w Europie – blisko nas – ostatniej fali migracyjnej, a właściwie zjawiska nazywanego kryzysem uchodźczym, w CK ZAMEK zastanawialiśmy się, jak możemy się zaangażować w działania pozwalające lepiej zrozumieć to, co się wydarza. Co może zrobić publiczna instytucja kultury, by oswoić lęk, który wywołuje w nas ogromna fala uchodźców szukających pomocy i bezpiecznego miejsca? Czy możemy wiarygodnie zabrać głos w pełnej napięć i agresji debacie publicznej, toczącej się wokół tematu uchodźców, używając narzędzi, którymi dysponujemy? Używając języka kultury, nie publicystyki, unikając uproszczeń i niebezpiecznie wykluczającej demagogii? Uznaliśmy, że języki, którymi staramy się mówić o świecie, osuwając to zjawisko, mogą się dobrze sprawdzić.

Hasło *Wszyscy jesteście migrantami* pojawiło się po raz pierwszy w roku 2015 na organizowanym przez nas festiwalu muzycznym Ethno Port Poznań. Na wielkich banerach zawieszonych po obu stronach dużej festiwalowej sceny, na której występowały zespoły z różnych stron świata, widzowie festiwalu zobaczyli zdjęcia ciemnoskórej młodej kobiety ubranej w tradycyjny bamburski strój, a pod nimi hasło mówiące o tym, że każdy z nas ma swoją migracyjną historię. Wszyscy kiedyś skądś przybyliśmy i wciąż migrujemy. Ten symboliczny gest był jednym z elementów szerszego programu: spotkań, dyskusji, pokazów filmowych, działań artystycznych – ważnej części tego dużego muzycznego festiwalu.

Pomysłodawczynią programu, realizowanego pod hasłem *Wszyscy jesteście migrantami*, była dr Natalia Bloch z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej uAM, a działanie to stało się początkiem niezwykle dla nas interesującej współpracy.

Podczas wspólnych spotkań i rozmów pojawił się pomysł wystawy *Wszyscy jesteśmy migrantami* i towarzyszącej jej publikacji. Realizacja wystawy i szerokiego programu edukacyjnego stała się dla nas ogromnie ważnym doświadczeniem i istotną próbą odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób publiczna instytucja kultury może wziąć udział w debacie o tak istotnym współcześnie zjawisku, którym jest migracja.

Chciałabym bardzo podziękować dr Natalii Bloch za pomysł i zaangażowanie w realizację bardzo ważnego dla CK ZAMEK przedsięwzięcia. Dziękuję także Archiwum Państwowemu w Warszawie za wypożyczenie listów polskich emigrantów oraz Muzeum Etnograficznemu im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu, które udostępniło nam przedmioty ilustrujące narrację wystawy. Instytutowi Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Centrum Badań Migracyjnych UAM dziękuję za wsparcie merytoryczne i realizację badań terenowych poszerzających współczesny kontekst wystawy. Dziękuję wreszcie wszystkim osobom ze wspólnego zespołu Zamku za ogromne zaangażowanie w realizację projektu.

Urzeczywistnienie wydarzenia *Wszyscy jesteśmy migrantami* mobilizuje nas do podejmowania kolejnych wyzwań, które codziennie przynosi współczesny świat.



migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

0 1

Spis treści

s. 13	WSTĘP – Natalia Bloch	s. 44	CZĘŚĆ 2. ESEJE: Polscy e/imigranci w Amerykach ▼ Listy nie doszły – Marcin Kula  Ziemia emigrantów. Historia migracyjna ziemi dobrzyńskiej – Piotr Wołyński  Ze wspólnych dziejów migracji Niemców, Polaków i Żydów. Zamorskie migracje w drugiej połowie XIX i na początku XX wieku – Dorota Prasałowicz	Między Teksasem a Greenpointem. Różne oblicza polskiej imigracji w Stanach Zjednoczonych – Aleksander Posern-Zieliński  Pierogi z fizonem. Potomkowie polskich imigrantów w południowobrazylij- skiej wsi – Karolina Bielenin-Lenczowska  Podróż sentymalna. Historia naszej polskiej rodziny z Ameryki – Nancy Canavera
s. 24	CZĘŚĆ 1. WYSTAWA: Wszyscy jesteśmy migrantami – Natalia Bloch  • My, migranci • Wiek migracji • Listy emigrantów • (Nie)oczywiste powody • Droga cierniowa • Ziemia obiecana • Robota w 3D • Bliskość na odległość • Pamięć (do) rzeczy • Podwójne domy • Sami swoi	s. 153	CZĘŚĆ 3. REPORTAŻE: W poszukiwaniu pamięci migracyjnej ▼ Spóźnieni o 125 lat listonosze. Pamięć o emigrantach w ich rodzinnych wioskach – Natalia Bloch  Przejęciowie zaćmienie – Michalina Januszewska  Bose Antki – Alexandra Staniewska  Wszystkie stany emigracji – Katarzyna Schinkel	Rodzina wędrująca – Piotr Zalewski  Jak z filmu – Dominika Szelażek  Dworskie skrawki – Agata Stasik  To nie moja Ameryka – Ewelina Nowakowska  Polak, katolik, Amerykan – Dawid Barbarzak  Domy za dolary – Marcin Mielewczyk  Własny kawałek Ameryki – Joanna Łopion  Nekrohistorie, czyli spotkania w międzyświatach – Zbigniew Szmyt  Mobilne domy – Zofia Kędziora  Sprawy przeważnie miejscowe – Zofia Lamprecht

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

2 1

Wstęp



WSTĘP  
NATALIA BLOCH

**W roku 2012, w ramach zajęć zatytułowanych *Narracje migrantów*, pracowałam ze studentkami i studentami z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu nad niedostarczoną korespondencją zgromadzoną w zbiorze *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890—1891* w opracowaniu Witolda Kuli, Niny Assorodobraj-Kuli i Marcina Kuli. Staraliśmy się, przy pomocy analizy tematycznej treści, sprawdzić, na ile doświadczenie migrantów z końca XIX wieku odbiegało od tego, jak doświadczały emigracji osoby, którzy migrowały 50, a następnie 100 lat później. Okazało się, że pomimo odmiennych uwarunkowań czasoprzestrzennych (historycznych i geograficznych) zaskakująco wiele motywów było wspólnych. Dla mnie osobiście było to cenne doświadczenie — jako antropolożka zajmująca się mobilnością pracującą z migrantami i uchodźcami „tu i teraz”, podczas gdy listy dały mi wgląd w doświadczenie migracyjne sprzed 125 lat.**

**Gdy trzy lata później stałam się — tak czynną, jak i bierną — uczestniczką debaty publicznej na temat tzw. kryzysu uchodźczego, uderzyło mnie, że mówiąc o uchodźcach i migrantach, zawsze mamy na myśli Innego, zapominamy o naszej własnej, jakże złożonej i burzliwej, historii migracyjnej.**

**Te dwa doświadczenia stały się inspiracją dla projektu *Wszyscy jesteśmy migrantami*, na który złożyła się wystawa listów, jakie pod koniec XIX wieku stali do bliskich pozostawionych w podzielonej zaborami Polsce emigranci ze Stanów Zjednoczonych i Brazylii, badania terenowe zrealizowane w wioskach pochodzenia tych emigrantów, cykl spotkań towarzyszących oraz program edukacyjny. Niniejsza książka to ostatni, podsumowujący element całego projektu.**

**Z jednej strony, jego celem było opowiedzenie o nas jako migrantach, którzy trwale zapisali się na kartach dziejów nowoczesnych migracji — (od)zyskanie naszej własnej pamięci migracyjnej. Przy czym nie chodziło o polityczne emigracje elit, które lepiej i chętniej pamiętamy (bo też stanowią one część szkolnego *curriculum*), ale o masowe, zamorskie wyjazdy zwykłych ludzi „za chlebem”. Być może zainspiruje to nas do poszukania historii migracyjnych we własnych rodzinach. Bo przecież, gdyby to nasz pradziadek był jednym z 2,5 miliona osób, które wyruszyły z terenów podzielonej zaborami Polski za ocean, dziś byłibyśmy Amerykanami. Z drugiej strony, projekt miał na celu**

opowiedzenie o uniwersalności doświadczenia migracyjnego: o splocie ekonomicznych i politycznych przyczyn stojących za decyzją o wyjeździe, obawach z nim związanych, byciu zdanym na tych, którzy na ludzkiej desperacji robią interesy, emocjach wywołanych rozłąką, próbach utrzymywania bliskości na odległość, szukaniu oparcia wśród swoich na emigracji, przywiązaniu do przedmiotów. Do wielu przeżyć i uczuć wyrażonych w listach mogą się odnieść ci wszyscy spośród nas, którzy kiedykolwiek żyli i pracowali zagranicą, ale również osoby, które dziś widzą w Europie — jak kiedyś my w Ameryce — szansę na bezpieczne, lepsze życie.

Niniejsza książka składa się z trzech części. Część pierwsza zawiera teksty, które złożyły się na wystawę *Wszyscy jesteśmy migrantami. Listy polskich emigrantów z Ameryki z końca XIX wieku* — obok fragmentów samych listów, ich zarekwirowanej zawartości (druków reklamowych linii okrętowych, powiadomień o wystawieniu biletu na statek, przekazów pieniężnych itp.), fotografii z amerykańskich archiwów i przedmiotów, zarówno tych sprzed ponad 100 lat, jak i współczesnych. Trzy pierwsze teksty mają charakter wprowadzający: o idei całego przedsięwzięcia, o znaczeniu XIX wieku dla nowoczesnych migracji i o tragicznych losach listów, które — zatrzymane przez carską cenzurę — nigdy nie dotarły do adresatów, ale wskutek szczęśliwego przypadku zostały odnalezione i ocalone.

**Kolejne osiem tekstów to miniprzewodniki po poszczególnych wątkach tematycznych, które powracają w większości listów i wokół których cała wystawa została skonstruowana. Same listy ukryliśmy w szufladach, pragnąc uczynić ekspozycję intymną, tak jak intymną czynnością jest czytanie prywatnej korespondencji. Jej autorzy nie mogli przecież przypuszczać, że odbiorcą ich słów będzie ktokolwiek poza bliskimi, do których były skierowane. Tym samym zaprosiliśmy odwiedzających do zajrzenia do wnętrza szuflad i przekonania się, jakie opowieści kryją.**

**Część druga książki zawiera eseje poświęcone zarówno historii zamorskich emigracji z terenów podzielonej zaborami Polski, jak i współczesności potomków emigrantów i imigrantów. Tej właśnie tematyki dotyczyły spotkania towarzyszące wystawie. Historyk Marcin Kula, którego bardzo osobisty esej otwiera tę część, opowiada niezwykłą historię ocalenia listów z wojennej pożogi przez swojego ojca, Witolda Kulę, oraz o rodzinnej pracy nad tym materiałem, którą wraz z mamą, Niną Assorodobraj-Kulą, zaordynowali, żeby odciągnąć myśli ojca od przewlekłej choroby. Piotr Wołyński, historyk uczący w szkole podstawowej w Węgiersku — wiosce położonej na terenie, z którego pochodzili autorzy niedostarczonych listów — pisze o emigracyjnej i imigracyjnej historii ziemi dobrzyńskiej. Socjolożka Dorota Praszalowicz z Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych Uniwersytetu**

**Jagiellońskiego zarysowuje kontekst emigracji do Stanów Zjednoczonych od drugiej połowy XIX wieku do początku wieku XX, wychodząc przy tym poza narodową optykę i ukazując, jak emigracje Polaków były nieodłącznie związane z wyjazdami Niemców i Żydów i budowaniem wspólnego życia w Nowym Świecie. Antropolog Aleksander Posern-Zieliński, który w latach 70. XX wieku prowadził badania wśród Polonii amerykańskiej w Stanach Zjednoczonych, pokazuje w swoim eseju, jak bardzo niejednorodna jest to grupa. Z kolei antropolożka Karolina Bielenin-Lenczowska, która prowadzi badania etnograficzne w Brazylii, pisze o tym, kim są i jak żyją dziś potomkowie polskich imigrantów z końca XIX wieku w tym kraju, koncentrując się na kwestiach języka i jedzenia. Tę część książki zamyka osobisty esej Nancy Canavery, Amerykanki, której dziadkowie wyemigrowali do Chicago w 1906 roku. Nancy opowiada w nim o swojej pierwszej w życiu podróży do Polski, odbytej w roku 2016 w poszukiwaniu śladów polskiej części rodziny.**

**Ostatnia tekstowa część książki to zbiór 13 reportaży, w których prezentujemy rezultaty badań terenowych, jakie w roku 2016 zrealizowaliśmy ze studentkami, studentami i doktorantkami z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM w wioskach pochodzenia autorów niedostarczonych listów. Wyruszyliśmy tam w roli spóźnionych listonoszy, aby odszukać potomków adresatów, sprawdzić,**

czy podzielone oceanem i interwencją cenzury rodziny kiedykolwiek się połączyły. Już w terenie natrafiliśmy na wiele innych historii migracyjnych, nad którymi pracowaliśmy w ramach zajęć zatytułowanych *(Od)-zyskiwanie pamięci migracyjnej*. Część tę otwiera tekst mojego autorstwa, w którym opowiadam o badaniach, ich kulisach i samych reportażach.

Projekt *Wszyscy jesteście migrantami* został zrealizowany przez Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu jesienią 2016 roku (23.09—27.11) przy dofinansowaniu ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jego partnerami byli: Archiwum Państwowe w Warszawie (które wypożyczyło nam listy wraz z ich zarekwirowaną zawartością), Muzeum Etnograficzne im. Marii Znamierowskiej-Prüfferowej w Toruniu (które wsparło nas artefaktami i fotografiami z regionu pochodzenia emigrantów), Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Centrum Badań Migracyjnych UAM (moje macierzyste instytucje, które sfinansowały badania terenowe w wioskach pochodzenia emigrantów). Wszystkim tym instytucjom, ich kierownictwu oraz pracownikom bezpośrednio zaangażowanym w realizację jako kuratorka projektu jestem wielce wdzięczna.

Projekt ten nie doszedłby do skutku, gdyby nie dwie osoby pracujące na co dzień w Centrum Kultury ZAMEK. Wojciech Luchowski stworzył — konceptu-

alnie i materialnie — aranżację ekspozycji. A było to spore wyzwanie: zrobić wystawę, rzecz w swej istocie wizualną, z tekstu. Podołał temu zadaniu wyśmienicie dzięki umiejętnemu budowaniu intymności w kontakcie z listami, pozornej ascetyczności przestrzeni i puszczaniu co jakiś czas oka do widzów/czytelników (śliwki w czekoladzie ukryte w jednej z szuflad rozchodziły się w okamgnieniu, również wonny tytoń miał swoich amatorów). Praca z nim była niezwykle inspirującym doświadczeniem. Z kolei Bartosz Wiśniewski stworzył program edukacyjny towarzyszący wystawie. Dzięki niemu mogliśmy dowiedzieć się o historii imigracyjnej — i będącej jej następstwem różnorodności — Poznania i Wielkopolski oraz wziąć udział w kursie poszukiwania własnych korzeni, własnych rodzinnych historii migracyjnych. Przede wszystkim jednak Bartek przygotował i prowadził lekcje *Świat migracji*, w ramach których uczniowie szkół gimnazjalnych i licealnych mogli nie tylko obejrzeć wystawę, ale też uzyskać podstawową wiedzę o rodzajach, przyczynach i skutkach migracji oraz formach integracji społecznej. Lekcje te cieszyły się bardzo dużym powodzeniem, dawały bowiem nauczycielom szansę na poruszenie bieżącego i często niełatwego dla nich tematu migracji przy kompetentnym wsparciu. Spotkaliśmy się z Bartkiem, gdy jeszcze był moim studentem w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UAM i uczestnikiem prowadzonych przeze mnie zajęć

z antropologii migracji. Tacy absolwenci dają wiarę w to, że nasza praca jako nauczycieli akademickich nie idzie na marne.

Projekt *Wszyscy jesteśmy migrantami* powstał przy wsparciu i zaangażowaniu wielu osób, którym jestem niezmiernie wdzięczna. W pierwszej kolejności chciałam podziękować dyrektor Centrum Kultury ZAMEK, Annie Hryniewieckiej, za nieustającą wrażliwość na tematykę migracyjną i wielki entuzjazm dla projektu. To dzięki jej otwartości ZAMEK stał się gospodarzem całego przedsięwzięcia. Andrzejowi Maszewskiemu, który zaprosił mnie wraz z pomysłem wystawy do ZAMKU — gdyby nie on, to wszystko by się nie wydarzyło. To również dzięki niemu zainicjowana została trwająca od kilku lat współpraca pomiędzy ZAMKIEM a Centrum Badań Migracyjnych UAM. Dziękuję wszystkim pracownikom ZAMKU, którzy zaangażowali swój czas i energię w realizację projektu, w tym stażystce Darii Nowickiej za mozolne przepisywanie listów. Dziękuję dr. Marcinowi Markowskiemu za intrygujące opracowanie graficzne projektu. Prof. Marcinowi Kuli za nieustające wsparcie dla całej idei, porywające wystąpienie podczas wernisazu oraz konsultacje merytoryczne — za te ostatnie jestem również wdzięczna prof. Michałowi Buchowskiemu, dyrektorowi Centrum Badań Migracyjnych i Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz dr. Łukaszowi Kaczmarkowi z tego



samego Instytutu. Dziękuję pięknie wszystkim gościom, którzy zgodzili się uświetnić swoją obecnością spotkania towarzyszące wystawie — Małgorzacie Szejnert (autorce *Wyspy klucz*, reportażu o największej w historii Stanów Zjednoczonych stacji imigracyjnej na Ellis Island), prof. Dorocie Prasałowicz, dr Elżbiecie M. Goździak (badaczce ze Stanów Zjednoczonych, której ponad 30-letnie doświadczenie w pracy nad zagadnieniami migracji dało nam ciekawą perspektywę z drugiej strony oceanu na tematykę projektu), dr hab. Karolinie Bielenin-Lenczowskiej, Witoldowi Przewoźnemu, dr Anicie Napierale, dr. Zbigniewowi Szmytowi i prowadzącej jedno ze spotkań dr Małgorzacie Praczyk. Wielkie podziękowania chciałam złożyć na ręce redaktora Włodzimierza Nowaka, który poświęcił swój cenny czas, żeby zainspirować do myślenia reportażowego uczestników badań *(Od)zyskiwanie pamięci migracyjnej* oraz udostępnił łamy „Dużego Formatu”, aby cała Polska mogła dowiedzieć się o naszych poszukiwaniach. Redaktor Violetcie Szostak za piękne opowiadzenie o naszych badaniach w reportażu *Ameryka to dla byka* oraz poprowadzenie spotkania ze „spóźnionymi o 125 lat listonoszami”. Podziękowania kieruję również do wszystkich innych dziennikarzy, którzy przyczynili się do rozpropagowania projektu. Choć robię to jeszcze raz we wprowadzeniu do reportażu, już tu chciałabym podziękować osobom, które zgodziły się wziąć udział

**w naszych badaniach i podzieliły się z nami swoimi migracyjnymi historiami.**

**Wreszcie ogromne podziękowania należą się mojej rodzinie: rodzicom za dzielne okiełznywanie temperamentu mojego dwuletniego syna, dzięki czemu mogłam skupić się na pracy nad tym projektem, oraz Łukaszowi za nieustające wsparcie zarówno w domu (to on został matką naszego syna), jak i w badaniach. \_\_\_\_\_ Dziękuję.**

1  
...  
Przy rozmowie  
fot. Karolina Dziubata

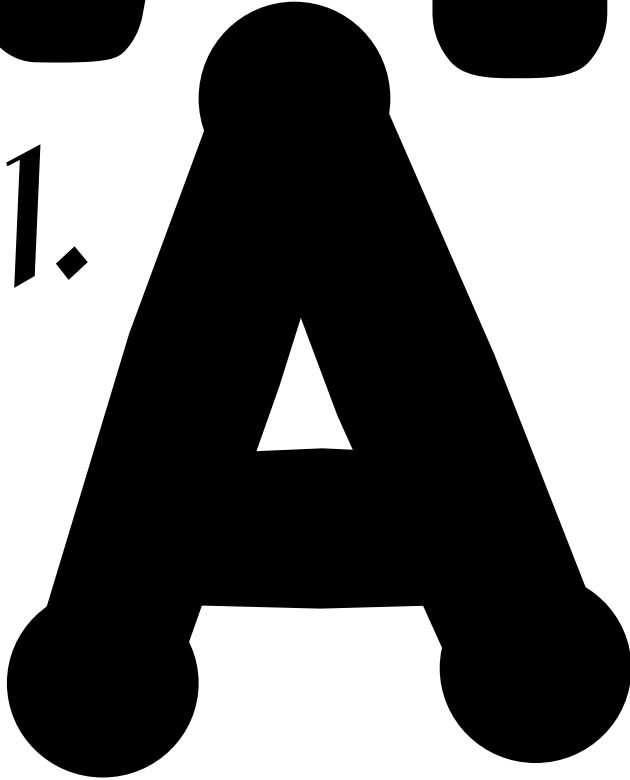
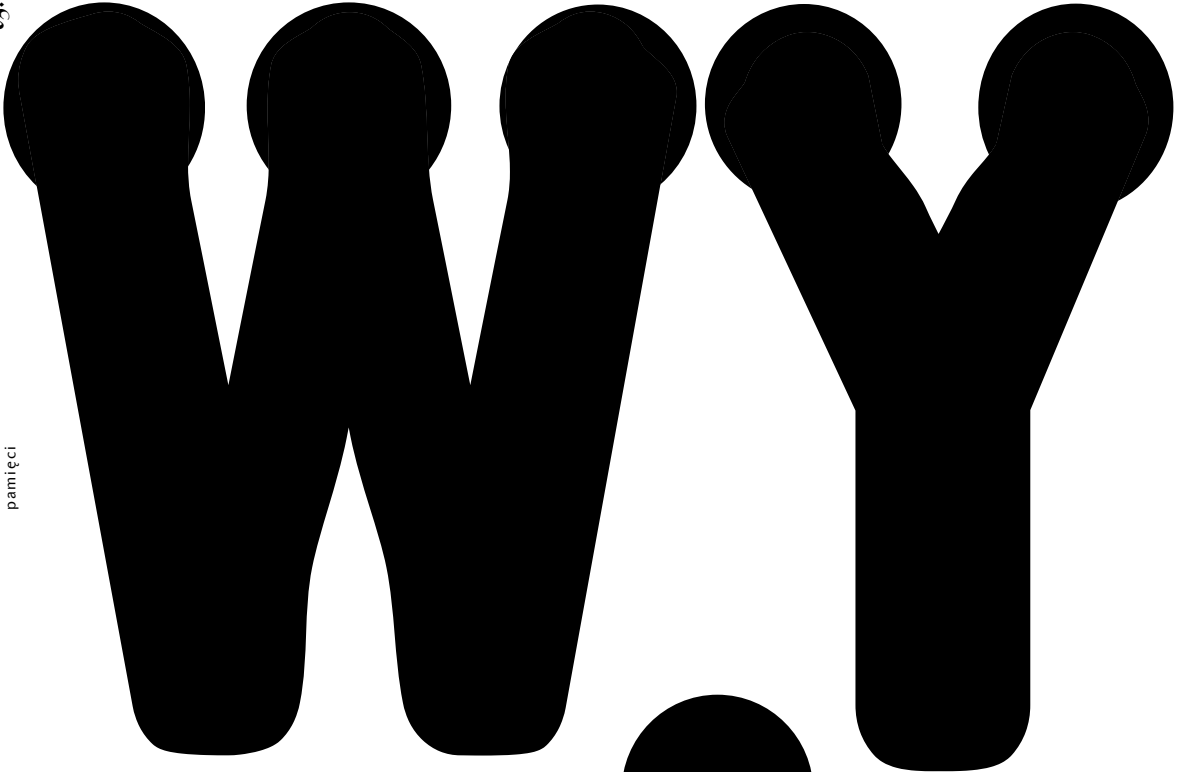


01

migracyjnej  
(Od)zyskiwanie  
pamięci

2  
4

Część 1.





Wszyscy  
jesteśmy  
migrantami

\_\_\_\_ Natalia Bloch

Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej  
i Centrum Badań Migracyjnych Uniwersytetu  
im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

s. → 2  
6

2

...  
Statua Wolności,  
port w Nowym Jorku,  
ok. 1905



Szacuje się, że od połowy XIX wieku do wybuchu I wojny światowej z terenów podzielonej zaborami Polski wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych 2,5 miliona ludzi, a do Brazylii ponad 100 tysięcy. Na początku XX wieku Chicago było – obok Warszawy i Łodzi – największym „polskim” miastem. Potomkowie emigrantów z tego okresu – w liczbie blisko 10 milionów – stanowią dziś najlicniejszą grupę Amerykanów słowiańskiego pochodzenia w USA. Polacy byli też jednymi z pierwszych mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, którzy emigrowali do obu Ameryk, zapisując tym samym ważną kartę w historii migracji.



Dziś jednak zapominamy o tych masowych wyjazdach Polaków i nie potrafimy ich powiązać z analogicznymi migracjami innych ludzi, co uwidacznia się wyraźnie w debacie publicznej dotyczącej tzw. kryzysu uchodźczego. Zwykliśmy myśleć o migrantach i uchodźcach jako o „Innych”. Tymczasem większość z nas ma wśród przodków lub współczesnych bliskich kogoś, kto opuścił kraj, szukając bezpieczeństwa bądź lepszego życia. Decyzja o emigracji to często ostateczność, próba wydostania się z trudnej sytuacji politycznej (okupacji, dyktatury, wojny, prześladowań) bądź ekonomicznej, gdy inne sposoby zawiodły. Być może listy emigrantów – którzy mogliby być naszymi pradziadkami – z Ameryki pomogą nam (od)zyskać naszą własną zbiorową pamięć migracyjną. To opowieść o nas jako migrantach.

Choć od powstania tej korespondencji minęło 125 lat, wiele pragnień, przeżyć i odczuć w niej wyrażonych jest dziś udziałem zarówno osób uciekających do Europy przed przemocą i biedą, jak i emigrantów z Polski żyjących w krajach Europy Zachodniej. Parowce z tysiącami migrantów stłoczone pod pokładem zastąpiły, z jednej strony, przepelnione pontony, a z drugiej, samoloty tanich linii lotniczych. Złożone powody wyjazdów, wyboista droga do ziemi obiecanej,

zepchnięcie do podrzędnego sektora rynku pracy (ale nierzadko też duma z osiągniętego awansu ekonomicznego), utrzymywanie bliskości na odległość i próby prowadzenia dwóch domów jednocześnie, przywiązanie do rzeczy i szukanie wsparcia wśród „swoich” to wątki, które składają się na doświadczenie bycia migrantem. Niezależnie od pochodzenia, czasu, miejsca i zmieniających się warunków.

## Wiek migracji

Choć ludzie przemieszczali się zawsze – w poszukiwaniu środków do życia czy uciekając przed zagrożeniem, to masowe migracje w skali globalnej gwałtownie zintensyfikowały się w wieku XIX. Jakie były tego przyczyny?

Po pierwsze, zapotrzebowanie na siłę roboczą. XIX wiek to zniesienie niewolnictwa w świecie pozaeuropejskim i poddaństwa w Europie oraz zasiedlanie nowych obszarów w obu Amerykach i dynamiczny rozwój przemysłu. Eksplozja demograficzna uczyniła z Europy zasób siły roboczej, którą wystarczyło przetransportować przez Atlantyk.

Po drugie, nowe możliwości. XIX wiek to wiek pary, a kolej i statki parowe umożliwiają masowe, zorganizowane i stosunkowo tanie przemieszczanie ludzi na duże odległości. Wokół transportu migrantów wyrasta dochodowy interes, często żerujący na ludzkiej desperacji.

Po trzecie, powiązane ze sobą zjawiska globalnych nierówności ekonomicznych,

niepokojów politycznych czy dyskryminacji mniejszości. Do dziś sprawiają one, że ludzie opuszczają swoje domy i rodziny, żeby móc godniej żyć lub po prostu przeżyć.

Niezbędni dla rozwoju ekonomicznego robotnicy i osadnicy są pożądanymi, ale i poddawani selekcji. Międzynarodowe migracje wiążą się ściśle z kontrolą przepływu ludzi na granicach państw narodowych. Przez obóz przejściowy dla imigrantów w nowojorskim Castle Garden przeszło ponad 8 milionów osób, w tym wszyscy autorzy listów. Większa i wydajniejsza stacja na Ellis Island, która go zastąpiła, dziennie obsługiwała nawet 5 tysięcy imigrantów. Przez Ilha das Flores koło Rio de Janeiro w szczytowym okresie przewijało się 1,25 miliona przybyszów.

Od roku 1820 do 1920 z całej Europy, od Skandynawii po Sycylię, wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych ponad 30 milionów ludzi – Irlandczyków, Niemców, Włochów, Żydów, Polaków.



Szacuje się, że łączna liczba Polaków i osób polskiego pochodzenia żyjących współcześnie poza granicami Polski sięga co najmniej 20 milionów.

3  
...

Emigranci na pokładzie  
transatlantyckiego liniowca,  
1906



## Listy emigrantów

Jest rok 1941, trwa okupacja. Młody historyk Witold Kula w piwnicach Archiwum Akt Dawnych w Warszawie natrafia na kilka skrzyń, a w nich na tysiące listów z końca XIX wieku. Stali je emigranci ze Stanów Zjednoczonych i Brazylii do bliskich pozostających w zaborze rosyjskim. Listy zatrzymane przez carską cenzurę nigdy nie dotarły do adresatów.

Korespondencja zawierała wskazówki dotyczące wyjazdu, nierzadko bilety na statek lub obietnicę ich wysłania, druki reklamowe linii okrętowych oraz

pieniądze. To nie podobało się władzom, które walczyły z masowymi emigracjami. Wyjazdy odbierały zaborcom rekrutów, podatników i siłę roboczą, szkodząc przy tym wizerunkowi państwa.

Zarekwirowana korespondencja przeleżała w magazynach przez 50 lat. Zapadła nawet decyzja o zniszczeniu zbioru, ale w ostatniej chwili się z niej wycofano. Potem o listach zapomniano. Witold Kula, który w ramach tajnych kompletów prowadził zajęcia z archiwistyki, partiami wynosił korespondencję do swojego mieszkania. Tam studenci – członkowie Batalionów Chłopskich – inwentaryzowali ją, odszyfrowywali, przepisywali, analizowali.

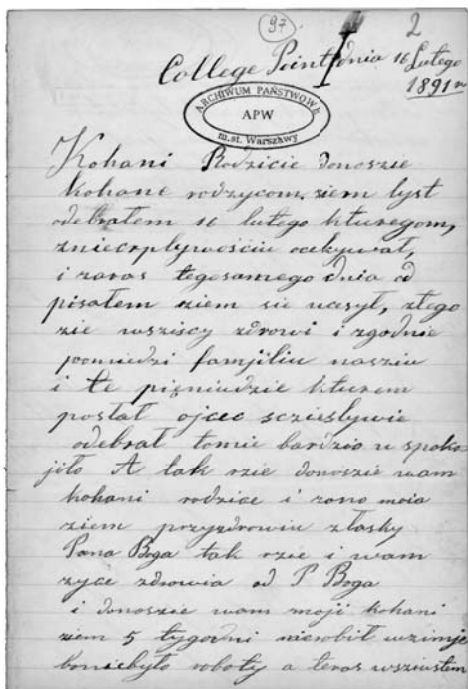
Archiwum Akt Dawnych spłonęło w powstaniu warszawskim, a wraz z nim listy. Ocalało 367 sztuk, których Kula nie zdążył odnieść oraz blisko 700 w opracowaniach. Trzy dekady później Profesor Kula, wraz z żoną Niną Assorodobraj-Kulą i synem Marcinem Kulą, doprowadził do wydania korespondencji, wznowionego w 2012 roku. Ocalone oryginały trafiły do Archiwum Państwowego Miasta Stołecznego Warszawy.

Listy pochodzą z lat 1890–1891. Były adresowane do bliskich z graniczącej z zaborcem pruskim guberni płockiej – głównie z dzisiejszych powiatów Golub-Dobrzyń, Rypin i Lipno. „Pisanie” często przez niepiśmiennych chłopów, za pośrednictwem niewiele bardziej wykształconych „piseników”, są zapisem języka mówionego z końca XIX wieku. Wszystko to sprawia, że cechują się fantazyjną ortografią, gramatyką, stylistyką i leksyką.

To dokumenty bardzo osobiste, przepełnione emocjami, często po raz pierwszy wypowiedzianymi na piśmie przez tych, których emigracja zmusiła do posługiwania się nieznaną im wcześniej formą wyrazu. To rozmowa z ludźmi sprzed 125 lat o tym, jak to jest być migrantem.

4

List Jana Strusińskiego  
z College Point, N.Y., do Adama  
Strusińskiego Rumunki,  
pow. Lipno, 16 II 1891



### (Nie)oczywiste powody

Czy chłopci wyjeżdżający pod koniec XIX wieku z terenów nieistniejącej Polski do Ameryki byli migrantami politycznymi czy ekonomicznymi? Czy ktoś, kto decyduje się na wyjazd, ponieważ w swojej ojczyźnie nie jest w stanie zapewnić bytu sobie i bliskim, jest migrantem dobrowolnym czy przymusowym? A jeśli zła sytuacja ekonomiczna jest wynikiem działań

politycznych – dyktatury, okupacji bądź wojny? Czy z przymusem ekonomicznym mamy do czynienia tylko wtedy, gdy przymiera się głodem, czy gdy nie można godnie żyć? Granica między dobrowolnością a przymusem, między przyczynami ekonomicznymi a politycznymi, jest w migracjach bardzo płynna.

Czynniki, które wypychały ludzi za ocean, były wypadkową sytuacji w zaborach oraz kryzysu na wsi. Z jednej strony uciekano przed obowiązkową, długoletnią służbą w carskim wojsku czy wzmagającym się antysemityzmem. Z drugiej, przeludnienie prowadziło do dalszej społeczno-ekonomicznej deklaszacji mieszkańców wsi. Z dzisiejszych ziem polskich zaboru rosyjskiego wyjeżdżali bowiem nie najbiedniejsi, lecz głównie małorolni gospodarze uwłaszczeni niespełna trzy dekady wcześniej. Ewa Morawska nazwała ich „migrantami za chlebem z masłem”. Niewielkie gospodarstwa dzielone na coraz mniejsze kawałki oraz spadek cen zbóż na rynkach europejskich sprawiły, że chłopci nie byli w stanie wyżywić licznych rodzin i groziło im „sparobczenie”, czyli pójście na służbę. Migracje, paradoksalnie, często są następstwem nie trwałego zacofania, ale transformacji polityczno-ekonomicznych. Wyjazd za granicę to też możliwość ucieczki – przed długami, staropanięstwem, przemocą w rodzinie, niedopasowaniem społecznym.

Jednocześnie coś migrantów musi przyciągać. Tym czymś jest najczęściej marzenie o lepszym życiu, podsycane przez tych, którzy wyjechali i tych, którzy z emigracji innych czerpią korzyści. Stany Zjednoczone, na fali kolonizacji

„Zachodu” i industrializacji, chłonęły robotników, którzy mieli zbudować ich potęgę. Brazylia, która właśnie zniosła niewolnictwo, potrzebowała chłopów do uprawy ziemi.

5  
...

Mężczyźni w mundurach  
armii carskiej  
Kujawy, II poł. XIX w.



*Droga  
cierniowa*

Podróż do „lepszego świata” w Ameryce pod koniec XIX wieku przypominała dzisiejsze ucieczki do Europy – pieszo, koleją, przez wodę. Wówczas ludzie upychani na dolnych pokładach statków, dziś w przepelnionych pontonach, ci najbiedniejsi najniżej, w ładowniach, gdzie zamiast powietrza wyczewy paliwa. Wtedy i dziś lęk przed „wielką wodą” i tym, że to podróż, która może być ostatnia.

Pod koniec XIX wieku agenci linii okrętowych wędrowali po europejskich wsiach, werbując potencjalnych emigrantów. Ci, którzy wyjechali do Stanów Zjednoczonych, stali do krewnych i znajomych

karty pokładowe (tzw. szyfkarty), pieniądze na pokrycie kosztów dotarcia na statek oraz instrukcje, jak się nie pogubić. Rząd brazylijski sponsorował podróż od momentu wejścia na pokład.

Chłopi, często niepiśmienni, wyruszeni ze swoich wsi w drogę, w trakcie której kilkakrotnie zmieniali się języki i waluty, a na każdym kroku czyhali nieuczciwi pośrednicy. Podróżujące samotnie kobiety były szczególnie narażone. Dołączające do mężów żony musiały zadbać nie tylko o siebie, ale i o gromadkę dzieci. Podróż trwała od trzech tygodni do dwóch miesięcy w przypadku Brazylii. Po drodze jedne dzieci się rodziły, inne umierały.

Dla autorów listów pierwszym wyzwaniem było pokonanie granicy zaborów: przedostanie się na stronę pruską wymagało sprytu, kontaktów i pieniędzy na łapówki. Następnie pieszo i wozami trzeba się było dostać na pociąg do Berlina, a stamtąd na kolejny do któregoś z portowych miast w Niemczech lub Belgii. Tam czekało się kilka dni na zaokrętowanie. Droga przez ocean wiodła do „bram raju”, które w przypadku Stanów Zjednoczonych znajdowały się wówczas na wysepce Castle Garden i służyły selekcji imigrantów: odsyłano wszystkich podejrzanych o choroby zakaźne i psychiczne, poligamistów, tych, którzy mogliby stać się „ciężarem publicznym”. Emigranci z Imperium Rosyjskiego budzili największe obawy: że zacołani, niecywilizowani, moralnie zdegenerowani. „Bo Amerika – jak pisał w liście jeden z emigrantów – jest to raj na ziemi, ale się do niego dostać przez te drogi cierniowe”.





6 ..

Gotowi do dalszej drogi na północ,  
południe i zachód.

Imigranci z bagażami oczekujący  
w kolejce na wymianę pieniędzy w kantorze.  
Stacja imigracyjna na Ellis Island,  
ok. 1902–1913

**„Bo Ameryka  
jest to raj na  
ziemi,  
ale się do  
niego dostać  
przez te drogi  
cierniowo”**





7  
...  
Kobiety z dziećmi z Europy  
Wschodniej w czasie podróży  
na pokładzie transatlantycznego liniowca  
S.S. Amsterdam, 1899

WSZYSCY JESTEŚMY MIGRANTAMI



8 ...  
 „Emigrant.  
 Cenny czy szkodliwy nabytek?":  
 rysunek z amerykańskiego tygodnika  
 satyrycznego „Judge”, 1903



## Ziemia obiecana

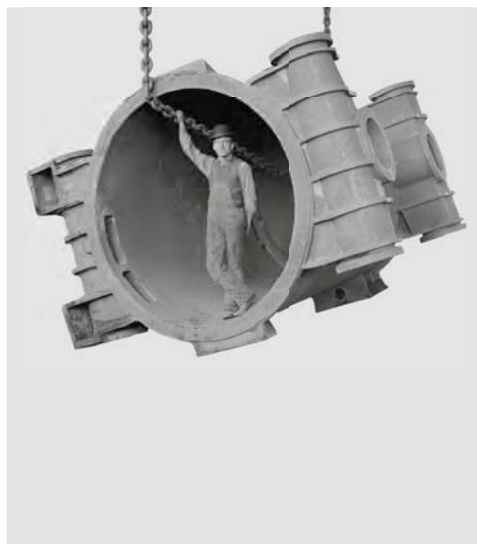
Emigracja może dawać poczucie dumy z osiągniętego awansu społecznego. Nawet jeśli rzeczywistość nie do końca odpowiada naszym oczekiwaniom, chce się, aby ci, którzy pozostali w kraju, wiedzieli, że nam się udało. Obrazy amerykańskiego dobrobytu, jakie mieli emigranci z Europy z końca XIX wieku, niewiele różnią się od tego, jak wyobrażają sobie Europę dzisiejsi mieszkańcy świata pozaeuropejskiego. Wtedy i teraz powodzenie było mierzone godnymi zarobkami oraz możliwością zaoszczędzenia pieniędzy, aby wesprzeć rodzinę.

Na wsi w zaborze rosyjskim praca była, ale nie umożliwiała godnego życia. Dlatego dla chłopów, którzy emigrowali do Ameryk ponad wiek temu, wyznacznikami pozycji społecznej była możliwość najedzenia się i napicia do syta (zwłaszcza mięsa i alkoholu), porządnego ubrania się (rodzinom ślano zdjęcia, na których pozowano w eleganckich strojach: w „kamaszach” do kostek, bo wysokie buty i spodnie wpuszczone weń były wyrazem zacołania, oraz w długich sukniach, bo te do „półkolana” wyglądały „po kujawsku”, czyli wiejsko) oraz wygodnego mieszkania (najlepiej z dostępem do bieżącej wody). Punktem odniesienia był najczęściej „pan na folwarku” – chłop na emigracji w Ameryce był dumny, że jadł lepiej w dzień powszedni niż dziedzic w niedzielę. Emigracja do Stanów Zjednoczonych jawiła się również jako szansa na lepsze życie dla kobiet, ich emancypację ekonomiczną i społeczną.

Brazylia natomiast miała spełnić marzenia o byciu wielkim gospodarzem. Rząd oferował osadnikom tzw. kolonie, czyli ziemię pod uprawę, oraz zwolnienia od podatków, narzędzia, nasiona na pierwszy obsiew, środki na wybudowanie domu i utrzymanie aż do pierwszych zbiorów. W listach chlubiono się obfitością upraw i dorodnością zwierząt gospodarskich, zachwycono się bogactwem przyrody.

## Robota w 3D

Robotnik w fabryce silników w Detroit, 1909



Migracje to najczęściej efekt globalnych nierówności ekonomicznych. Migranci są potrzebni zarówno jako specjaliści, jak i do wykonywania tzw. prac 3D, czyli *dirty, dangerous, dull* – brudnych, niebezpiecznych bądź nużących, często za płacę poniżej oczekiwań rodzimych pracowników. Praca w przemyśle w Stanach Zjednoczonych (w fabrykach, hutach, kopalniach, cegielnach, przy budowie kolei) oraz praca pionierów w Brazylii (przy karczowaniu lasów czy budowie dróg) zdecydowanie należały do tej drugiej kategorii.

W końcu XIX wieku kapitalizm rozwija się prężnie. To szansa dla młodych, silnych i zdrowych. Ale w przemyśle praca jest bardzo ciężka, a imigrant jest zdany wyłącznie na siebie. Gdy zachoruje – a tego bardzo się obawiano – nie ma pola, które by go wyżywiło, ani krewnych i sąsiadów, którzy by go wsparli. Ameryka to też inna dyscyplina pracy i rodzące się prawa pracownicze, których chłopci przemienieni z dnia na dzień w robotników się uczą: normowany czas pracy, walka o wyższe pensje i ubezpieczenia. Choć wiemy też, że imigranci byli wykorzystywani przez pracodawców jako nieświadome tego łamistrajki, a związki zawodowe blokowały napływ pracowników kontraktowych, obawiając się zaniżania płac.

„Gorączkę brazylijską” wielu emigrantów ciężko odchorowało. Otrzymana ziemia była porośnięta gęstym lasem, który sami musieli wykarczować. Wprawdzie pozostawali chłopami, ale praca na roli w Ameryce Południowej wymagała nowych umiejętności. Dlatego rząd brazylijski preferował sprowadzanie rodzin, gdyż samotnym mężczyznom łatwiej było rzucić wszystko i wrócić do kraju.

Najlepiej wszędzie wiodło się rzemieślnikom. Wielu Żydów prowadziło sklepy. Przybysze, którzy znali jakiś obcy język, choćby niemiecki, też mieli szanse na lepszą pracę. Chętnie ściągano kobiety: w Brazylii do oporządzania gospodarstwa, a w Stanach do pracy zarobkowej w fabrykach (zwłaszcza w szwalniach) lub do prowadzenia stacji dla robotników; niektóre trafiały do domów publicznych. Dzieci również stanowiły kapitał w postaci rąk do pracy.

## Bliskość na odległość

Rozłąka, samotność, tęsknota towarzyszą migrantom niezależnie od czasu i miejsca. Tęskni się za tymi, którzy pozostali: za małżonkami, narzeczonymi, dziećmi, rodzicami, dziadkami, rodzeństwem, dalszymi krewnymi, sąsiadami, kolegami. Planuje się ich ściągnąć do siebie bądź zarobić jeszcze trochę i wrócić. Pomiędzy kontynentami krążą karty pokładowe i pieniądze. Jak pisze profesor Witold Kula, jest „dobrze, ale tęskno”. Mimo olbrzymiej odległości, braku telefonów, e-maili i Skype’a, migranci próbują podtrzymać bliskość za pośrednictwem listów i wkładanych do nich fotografii.

Nie jest to łatwe. Ludzie, którzy nigdy wcześniej nie posługiwali się słowem piśnianym jako środkiem komunikacji, stają nagle wobec potrzeby nazywania swoich uczuć. Trochę pomagają utarte sformułowania, często rymowane, używane zwłaszcza na powitanie i pożegnanie. Do żon emigranci piszą czule, intymnie, metaforycznie, choć odległość i niedochodzące listy niejednemu podsuwają złe myśli, rodzą zazdrość. Dopytują – zwłaszcza że wyjeżdżały też matki – o dzieci: czy już chodzą, czy mówią, czy są zdrowe. Martwią się o starzejących się rodziców, mają poczucie odpowiedzialności za ich los i winy, że zostawili ich samych; boją się, że już ich nie zobaczą. Brakuje im towarzystwa i wsparcia rodzeństwa, piszą, że razem byłoby różnie. Proszą o błogosławieństwo przed ślubem. Piszą i czytają o narodzinach dzieci i o ich umieraniu (większość listów z Brazylii informuje o śmierci). Żegnają się w listach, które zostaną wysłane już po ich zgonie.

Jest to zazwyczaj intymność zapośredniczona. Listy były najczęściej dyktowane, a i niepiśmienne żony musiały się zdać na kogoś, kto odczytałby im słowa męża. Migranci martwili się, kiedy nie dostawali odpowiedzi. Dziś wiemy, że ich korespondencja miała innych, jedynych czytelników – rosyjskich cenzorów. Nie wiemy, czy podzielone rodziny autorów niedostarczonych listów kiedykolwiek się połączyły.

10  
.....

Imigranci na portowym  
nabrzeżu stacji imigracyjnej  
Ellis Island,  
1912



*Pamięć  
(do) rzeczy*

Przywiązanie do rzeczy to silne uczucie. Wiedzą o tym także dziś co obrotniejsi emigranci zakładający świetnie prosperujące sklepy z asortymentem z kraju pochodzenia. Na emigracji tęskni się za rzeczami, których „tam” nie ma; albo są, ale inne, gorsze; albo po prostu droższe.

Za przedmiotami niezbędnymi do codziennego funkcjonowania i całkowicie zbędnymi zachciankami. Za rzeczami zarówno trwałymi, jak i tymi do bieżącej konsumpcji. Dla ciała i dla ducha.

Dziś są to śliwki w czekoladzie, kiszone ogórki czy oscypek, polskojęzyczne książeczki dla dzieci czy tanie papierosy. A czego pragnęli emigranci z końca XIX wieku? Najwięcej prośb w listach dotyczyło pierzyn i pościeli – dołączające do mężów żony miały nie tylko przewieźć przez pół Europy i ocean gromadkę dzieci, ale i pierzyny (pierze w Stanach było drogie, a pierzyny stanowiły ważny element posagu). Poza tym święte obrazy (prosto ze ścian rodzinnej chałupy), modlitewniki (co potwierdza, że część z emigrantów potrafiła czytać), medaliki i szkaplerze. Mężczyźni tęsknili za tureckim tytoniem i alkoholem, kobiety za dużymi wełnianymi chustkami z Rypina. Padały też prośby o przybory kuchenne i sprzęty domowe. I o „krople Hoffmana” uśmierzające ból eterem. Ci, którzy wyjechali do Brazylii, najczęściej prosili o nasiona znanych im z domu zbóż, warzyw i owoców oraz o broń z Prus do polowań. Instruowali, jak to wszystko bezpiecznie przewieźć.

*Podwójne  
domy*

Emigracja nie oznacza zerwania z całym dotychczasowym życiem, a człowiek nie jest rośliną, którą się skądś wyrzywa z korzeniami. Migranci na wszelkie sposoby starają się uczestniczyć w codziennym życiu bliskich w kraju pochodzenia, a nawet utrzymywać równoległe dwa domy.



11

.....

U progu  
Nowego Świata, 1900

12 [s. 38-39]

.....

Wiktor Chrzanowski  
*Jarmark* (fragment), 2008

Podział na tych, którzy migrują i tych, którzy zostają, nie jest oczywisty. Migracje to zjawisko w równym stopniu dotyczące osób, które się fizycznie nie przemieszczają – krewnych, przyjaciół, lokalnych społeczności emigranta – poprzez powiązania budowane ponad granicami państw narodowych.

O powiązaniach transnarodowych, czyli o relacjach, jakie migranci tworzą i podtrzymują pomiędzy miejscem pochodzenia a krajem imigracji, pisze się dopiero od lat 90. XX wieku, w związku z nowymi technologiami komunikacyjnymi (głównie internetowymi komunikatorami typu Skype), zmianami w transporcie (wprowadzeniem oferty tanich połączeń lotniczych) oraz możliwościami szybkiego transferu pieniędzy. Listy pokazują jednak, że już sto lat wcześniej emigranci – mimo długiego czasu, w jakim korespondencja szła przez ocean do wsi w zaborze rosyjskim – starali się mieć wpływ na nawet najdrobniejsze sprawy związane z prowadzeniem pozostawionego gospodarstwa. Dopytywali o szczegóły: jaka była zima, jak się udały zbiory, jak się ma inwentarz, jak zakończył się spór w sądzie. Czuli się uprawnieni do gospodarzenia zza oceanu, bo wspierali materialnie tych, którzy zostali. Nie tylko decydowali, na co mają być wydane przesyłane przez nich pieniądze, lecz zarządzali na odległość ziemią i majątkiem, inwestycjami w gospodarstwo oraz losami członków rodziny (tym bardziej że pieniądze z Ameryki często chroniły najbliższych przed pójściem na służbę do folwarku). Niektórzy wracali po kilku latach z zaoszczędzonymi dolarami, dokupywali ziemię, budowali lepszy dom.

## *Sami swoi*

Wsparcie „swoich” w procesie adaptacji do życia w nowym kraju ma duże znaczenie. Migrująca osoba, która nie zna języka, realiów ani norm społecznych, czuje się zagubiona. Pomoc ze strony już zadomowionych rodaków – występujących w roli tłumaczy kulturowych – jest wówczas nieoceniona. Enklawy w początkowym okresie adaptacji dają poczucie bezpieczeństwa i wsparcia, nie tylko instrumentalnego (co i gdzie załatwić, gdzie i jak znaleźć pracę i mieszkanie), ale też towarzyskiego, emocjonalnego.

Migranci tkają sieci społeczne, po których docierają do nich inni. Zostawiają sobie informacje. Osiedlają się w tych samych osadach i dzielnicach. Organizują się. W listach, pisanych krótko po przybyciu do Ameryk, uderza brak odniesień do jakiegokolwiek – poza ekonomiczną – integracji ze społeczeństwem przyjmującym. Nieznajomość języka utrudnia nawiązywanie nowych kontaktów, stąd jedyne informacje o relacjach społecznych dotyczą kontaktów z innymi Polakami. Imigranci zauważają, że jest ich dużo i że w Ameryce może być „polsko”. Piszą o powstawaniu rodzimych instytucji, zwłaszcza związanych z religią i edukacją. Wiąza to mocno z poczuciem wolności: że tu wolno śpiewać pieśni w swoim języku, wolno obchodzić święta, wolno manifestować swoją przynależność narodową na ulicach. Jednocześnie zwracają uwagę na niepożądane zjawiska w swojej społeczności: hulaszczy sposób życia, marnotrawstwo. Niektórzy są już zmęczeni oczekiwaniami, że pomogą kolejnym krewnym i znajomym.









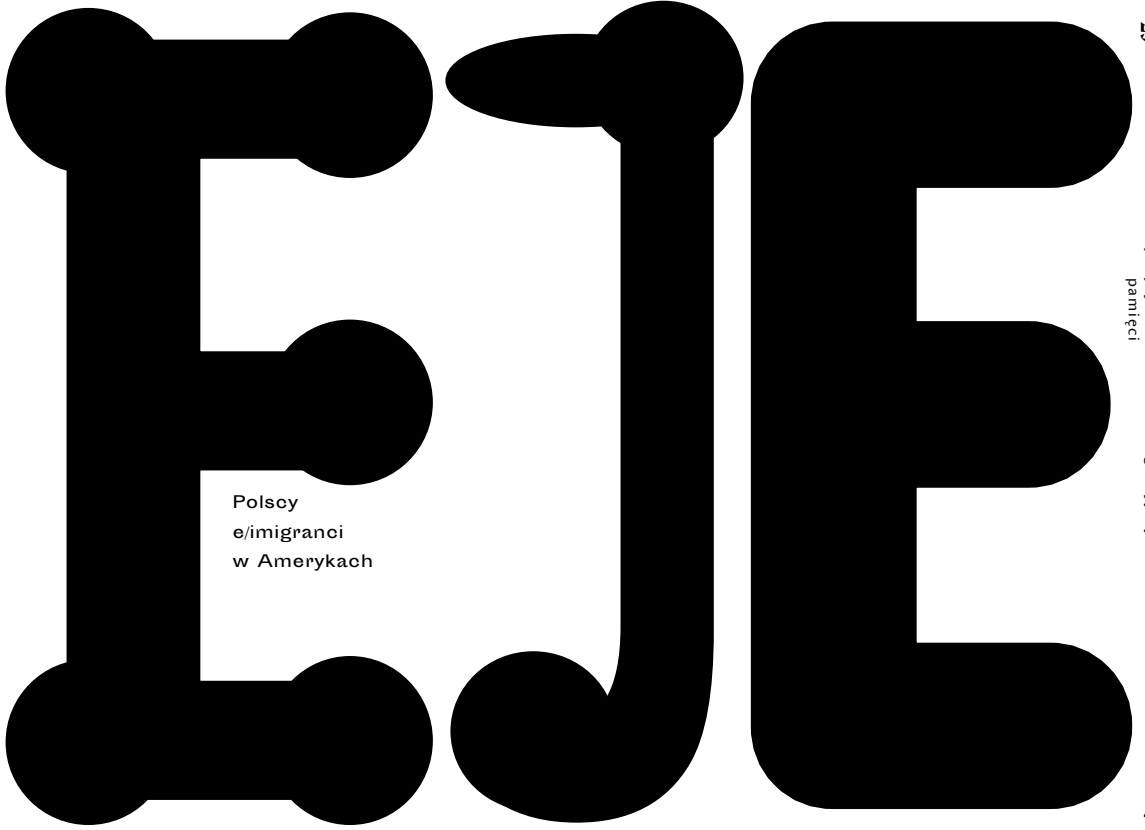
# ES

Część 2.



4

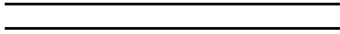
5



Polscy  
e/imigranci  
w Amerykach

(O)dzyśkwanie  
pamięci  
migracyjnej

4  
5



—— Marcin Kula  
Akademia Teatralna  
im. Aleksandra Zelwerowicza  
w Warszawie

## Listy nie doszły

Pod koniec XIX wieku wielu ludzi z północnego Mazowsza emigrowało do Brazylii i Stanów Zjednoczonych. Władze rosyjskie chciały ich zatrzymać. Mówi się czasem, że postępowały tak dlatego, ażeby tamtejsze majątki nie traciły siły roboczej. Trudno to wykluczyć, ale wydaje mi się, że bardziej znacząca była niechęć caratu do emigrowania ludzi, a tym bardziej do emigrowania nielegalnego. Emigranci, o których mowa, najczęściej bezprawnie przechodzili wszak przez granicę do zaboru pruskiego. Potem pociągami jechali do Bremy lub Hamburga i dalej statkiem przez ocean.

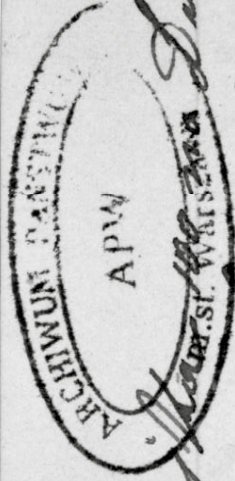
Jednym ze sposobów, do jakich uciekły się władze carskie, było zatrzymywanie listów pisanych przez wychodźców do rodzin. Rozumowały one zasadniczo, że jeśli od emigrantów nie będą przychodzić pozytywne wiadomości, a tym bardziej jeśli w ogóle ich nie będzie lub prawie nie będzie, to następni nie ruszą w drogę. Ludzie nie od razu zorientowali się, że korespondencja była cenzurowana. Próbowali pisać ponownie, część przesyłek zresztą dochodziła. Na skutek zatrzymywania wielu, w policyjnych kancelariach nagromadziły się masy listów, zwłaszcza tych opisujących sukcesy na emigracji. Nieraz interesowano się też konkretnymi – jak na przykład opisami sposobów przejścia zielonej granicy. Takie fragmenty zostały często podkreślone cenzorskim ołówkiem.

Gdy po odrodzeniu Polski miejscowe policyjne akta carskie trafiły do archiwum, zastanawiano się, czy ich nie „wybrakować”. Ten termin archiwistyczny oznacza zniszczenie praktycznie całego rozpatrywanego materiału jako bezużytecznego, przy zachowaniu jedynie próbki („reprezentacji”). Proces „brakowania” jest nieunikniony. Nie da się zachowywać całej masy papieru, jaka powstawała i powstaje choćby tylko w państwowych instytucjach – już nie mówiąc o innych miejscach wytwarzania potencjalnych archiwaliów. Fundacje zachowujące papiery niekwalifikujące się do państwowego zasobu archiwalnego to sprawa znacznie późniejsza. Trzeba więc było i wciąż trzeba nieuniknienie wyrzucać część materiału – ale zawsze jest to decyzja dyskusyjna, często bolesna, nieraz krytykowana po latach.

Listy emigrantów, o których mowa, szczęśliwie nie zostały zniszczone. Zaległy w archiwalnej piwnicy w oczekiwaniu na decyzję w przyszłości. Ta zaś przyszła w formie nieoczekiwanej: przyniosła ją wojna.

Podczas okupacji mój Ojciec, Witold Kula, historyk i przyszły profesor Uniwersytetu Warszawskiego, prowadził zajęcia w tajnej Wolnej Wszechnicy Polskiej. Uczestniczyli w nich „chłopcy z lasu” – żołnierze Batalionów Chłopskich, przyjeżdżający co pewien czas do Warszawy. Potem zresztą Ojciec do nich pojechał, ale już nie dla dydaktyki – tylko w ramach ochronnych działań podziemia wobec ludzi z Biura Informacji i Propagandy KG AK, zagrożonych po zamordowaniu Jerzego Makowieckiego i Ludwika Widerszala oraz zadenuncjowaniu Marcelego Handelsmana. Uznano, że partyzantka jest bezpieczniejsza od Warszawy (!).

Do prowadzenia zajęć z tymi specyficznymi studentami Ojciec potrzebował jakiegoś materiału źródłowego. Sprawa nie była łatwa, skoro nie można było przecież pracować w bibliotekach i archiwach. Dzięki podręcznikowi archiwistyki autorstwa Kazimierza Konarskiego, gdzie listy z Ameryki były wzmiankowane jako przykład materiału, co do którego wahano się w kwestii brakowania, Ojciec dowiedział się o nich. Dzięki znajomym archiwistom wynosił z archiwalnej piwnicy kolejne – przypadkowe, brane od góry – paczki listów do domu i pracował nad nimi ze studentami. Potem je odnosił. Nie zdążył odnieść jednej – ostatniej partii. Ona się zachowała. Reszta materiału spłonęła wraz z całym Archiwum Głównym Akt Dawnych. Zachowała się nadto pewna liczba notatek poczynionych przez studentów z przerobionego i zwróconego materiału. Można powiedzieć, że niewiele ocalało –

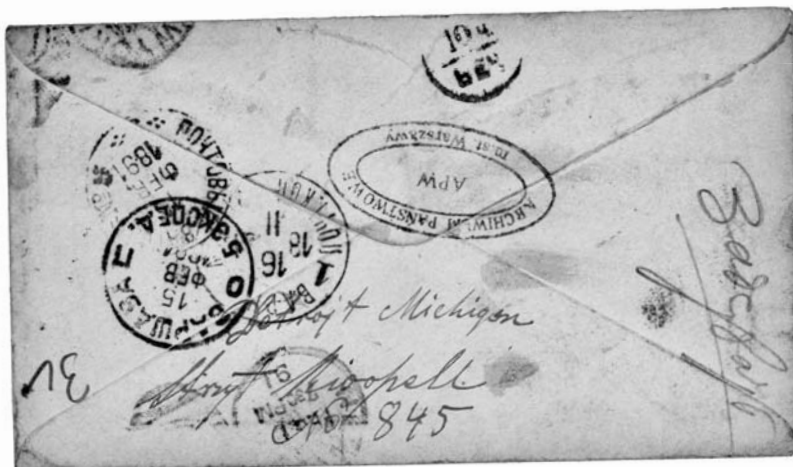


W

Jak u nas kopije starych Dular  
wice ludie moge sie naidre mo  
bie. Glyn statá ra robote Dobras  
a trycei wogohé fomie tuchetnie  
Robotniké najgorny zarobki nadriem  
Dular 25 Centow a wyda na ryce 15  
Pieckoge was. Taref ludie smo  
sem pisanem dytko chege  
Praxide Chirai Swolnoici ido  
Proci Ameryki jest wasoto



potakie wojko przy kaszobotach  
i cętra przy niewidac jak wnos  
dazar was kawradomian moj  
Najdrzsi Bodoey Driemi jaka  
jest u nas w Ameryce. Cych  
goghodaratwa Jerch. by kto to  
was sobie przyset przyechać  
kpiemiedmi koda niego jennele  
piej. to moreń odwaru sobie  
otkupień sliemy kawat grunde  
Bot tyki kawatiska. Ka same  
kwa Dolara do dkwes Cych. to jest  
wiecej jak morga a datego



13

Koperta z widocznym  
cenzorskim dopiskiem ołówkiem  
„zadzierzat” (zatrzymać)

14

← List M. Celmera z Detroit  
do Franciszka Nowackiego,  
z cenzorskimi podkreśleniami,  
Ostrowy, pow. Kutno, 5 II 1891

ale można też mówić o „cudownym ocaleniu” przynajmniej części materiału (jak nieraz zdarza się w wypadku źródeł historycznych!).

Zachowana paczka i notatki leżały potem przez lata w naszym mieszkaniu, dokładnie na dnie szafy z ubraniami. Właściwie nie wiem, dlaczego Ojciec nie zabrał się do pracy nad tymi papierami.

Zdaje się, że ciągle miał zamiar wziąć się za nie i wciąż coś pilniejszego wchodziło w drogę. Nie zapominał jednak o nich. Pamiętam, jak kiedyś Fernand Braudel, z wizytą u Rodziców, zachwycił się jakże rzadkimi – w ogóle w dziejach – dawnymi chłopskimi listami.

Decyzja, żeby się materiałem zająć, została podjęta przez nas rodzinnie w okolicznościach niedobrych. Mianowicie w 1968 r. Ojciec chronicznie zachorował. Wraz z Matką chcieliśmy zaangażować jego myśli w coś, czym się zainteresuje. Chcieliśmy, by pracował choćby w domu. Sięgnęliśmy więc na dno szafy.

Lektura i własnoręczne przepisanie listów, czym się z zainteresowaniem zająłem, okazały się nad wyraz trudne. Często pisali przecież prawie niepiśmienni ludzie. Najlepiej rozumiało się te teksty przy czytaniu ich na głos. Pamiętam, jak kiedyś nie mogłem odczytać jakiejś nabazgranej grupy liter na końcu listu. Przeczytałem je na głos i zrozumiałem, że autor napisał po prostu *Goodbye*, tyle że fantazyjnie jako „Gudbaj”. Po przepisaniu tych tekstów na maszynie na pewien czas straciłem zdolność automatycznego, poprawnego pisania. Podobnie przydarzyło się zawodowej maszynistce, która musiała to wszystko przepisać jeszcze raz na czysto. Uważaliśmy, że należy wydać teksty przy minimalizowaniu interwencji edytorskiej. Także maszynistka musiała przepisać materiał ze wszystkimi błędami oraz całą jego specyfiką.

Osobny problem stworzyły listy żydowskie, też występujące w materiale. W Polsce nie było wówczas wielu osób znających jidisz i dających rękomię dobrego tłumaczenia. Na dodatek praca przypadała na okres po 1968 roku, kiedy nikt się ewentualną znajomością języka i realiów życia żydowskiego nie chwalił. Z osób, które ostatecznie tłumaczyły listy żydowskie, jedna współpracowała jeszcze z Chagalem w Witebsku. Inna była młodsza, ale nieprzypadkowo występująca w książce pod pseudonimem. Byliśmy jednak mocno zdeterminowani włączyć owe listy żydowskie, stojąc na stanowisku, że Żydzi byli częścią społeczeństwa tej samej ziemi, w tym wypadku podobnie emigrantami.



Problemem okazała się identyfikacja nazw geograficznych. Nazwy na ziemiach polskich zmieniały się przynajmniej o tyle, że zmianie ulegały granice miejscowości. Miejscowości dawniej uważane za odrębne nieraz stały się częściami większych. Niektóre nazwy przestały być nazwami uznanymi administracyjnie, a zatem zniknęły ze spisów. Z kolei pewne miejscowości podzieliły się w sensie administracyjnym na dwie. Autorzy listów niejedną nazwę pisali fantazyjnie, zaś obce nieraz spolszczali. Pamiętam, jak kiedyś dosyć beznadziejnie usiłowałem zrozumieć zawarte w jednym z listów określenie „Matka Mosky Geczefolsky” – aż w końcu ktoś znajomy zwrócił mi uwagę, że w miejscowości Gietrzwałd jest bardzo czczony obraz Matki Boskiej.

Wydania książki podjęła się Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza. Przy całej życzliwości wydawnictwa dla projektu obawialiśmy się cenzury. Książka przypominała dawne policyjne działania caratu, zaś w ówczesnym systemie powiedzenie czegoś przeciwko caratowi było zdumiewająco często postrzegane jako skierowane przeciwko ZSRR. Baliśmy się, czy nie będzie kłopotów z listami żydowskimi – z uwagi na bliskość kampanii z 1968 roku. Okazało się jednak, że nie przewidzieliśmy, przy czym pojawią się zastrzeżenia. Głupoty tego systemu po prostu nie dawało się przewidzieć. Niepokój wzbudziła mianowicie powtarzająca się religijna inwokacja na początku chłopskich listów (że niby polscy chłopci, nawet w końcu XIX wieku, nie byli aż tak religijni!). Gdy nieco później opowiedziałem tę historyjkę profesorowi Michałowi Kaleckiemu, który boleśnie zapamiętał rok 1968, ten zareagował: „Jeżeli z historii Polski usunie się i judaizm, i katolicyzm, to już doprawdy niewiele zostanie!”.

Ostatecznie wszystko przeszło szczęśliwie, bez oporów. Tylko przy zdaniu „ni ma co równać Ameryki z ruskiem krajem śmierdzącym” (list II4) redaktor prowadzący spojrział mi głęboko w oczy z pytaniem, czy naprawdę występuje ono w oryginale.

Dla historyka listy są trudnym materiałem źródłowym. Trzeba je zrozumieć, a to nie znaczy tylko odczytać. Ludzie piszą wszak o sprawach dla nich znanych – ale nieraz obcych dla nas. Trzeba wczuć się w ich mentalność, nieraz odległą od naszej. Nieraz dla ich zrozumienia potrzebna jest znajomość kontekstu. Swego czasu zdarzyło mi się czytać listy ukrywających się ludzi z okresu okupacji; gdybym nie znał kontekstu i spraw poruszanych, moje rozumienie tekstu byłoby całkowicie fałszywe.

15  
.....

Emigranci oczekujący  
w budynku stacji imigracyjnej  
Ellis Island, 1904

16  
.....

Emigranci ze statku Prinzess  
Irene w drodze do stacji  
imigracyjnej Ellis Island, 1911

17  
.....

Emigranci  
na Ellis Island

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

(15)  
.....



5  
4

(16)  
.....



(17)

(O)dzyskiwanie  
pamięci  
migracyjnej

Ostatecznie wszystko przeszło szczęśliwie, bez oporów. Tylko przy zdaniu „ni ma co równać Ameryki z ruskim krajem śmierdzącym” redaktor prowadzący spojrział mi głęboko w oczy z pytaniem, czy naprawdę występuje ono w oryginale.

Przy pracy nad listami trzeba inaczej niż zwykle formułować pytanie o prawdomówność. To nie są deklaracje polityków z trybuny. Z własnego doświadczenia wiemy, że nieraz w najlepszej wierze, z rozlicznych powodów nie informujemy w listach nawet osoby bliskiej o jakichś sprawach, nieraz też chcemy się przedstawić w lepszym świetle. Czasem piszemy tak, by wywołać pożądaną reakcję korespondenta. Opinie wyrażane w listach są nieraz formułowane pospiesznie, właśnie jako nieprzeznaczone do upublicznienia. Może to przemawiać na rzecz traktowania ich jako wyrazu prawdziwych, intymnych myśli – ale równie dobrze można założyć, że autor nie przemyślał do końca kwestii, którą inaczej wypowiedział chwilę później wobec innych. Nawiasem mówiąc, kłamstwo czy choćby naginanie rzeczywistości w stworzonym opisie, też jest istotnym źródłem dla historyka (dlaczego i jak kłamie się w danym wypadku?).

Trudną sprawą jest kwestia reprezentatywności listów. Na przykład emigranci nieraz pisali tak, by się pochwalić osiągnięciami. Można domniemywać, że cenzura częściej konfiskowała listy skłaniające krewnych do przyjazdu, co tym bardziej polepszało obraz wyłaniający się ze zbioru. Warto też pamiętać, że ci, którym się zupełnie nie udało (zmarli w drodze lub na miejscu z nędzy czy też wegetowali z trudem) nie pisali listów.

Listy są materiałem delikatnym. Wchodzi się z butami w prywatne sprawy ludzi. Oczywiście, można domniemywać, że po 100 latach nie są to już sprawy palące. W stosunku do materiału nowszego konieczne jest zachowanie pewnej delikatności, w ogóle wskazane w wypadku historyków (i nie tylko ich!). W rozpatrywanym przypadku wypada też pamiętać, że korzysta się z materiału zgromadzonego w sposób naganny i dzięki działaniom, które doprowadziły do krzywd. Choć historycy mają do dyspozycji niejedną kolekcję listów powstałą w przyzwoity sposób, to nieraz takie kolekcje, bądź informacje o treści listów, zostały niestety wygenerowane na skutek działań fatalnych. Takim materiałem są przeglądy listów bądź listy skonfiskowane przez UB/SB w PRL lub też niebotycznie wielka kolekcja listów zgromadzona przez STASI w NRD.

Listy, będąc materiałem trudnym, są jednocześnie materiałem cennym dla historyka. W wypadku masowych, w pewnym sensie przypadkowych listów ludzi, których historia nie zapamiętała z imienia

i nazwiska, rzadko interesujemy się indywidualnym losem akurat danego autora. Takie teksty są dla nas ważne jako prawie anonimowe wypowiedzi osób, których głosy rzadko w historii zachowywały się na piśmie. Odzwierciedlają subiektywne widzenie rzeczywistości przez ludzi „prostych”, o czym na ogół mamy mało informacji. Autorzy przekazują wiele informacji bezwiednie. Nieraz wyczytujemy z nich znacznie więcej niż zawiera treść formułowana intencjonalnie. Nawet wypowiedzi sztapowe i powtarzane formuły bywają ciekawe.

Te listy z końca XIX wieku dużo mówią o języku oraz o stopniu piśmienności chłopów z północnego Mazowsza. Mówią o ich stosunkach rodzinnych oraz o kontaktach sąsiadów we wsi (kogo się pozdrowia?). Można z nich nawet wyciągać wnioski o sposobach znajdowania sobie dziewczyn przez chłopaków.

Rozpatrywane listy dużo mówią o stosunkach chrześcijańsko-żydowskich – a raczej o odrębności obu tych światów. Rzucają światło na formy kontaktów, które listy odzwierciedlają, będąc często pisane, a przynajmniej zaczynane, w konwencji rozmowy. Także na sposoby załatwiania spraw (jak czarować sołtysa czy też wójta, by pozwolił przejść przez granicę w ramach tego, co dziś byśmy nazwali „małym ruchem granicznym?”).

Ciekawe są odbijające się w listach formy świadomości lokalnej czy narodowej (nieraz uzyskiwanej zresztą dopiero w procesie migracyjnym). Ciekawy jest w nich stosunek autorów do przyrody. W Brazylii ubolewali oni nad koniecznością wycinania drzew, którymi – jak pisali – w rodzinnej okolicy by się szczycili. W Chicago żalowali, że nie mogli pojechać na przedmieścia, by słuchać śpiewu ptaków – bowiem czas to był dla nich naprawdę pieniądź.

Interesujący jest dostrzegany przez emigrantów kontrast północnego Mazowsza oraz Brazylii, gdzie czuli się wolni, czy Stanów Zjednoczonych, gdzie musieli ciężko pracować – ale z nadzieją na dobroć siebie. Generalnie wyznania poczynione w listach zaświadczały, że ci mazowieccy chłopcy na emigracji nabrali większego niż w Polsce poczucia, że stali się panami własnego losu. Dużo to mówi o stosunkach na ówczesnej polskiej wsi.

Ciekawe jest odkrywanie przez autorów nowych rzeczy i zjawisk – zarówno dla wiedzy o rzeczywistości amerykańskiej i brazylijskiej, jak dla wiedzy o regionie pozostawionym za sobą (nasze widzenie

nowego terenu jest uwarunkowane naszymi dotychczasowymi doświadczeniami i *a contrario* dużo mówi o kraju wyjścia). Ciekawe jest ich przywiązanie do terenu wyjściowego – wyrażające się przecież nie w deklaracjach, ale w prośbach o przywiezienie nasion, elementów ubioru czy obrazów świętych przez kolejnych jadących. Interesujący jest także stopień zdolności akceptowania tego, co nowe.

Przy lekturze listów zdumiewa, jak autorzy, ci słabo piśmieni ludzie, którzy w życiu prawie nie ruszali się ze swoich wsi, dawali sobie radę w drodze – z granicą, koleją, portem, statkiem... Może nie całkiem wiedzieli, na co się ważą. Dawali sobie jednak radę. To też dużo o nich mówi.



#### Literatura

- |  |   |   |
|--|---|---|
| <p>Kula W., Assorodobraj-Kula N., Kula M. (oprac. i wstęp), <i>Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891</i>, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1973; drugie wydanie: Warszawa: Biblioteka Iberyjska (Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego,</p> | <p>Institut Studiów Iberyjskich i Iberoamerykańskich Uniwersytetu Warszawskiego) 2012.</p> <p>Thomas W. I., Znaniecki F., <i>Chłop polski w Europie i Ameryce</i>, t. 1–5, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1976.</p> | <p>Walaszek A., <i>Życie na pograniczu i „życie pomiędzy”. Polacy w zagłębiu antracytowym w Luzerne County, Pensylwania, z innymi grupami w tle (1753–1902)</i>, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 2011.</p> |
|--|---|---|

Dla dzisiejszego czytelnika interesujące jest długie trwanie niektórych zjawisk. Wspominane wyżej rady, wyczytane w jednym z listów, jak czarować sołtysa bądź wójta, by dał przepustkę przez granicę, przypomniały mi się, gdy przeczytałem list mego Ojca z Paryża, z początku lat sześćdziesiątych, z radami dla Matki, jak ma rozmawiać z urzędniczką Biura Zagranicznego PAN, by uzyskać dla Ojca przedłużenie służbowego paszportu. Obraz Stanów Zjednoczonych, gdzie własną pracą – prawda, że ciężką – można coś osiągnąć, trwa w Polsce jako kontrastujący z naszą częstą rzeczywistością. W celu uniknięcia podwójnego opodatkowania zapytano mnie niedawno w PKO BP, czy płacę podatki w USA. Spontanicznie powiedziałem: „Niestety nie”. Na to urzędniczka roześmiała się, mówiąc, że dosłownie wszyscy klienci odpowiadają z użyciem słowa „niestety”.

Historia ludzi to historia migracji. Polska była jednym z krajów silnie emigracyjnych. Polaków jako „elementu” też się nieraz bano – jak dziś w Europie muzułmanów i czasem w ogóle cudzoziemców. Bywało, że chłopskich migrantów oceniano za morzem negatywnie, ich zachowania wydawały się „dzikie”. W Chicago w latach 30. mieli złą opinię. Dlatego William Thomas i Florian Znaniecki podjęli prace nad swoim dziełem. Ich materiałem stała się *notabene* korespondencja polskich emigrantów, zainteresowali się widzeniem świata społecznego przez jego uczestników i, *summa summarum*, stworzyli wtedy jedno z klasycznych dzieł socjologii światowej.

Gdy myślimy dziś o migrantach, warto więc wspomnieć Polaków, którzy jechali do obcych krajów i zachować raczej umiar i przytomność niż bać się każdego przybysza (już nie mówiąc o biciu w tramwaju człowieka rozmawiającego w obcym języku, co niestety zdarzyło się niedawno). Gdybyśmy pocztyli listy obcokrajowców pisane z Polski, też zobaczylibyśmy w ich autorach przede wszystkim ludzi. Inna sprawa, że współcześni migranci częściej zapewne rozmawiają przez telefony komórkowe lub piszą SMS-y, ze szkodą dla przyszłych historyków.

\_\_\_\_\_ Piotr Wołyński  
Szkoła Podstawowa  
im. Józefa Sołtykiewicza  
w Węgiersku



Ziemia emigrantów.  
Historia migracyjna ziemi  
dobrzyńskiej

Kiedy udajemy się do Lipna, Rypina czy Dobrzynia nad Drwęcą, odwiedzamy ziemię dobrzyńską. Niemal od zawsze był to obszar pogranicza. W średniowieczu należał do Mazowsza, później odgradzał tereny polskie od państwa krzyżackiego, jeszcze później województwa dobrzyńskie i chełmińskie. Wreszcie od 1772 roku, na ponad 120 lat, stał się rubieżą zaboru rosyjskiego, stykającą się z Prusami, a następnie z Cesarstwem Niemieckim. Takie położenie wymuszało wręcz ciągłe migracje ludności.

Ziemia dobrzyńska położona jest na północ od Płocka i na południowy wschód od Torunia. Jej naturalnymi granicami są rzeki: Drwęca, Wisła i Skrwa. Szczególnie te dwie pierwsze miały duże znaczenie gospodarcze i społeczne. Drwęca, która wije się po malowniczej dolinie, od Ostródy aż do podtoruńskiego Lubicza, była idealnym szlakiem spławu drewna. Drwom zawdzięcza zresztą swoją nazwę. Była też świetnym szlakiem komunikacyjnym, łączącym miejscowych z Toruniem i Gdańskiem. W miejscach dwóch brodów na niej powstały miasteczka

Brodnica i Golub, przez które ludność ziemi dobrzyńskiej emigrowała na zachód po lepsze, nowe życie. Wisła, w porównaniu do Drwęcy, była prawdziwą autostradą, która przez wieki tętniła życiem. Spławiali się nią flisacy z południa kraju, przynosząc ze sobą wieści z Krakowa i Warszawy. W XIX wieku popularne stały się także podróże statkami parowymi. Nabrzeże Dobrzynia nad Wisłą przypominało nieco jedno z sennych miasteczek nad Missisipi opisanych przez Marka Twaina. Pszenna, gliniasta gleba przez stulecia rodziła obficie. Już w XIX wieku, będąc w tych okolicach, Oskar Kolberg zauważył, że „pszeniczka daje plon po 10 ziarn”. Istotny wpływ na gospodarkę i krajobraz miały lasy, których w przeszłości było znacznie więcej niż obecnie. W resztkach dawnych puszczy w okolicach Skępego polowano na tury, łosie, jelenie i daniele.

W wyniku rozbiorów obszar ten trafił w ręce pruskie. W 1807 roku cesarz Napoleon ustanowił Księstwo Warszawskie, a Lipno i Rypin znalazły się w jego granicach. Szczęście z częściowej niepodległości trwało zaledwie kilka lat. W 1815 roku oba powiaty – lipnowski i rypiński – znalazły się w granicach podległego Rosji Królestwa Polskiego, potoczenie nazywanego Kongresówką. Tak pozostało aż do 1916 roku. W tym czasie mieszkańcy tej ziemi przyłączali się do kolejnych zrywów narodowych: powstania listopadowego, powstania z 1833 roku, powstania styczniowego i powstania z 1905 roku. Wszystkie one były impulsem dla migracji.

Po upadku powstania listopadowego przez przejścia graniczne w Dobrzyniu i Brodnicy maszerowały wojska powstańcze, które tuż po przekroczeniu bram granicznych składały broń. W ruinach golubskiego zamku urządzono nawet tymczasowy obóz. Powstańcy szli dalej na zachód: do Francji, Belgii, Włoch, Wielkiej Brytanii. Podobnie było podczas powstania styczniowego. Najpierw przez Drwęcę z Prus do Kongresówki przybywali ochotnicy, a kiedy powstanie załamało się, kierunek przepływów ludzi odwrócił się. Tym razem w Prusach szukano azylu. Między 1885 a 1890 rokiem okolice przejść granicznych na Drwęcy przypominały współczesne obrazki z granic zewnętrznych Unii Europejskiej. Niemcy zaczęli wysiedlać Polaków z Prus, co przeszło do historii pod pojęciem rugów pruskich. „Jakby tabor wojenny ciągnęły dziś fury ze Skępska, Gajewa, Ostrowitego, Piątkowa i wielu innych wsi, których wymienić niepodobna” – pisano o sytuacji w sierpniu 1885 roku w poznańskim „Orędowniku”. W tym samym czasie Polacy zaczęli organizować komitety dla wygnańców.

„Spostrzegłem na moście o poręcz opartego, łzawym wzrokiem w nurty rzeki patrzącego młodego chłopca. Pytam się go więc, czy i on do wygnańców należy. Dowiaduję się, iż się nazywa Franciszek Radomski i mieszkał w Bielsku pod Kowalewem” – czytamy w „Orędowniku”. Ofiarą masowych wysiedleń ludności polskiej był też Walenty Bieniaszewski. Mieszkał w niemieckim Elgiszewie, ale pochodził z rosyjskiego wówczas Działynia. Obie miejscowości dzieliło 20 kilometrów i granica. Zmuszony wraz z rodziną do opuszczenia Prus dotarł do Golubia, by przepłynąć się przez graniczny most. W Dobrzyniu jednak, już po rosyjskiej stronie, oświadczone mu, że nie może udać się do Działynia ani innej wsi po tej stronie granicy. Wrócił więc do Elgiszewa, ale tam nie miał już ani mieszkania, ani pracy. Został kimś na kształt dzisiejszego bezpaństwowca. Inny przykład to Marian Bronikowski – mężczyzna nawet nie pamiętał, że urodził się w rosyjskiej części Polski. Gdy nakazano mu opuszczenie Niemiec, zaczął szukać w archiwach swoich metryk. Za wszelką cenę chciał pozostać. Nie znał rosyjskiego, a polski słabo. W Prusach odbył nawet służbę wojskową i pracował przez 25 lat jako urzędnik gospodarczy. Ożenił się i tu na świat przyszło ośmioro jego dzieci. Tuż przed Bożym Narodzeniem 1886 roku Bronikowski wraz z rodziną został odtransportowany przez żandarmów na granicę do Golubia. Jeszcze zanim przekroczył granicę, zdołał wysłać telegram do cesarza Niemiec z prośbą o cofnięcie nakazu wydalenia, choćby na czas świąt. Odpowiedź nadeszła. Była pozytywna, a Bronikowski został zawrócony dosłownie spod mostu na Drwęcy między Golubiem a Dobrzyniem.

Ta historia była jednak odosobniona. W tłumie uchodźców zaczynało się nawet mówić o tym, że wygnańcy zostaną zabici, ponieważ nie należą do żadnego z państw. „Biedni z miejsc i zarobków wyrzuceni, wyniszczeni podróżami i brakiem dochodu w oplakany stan. Ani im mieszkania wynająć, ani kredytu zaciągnąć, ani do roboty przyjąć nikt nie chce dla własnej niepewności” – czytamy w relacji prasowej z tamtych czasów.

W 1905 roku, kiedy caratem wstrząsnęła rewolucja, ruch emigracyjny nasilił się. W Lubiczu oraz Golubiu przez Drwęcę próbowały przejść setki młodych mężczyzn. Chcieli uniknąć powołania do wojska oraz kar za udział w buncie. Efekt był taki, że w pewnym momencie w 1904 roku liczba ludności Golubia zwiększyła się z 3 do 4 tysięcy. Nadliczbowy tysiąc stanowili mężczyźni w sile wieku, którzy uciekali z Kongresówki do Stanów Zjednoczonych.

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

6  
4



18

.....

Serce Chicago,  
1900

Polityczne motywy odpowiadały tylko za część tutejszych migracji. Ważniejsza była emigracja zarobkowa. Ludność z okolic Rypina oraz Lipna chętnie więc i masowo emigrowała za ocean. „Od kilkunastu już lat trwa wędrówka polskiego chłopca do Ameryki. A dziś do tego doszło, że jeden na 30 zna Płock, to prawie każdy potrafi z całą dokładnością wyliczyć godziny odejścia pociągów, dni odpływania okrętów z Hamburga i Bremy” – donosił z Rypina w 1896 roku warszawski „Głos”. Z Ameryki płynęły z powrotem dolary, które zamieniano na ruble. Tylko w 1896 roku do powiatu rypińskiego przesłano zza Atlantyku bajonką sumę 150 tysięcy rubli.

Już w 1917 roku w Chicago powstała pierwsza organizacja zrzeszająca żydowskich emigrantów z Dobrzynia nad Drwęcą. Ślali oni do Polski pieniądze, by wspomóc tych, którzy jeszcze nie wyjechali. W odróżnieniu od Żydów Polakom wiodło się różnie. Nie byli tak dobrze zorganizowani. Przy okazji wpadali w pułapki zastawiane przez obiecujących im złote góry fałszywych agentów migracyjnych. Aby przeciwdziałać temu zjawisku, w Dobrzyniu otwarto nawet punkt informacyjny, w którym potencjalni emigranci mogli pozyskać wiarygodne informacje o Ameryce. Jednak zagrożenia czyhały również w samych Stanach. W 1882 roku w prasie polonijnej ukazał się cykl artykułów poświęcony polskim emigrantom. Opowiadał o miasteczku Bloomfield położonym w stanie Iowa. Jednym z bohaterów był Bartłomiej Jagorzewski z Golubia, który wyemigrował w wieku 61 lat. Wraz z nim ocean przepłynęła jego 21-letnia córka Agnieszka. Podobnie jak tysiące innych imigrantów oboje szukali pracy, gdy wpadli w ręce jednego z miejscowych biznesmenów. Dziennikarz relacjonował: „Właśnie gdy ich spotkał, pan jakiś, który mi podejrzliwie wyglądał złowił i ojca i córkę. Ostatnia, dziewczę bez przesady urocze, z pięknym kruczym włosiem i ślicznym rumieńcem. Zaklinałem, prosiłem na wszystko, aby temu człowiekowi nie zawierzali”.

Emigracja straciła na sile wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej. W 1916 roku rozpoczął się okres większej swobody i organizowania się Polaków, który dwa lata później doprowadził do odrodzenia się państwa polskiego. W 1920 roku na ziemi dobrzyńskiej zatrzymała się bolszewicka ofensywa, której celem było przekroczenie Wisły. Szczególnie zacięte walki toczyły się pod Bobrownikami. Nic dziwnego, że ziemia dobrzyńska usłana jest pomnikami i mogiłami.

19

.....

Ziemia dobrzyńska, okolice wsi Żałe  
fot. Jędrzej Lichota

20

.....

Bilet (szyfkaart) na statek  
z Hamburga do Nowego Jorku, 1891

WSZYSCY JESTEŚMY MIGRANTAMI

s. → 6

6





# COUPON

## HAMBURG-AMERICAN PACKET CO.

18-21 Dovenfleth, Hamburg.

### Zur besondern Beachtung des Reisenden.

Dieser Coupon ist von dem Reisenden bei der schriftlichen Anmeldung zur Reservierung der Plätze portofrei an die **Direktion der Hamburger Linie, 18 bis 21 Dovenfleth, Hamburg**, einzusenden, worauf er, unter Rücksendung des Coupons, Nachricht erhalten wird, auf welchem Dampfschiffe ihm Platz reservirt ist; unangemeldet und ohne Coupon darf sich Niemand zur Abreise einfinden.

Freie Beköstigung beginnt erst auf dem Ozeandampfer von Hamburg aus. Im Falle die Passage nicht benutzt wird, muß der Coupon dem Käufer zurückgesandt werden, welchem allein das eingezahlte Geld nach üblichem Abzug aus- gefolgt werden wird.

Betreffs der näheren Ueberfahrtsbestimmungen wird der Passagier auf den Prospectus der Gesellschaft verwiesen, welcher ihm nach Uebersendung dieses Coupons zugesandt werden wird.

C. B. RICHARD & CO., General Passenger Agents for America, 86 La Salle St., CHICAGO, ILL.  
61 Broadway, NEW YORK.

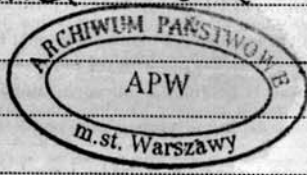
### STEERAGE PASSAGE

From HAMBURG to NEW YORK.

Names *Lurefa Cibulski*

Address *Mama Paszta*

Age *25*



*RR to Baiting  
Hollor*

*1*  
Adult

Child  
bet. 1 & 12 yrs.

Child  
under 1 year.

### EUROPEAN RAILROAD

*from New York to  
Baiting Hollor Station S. R. R.  
to Hamburg.*

Adult

Child bet. 4 & 10 yrs.

Child under 4 yrs.

*Sam W Foster & Son*

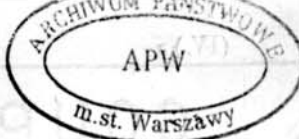
Agent,

in *Pomerhead*

No. *12182*

Date *February 17, 1891*





50

[CZEK.]

**DŮLEŽITÉ UPOZORNĚNÍ PRO CESTUJÍCÍ.**—Tento přepravní list musí odeslat s písemným přihlášením se o místo na lodi zaslat franko na tuto adresu: HAMBURSKA SPOLEČNOST 18-21 DOVENFLETH, HAMBURG, načež bude mu opět vrácen s udáním na které parolodi místo pro něho ponecháno jest. Dříve a bez této přepravní listiny nesmí se nikdo na cestu vydat.

Bezplatné stravování počíná teprve na lodi v Hamburku. Vpádu že by tento přepravní list upotřeben nebyl, musí jej cestující kupci zpět zaslat, jemuž jediné se složené peníze po obvyklé srážce zpět vypláti.

Tato přepravní listina nemůže na jinou osobu přenesena býti. Ohledně dalších ustanovení přepravy odkazuje se cestující na prospekt společnosti, který mu po odeslání této listiny poslán bude.

[POLSKY.]

**SZCZEGÓLWOWE UWAGY DLA PASAŻERÓW.**—Pasażer musi te szfikatry przesłać franco do HAMBURGSKEJ COMPANIE, 18-21 DOVENFLETH, HAMBURG, poczem mu będe znów powrócona i zostanie uwiadomiony, na którym parowcu zatrzymano dla niego miejsce; nikt niepowinien przybyć niezawiadomwszy o tem lub bez szfikatry. Wolny wikt pasażerów zaczyna się dopiero na okręcie oceanowym w Hamburgu. W przypadku, że by szfikatry ta użyta niebyła, musi być powrócona wykupicieli i temu tylko zostaną zwrócone pieniądze po odciągnięciu zwyyczajnej kwoty. Ten bilet niemożo przeniesionym być na inne osoby.

Wszystkie inne przepisy i reguły, tyżące się przeprawy, znajdzie pasażer w prospekcie kompanie, który mu zostanie przestany rażem z odpowiedzialją na jego się przygłoszenie.

[SZLOVENSZKI.]

**OZNÁMENIE**—Cestovatel musí túto cestovnú poukážku spolu aj so svojou „applikáciou“ pre prevoz v liste odplatenom do HAMBURGSKEJ COMPANIE, 18-21 DOVENFLETH, HAMBURG, doposlať, na čo patrične hned upovedomený bude o tom, na ktorom parniku (šife) pre neho mesto zadržané bolo, prí čom navráti sa mu aj poukážka. Zakaľ pocestný také oznámenie, pri ktorom pripojená je aj poukážka, neobdrží, do prístavu nech neprichádza. Pocestný zaopárení budú s potravou lem na oceánskom parniku medzi Hamburgom a New Yorkom. Keď by sa poukážka neupotrebila, musí sa tá kupiteľovi navrátiť, ktorému sa peniaze krome obyčajnej komissie vynahradia.

Táto cestovná poukážka na iného prepísať sa nemáže. O všetké ďalšie informácie odkázaný je cestovatel na oznam tejto spoločnosti, ktorý sa mu, keď v privoz žiada, dopošle.

[DANSK.]

**PASSAGERER ANMODER OM AT LÆGGE NØIE MÆRKE TIL FØLGENDE.**—Denne Passageordre bør frankeret indsendes af den Reisende til DIRECTEUREN AF HAMBURG LINIEN, Nos. 18-21, DOVENFLETH, HAMBURG, naar han gjør skriftlig Anmeldelse om reserveret Plads, hvorefter han ved Tilbageendelse af Passageordren vil blive underrettet om det Dampskib hvori Plads er bleven forbeholdt ham. Uden Anmeldelse og uden Passageordre maa Ingen indfinde sig for at afreise.

Dersom Overfarten ikke finder Sted, bør Passageordren sendes tilbage til Kjøberen, der alene har Ret til at faa tilbage det indbetalte Pengebeløb, efter sædvanligt Fradrag.

Denne Passageordre kan ikke overdrages. For nærmere Overfartsbestemmelser henvises den Reisende til Selkabets Prospectus, der vil blive tilstillet ham efter Oversendelse af denne passageordre.

[SVENSKA.]

**DEN RESANDE GJØRES UPPMÆRKSAM PÅ FØLJANDE.**—Denna passageorder bör por-tofritt insändas af den resande då han skriftligen gör anmälan om reservering af plats till DIREKTÖREN AF HAMBURG LINIEN, Nos. 18-21 DOVENFLETH, HAMBURG, hvarefter han vid återvändandet af passageordern erhåller underrättelse om på hvilken ångbåt plats har blifvit reserverad för honom. Utan anmälan och utan passageorder bör ingen infinna sig för öfverfart.

I händelse att öfverfarten ej blifver af, bör passageordern tillbakasändas till köparen, som ensam har rätt att återfå det inbetalda beloppet efter det vanliga afdraget.

Denna passageorder kan ej öfverflyttas till en annan person. För närmare öfverfartsbestämmelser hänvisas passagerare till sällskapets prospekt, som skall tillställas honom efter det han öfversändt passageordern.

דיעזער שיפשיין איזט פאן דעם רייזערען בייא דער שריפטליכען אנמערונג  
צור רעזערווירונג דער פלעטצע פארטא פרייא אן דיא  
**Hamburger Linie**, 18-21 Dovenfleth, Hamburg,  
אונטער ריקוועירונג ער, ווארויף ער, אונטער ריקוועירונג  
דעם שיפשיינס, נאכריכט ערהאלטען ווירד, אויף וועלכעם דאמפשיפע איהם  
פלאצן רעזערווירט איזט. אינאנגעמערדעט אונד אהנע שיפשיין דארה זיך  
ניעמאנד צור אברייזע איינשינדען.

פרייע בעקעסטיגונג בענינט ערשט אויף דעם אצעאנדאמפער פאן האמבורג  
אויס, אים פאללע דיא פאסאזשע ניכט בענוטצט ווירד, מוסס דער שיפשיין  
דעם קויפער צוריקגעואנטרט ווערדען, וועלכעם אריין דאס איינגעצאהרטע גענד  
נאך אינריכטע אכצונ אויסגעפאלגט ווערדען ווירד.  
דיעזער שיפשיין איזט ניכט איבערטראגבאר.

בעטרעפס דער געהערען איבערפאהרטספעטימונגען ווירד דער פאסאזשער  
אויף דען פראספעקטוס דער געוועלשאפט פערוויזען, וועלכער איהם נאך  
איבערענדירונג ריעזעם שיפשיינעם צוגעואנטרט ווערדען ווירד.







21  
.....

Jezus, dzięki któremu  
ocalał cmentarz w Dulsku  
fot. Karolina Dziubata



22  
.....

Przepowiednia,  
prawdopodobnie  
z roku 1983  
fot. Jędrzej Lichota

„Nadejdą czasy, kiedy nie  
będziesz mógł nic kupić ani  
sprzedać. Żli ludzie będą miesz-  
kali na dnie morza i czychali na  
zdobycz. Wojna rozpocznie się,  
kiedy zboża zaczną dojrzewać”.

Ruch migracyjny przybrał ponownie na sile w dwudziestoleciu międzywojennym.

Jak wyglądało codzienne życie ludności na ziemi dobrzyńskiej w XIX wieku? Co popychało ją do decyzji o zamorskiej emigracji? Zacznijmy od Żydów. W historii ziemi dobrzyńskiej odegrali oni bardzo znaczącą rolę. Teoretycznie stanowili mniejszość, ale w niektórych miasteczkach – na przykład w Dobrzyniu nad Drwęcą – było ich więcej niż Polaków. Zajmowali się handlem i rzemiosłem, w obu Dobrzyniach, Lipnie i Rypinie wzniesli synagogi. Mieszkali w osobnych dzielnicach, które do dziś łatwo rozpoznać: niskie domki z drewna lub gliny położone niemal w centrach miasteczek to pozostałość po tej prężnej kulturze. W Dobrzyniu nad Drwęcą Żydzi szczycili się wielkimi jarmarkami, na które ściągała klientela nawet z Prus. W drugim Dobrzyniu, tym nad Wisłą, próbowano – choć bez większego powodzenia – przełamać żydowską dominację w handlu, zakładając katolickie spółdzielnie. Mimo dobrego zadomowienia się w tych stronach od połowy XIX wieku Żydzi zaczęli szukać szczęścia na świecie – przeważnie z tych samych powodów, co inni mieszkańcy. Większość wybierała podróż do Dobrzynia nad Drwęcą, skąd przez most przedostawali się do Niemiec, a dalej na statek do Nowego Jorku. Inni wybierali Palestynę. W małej wiosce Sitno istniało nawet gospodarstwo, w którym przygotowywali się do czekającej ich pracy w pustynnych warunkach w kibucach.

Drugą ważną grupą, która decydowała się na emigrację, byli chłopci. Stanowili oni najliczniejszą warstwę społeczną, a jednocześnie najmniej poznaną, choć niemal każdy zetknął się z archetypem dobrzyńskiego chłopca, nawet nie mając tego świadomości. Wystarczyło, że przeczytał uważnie *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej. Przebywała ona we wsi Płonne pod Golubiem-Dobrzyniem, gdzie administratorem był jej szwagier. Podpatrywała chłopów, a później obserwacje te przelewała na papier. Co wiemy o chłopach w tamtym okresie? Z pewnością to, że nie byli wykształceni. W 1908 roku na jednego nauczyciela w powiatach lipnowskim i rypińskim przypadało 1843 potencjalnych uczniów. W Skrwilnie i Okalewie na początku XX wieku niepiśmiennych było aż 67 procent mieszkańców. Niemniej w niektórych miejscowościach statystyka ta była lepsza. Przykładowo w Nowogrodzie czytać i pisać nie umiał tylko jeden na czterech mieszkańców. Wiemy też, że dobrzyńscy chłopcy byli bardzo pobożni, o czym świadczą rozsiane po całym

regionie sanktuarium. Najświętsze to te w Skępem, dokąd na miejscowy odpust wędrowały rokrocznie gigantyczne korowody pielgrzymkowe. Drugim ważnym miejscem kultu były Obory. Tu także zwracano się z prośbami o wstawiennictwo. Trzecim ośrodkiem religijnym w okolicy był klasztor w Trutowie.

Duży przyrost naturalny był jednym z czynników, które popychały do emigracji zarobkowej. Pod koniec XIX wieku wynosił on na ziemi dobrzyńskiej od 24 do 27 urodzeń rocznie na tysiąc mieszkańców. Chłopi byli ponadto obciążeni licznymi daninami, wisiało też nad nimi widmo powołania na długie lata do carskiej armii. Okoliczności przeprowadzania takich branek były bardzo dyskusyjne. Oto jak wyglądała jedna z nich w Dobrzejewicach według czasopisma „Orędownik”: „Gdy którego wywołano z listy i chciał ciągnąć los, to go odpychano i miał czekać aż Moskale, którzy przy tym byli uszykowali tak losy, że każdy gospodarski syn wyciągnął los do wojska”. W całym powiecie lipnowskim w czasie poboru z 1867 roku udało się wykupić 33 chłopów. Według „Orędownika” wykup taki wynosił 400 rubli, co było olbrzymią kwotą. W latach 1832–1873 do wojska rosyjskiego wcielono blisko 309 tysięcy poborowych z Królestwa Polskiego, z których około 75 procent nie przeżyło służby. Ci chłopci, których nie wcielono do wojska, a którzy nie byli w stanie utrzymać siebie i swoich rodzin z karłowatych gospodarstw, służyli w folwarkach. Mieszkali w czworakach należących do dworu, śpiąc na klepisku w fatalnych warunkach higienicznych. W jeszcze trudniejszej sytuacji byli pracownicy sezonowi, czyli co trzeci robotnik na folwarku. Mieli oni zatrudnienie tylko w czasie prac polowych, później byli nieprzydatni. Również dieta chłopów świadczyła o ich niedostatku. Jak pisał Aleksander Petrow, XIX-wieczny etnolog: „Jedzenie zwykle składa się z zupy: kartoflanej, barszczu, krupniku, kapuśniaku, rosółu, zacierek i sztuki mięsa, tudzież klusek, łazanek, pierogów z sera”. Nie była to wyszukana kuchnia, ale pozwalała napełnić żołądek.

Do chłopów należała tylko połowa ziemi. Drugą użytkowali ziemianie. Średniej wielkości majątek liczył 450 hektarów. Z pojedynczymi wyjątkami właścicielami ziemskimi byli Polacy. Nie była to jednak warstwa jednolita. Niektórzy byli nieco biedniejsi, podczas gdy najbogatsi, posiadający tytuły hrabiowskie, należeli do śmietanki II Rzeczypospolitej. Wielu ziemian udzielało się społecznie, niektórzy

byli znani na cały kraj – na przykład właściciel Skępego, Gustaw Zieliński, literat i posiadacz imponującej biblioteki. Większość zamieszkiwała na ziemi dobrzyńskiej od stuleci. Zboińscy bywali na sejmach walnych za czasów króla Jana Kazimierza, a rodzina Karnkowskich w XVI wieku zbliżyła się nawet do dworu królewskiego. XIX-wieczni spadkobiercy tych tradycji również zapisali się w historii. Uczestniczyli w powstaniach narodowych, a później ponosili ich konsekwencje, emigrując do Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych czy Imperium Osmańskiego.

Ostatnią warstwą społeczną byli mieszczaństwo. Nie stanowili oni wielkiej siły, ponieważ same miasteczka na ziemi dobrzyńskiej nie były metropoliami. Powiatowe Lipno i Rypin liczyły w początkach XX wieku – włączając ludność żydowską – po około 10 tysięcy mieszkańców. Żyli oni z handlu i rzemiosła. Najgłośniejszymi dniami były dni handlowe, w Lipnie – poniedziałki i czwartki, a w Dobrzyniu nad Drwęcą – wtorki i piątki. Mieszkańcy miasteczek musieli żyć w symbiozie z okolicznymi chłopami. Rzemieślnik wyrabiał kosy i pługi, a w zamian kupował od chłopów masło i mięso. Elitę mieszczaństwa stanowili urzędnicy, lekarze i prawnicy. Tych ostatnich było niewiele. Według spisu z 1897 roku na dwóch prawników z Lipna przypadało rocznie 505 spraw. Jeszcze gorzej kształtowały się statystyki dotyczące lekarzy. Również dziś wszystkie wymienione miasteczka mają charakter handlowo-rolniczy.



#### Literatura

- |   |   |   |  |
|---|---|---|--|
| Bartoszewski R. (red.),<br><i>Z dziejów ziemi dobrzyńskiej</i> ,<br>Dobrzyń nad Wisłą:<br>Stowarzyszenie<br>Gmin Ziemi<br>Dobrzyńskiej<br>2008. | Gałkowski P.,<br><i>Ziemianie i ich<br/>własność w Ziemi<br/>Dobrzyńskiej w latach<br/>1918–1947</i> , Rypin:<br>Muzeum Ziemi<br>Dobrzyńskiej 1999.                   | Kolberg O.,<br><i>Właściwości, pieśni i tańce<br/>ludu Ziemi Dobrzyńskiej</i> ,<br>Kraków: Drukarnia<br>Uniwersytetu<br>Jagiellońskiego 1882.   | Shmuel Alon (red.),<br><i>Sefer Lipno, Skepe,<br/>Lubicz ve-ha-Sevivah<br/>Sefer Lipno</i> ,<br>Tel Aviv: Society<br>of Former Residents<br>of Lipno and Vicinity<br>1988. |
| Dąbrowska M.,<br><i>Dzienniki 1914–1965</i> ,<br>Warszawa: Polska<br>Akademia Nauk<br>2009.   | Harpaz M. (red.),<br><i>My Town. In Memory<br/>of the Communities<br/>Dobryzn-Gollob</i> ,<br>Tel Aviv: Association<br>of Former Residents<br>of Dobryzn-Gollob 1969. | Petrow A.,<br><i>Lud Ziemi Dobrzyńskiej,<br/>jego zwyczaje, mowa,<br/>obrzędy, pieśni, leki,<br/>zagadki, przysłowia itp.</i> ,<br>„Zbiór Wiadomości do<br>Antropologii Krajowej” 2 (3),<br>1878, s. 3–182. | Zieliński G.,<br><i>O ziemi dobrzyńskiej.<br/>Badania historyczne<br/>(z mapą)</i> ,<br>Warszawa: Biblioteka<br>Warszawska 1861.   |

Na ziemi dobrzyńskiej mieszkali też osadnicy niemieccy. Przybywali tu w poszukiwaniu lepszego jutra, pożądati ze względu na wiedzę i umiejętności z zakresu zaawansowanego rolnictwa. Stawali się poddanymi cara, ale zachowywali swoją religię, kulturę i język. Byli świetnie zorganizowani, zamieszkiwali osobne osady, zazwyczaj wzdłuż Wisły, uprawiając zboża i owoce. Słynęli zwłaszcza z pięknych sadów śliwkowych. Drzewka rosły na terenach zalewowych, a czasem nawet na łąkach wiślanych. Najbardziej znana świątynia ewangelicka na ziemi dobrzyńskiej istnieje do dziś w Lipnie. Do okazałego kościoła przychodzi co niedziela kilkoro wiernych. Niemal wszyscy Niemcy opuścili te okolice na początku 1945 roku. Jeszcze wcześniej, w 1941 i 1942 roku, przesiedlono tu niemieckich kolonistów z Besarabii i państw bałtyckich. Zajmowali domy Polaków, których wypędzano do Generalnego Gubernatorstwa lub, w gorszym przypadku, pędzono na roboty przymusowe. Ludzi wysiedlano późnym wieczorem lub nocą, by rano do opuszczonych domów mogli wprowadzić się Niemcy. Działo się tak niemal w każdej wsi. W styczniu 1945 roku wozy wypełnione naprędce zapakowanym dobytkiem ponownie gnały przez owianą śniegiem ziemię dobrzyńską. Byli to Niemcy, którym pozwolenie na ewakuację wydano w ostatnim momencie, gdy zza horyzontu dobiegały już huki dział Armii Czerwonej.

Ludzie emigrują z ziemi dobrzyńskiej i dzisiaj. Z Gdańska, Warszawy i Bydgoszczy wylatują do Wielkiej Brytanii, Irlandii i Skandynawii. Sezonowo jeżdżą do prac w rolnictwie w Niemczech. Miastem lokalnie „wysysającym” dobrzyniaków jest Toruń. Młodzi ludzie trafiają tam już do szkół średnich, potem na studia i najczęściej z tym miastem wiążą swoje dalsze losy. Jednocześnie na ich miejsce napływają inni. W ostatnich latach najwięcej jest migrujących wahadłowo przybyszy z Ukrainy.





(23)

23

Transatlantycki liniowiec S.S.  
Oceanic armatora White Star  
Line, 1900–1903

24

Emigranci ze statku Prinzess Irene  
przesiadają się na pokład promu  
płynącego do stacji imigracyjnej  
Ellis Island, 1911



(24)



(25)

25

Badanie oczu podczas kontroli  
imigracyjnej na Ellis Island,  
1913

„Od kilkunastu już lat trwa wędrówka polskiego chłopca do Ameryki. A dziś do tego doszło, że jeden na 30 zna Płock, to prawie każdy potrafi z całą dokładnością wyliczyć godziny odejścia pociągów, dni odpływania okrętów z Hamburga i Bremy”.



Polski chłopiec o imieniu  
Willie pracujący w fabryce  
Quidwick Co. Mill., Anthony,  
Rhode Island, 1909



27  
.....

Dziewczynka pracująca  
w fabryce tekstylnej  
Globe Cotton Mill, Augusta,  
Georgia, 1909

\_\_\_\_ Dorota Praszalowicz  
Instytut Amerykanistyki i Studiów  
Polonijnych Uniwersytetu  
Jagiellońskiego

Ze wspólnych dziejów migracji  
Niemców, Polaków i Żydów.  
Zamorskie migracje w drugiej  
połowie XIX i na początku XX wieku

Badania dziejów migracji są na ogół etnocentryczne. Każda wspólnota narodowa koncentruje się na historii własnych strumieni emigracyjnych i traktuje je jako wyjątkowe, niepowtarzalne, wywołane szczególnym splotem niesprzyjających politycznych okoliczności. Ponadto badacze często ignorują procesy migracyjne zbiorowości mniejszościowych lub też analizują je w oderwaniu od migracji grup dominujących. Polscy historycy zajmują się zatem mobilnością etnicznych Polaków, ale już nie Niemców, Rusinów, Litwinów czy Żydów, choć z grupami tymi Polacy dzielili w przeszłości większość terytoriów i choć wszyscy oni razem podróżowali w strumieniach masowych migracji zamorskich.

Z powodu etnocentrycznego podejścia do procesów migracji trudno jest dostrzec fascynujące procesy rozprzestrzeniania się gorączki migracyjnej oraz formowania się łańcuchów migracyjnych ponad granicami państw narodowych. Łańcuchy migracyjne to powiązania społeczne, które sprawiają, że migranci pociągają za sobą do nowego kraju swych bliższych i dalszych krewnych oraz znajomych.

Zgodnie z logiką etnocentryczną badacze skupiają się na ogół na tym, jak formowały się łańcuchy migracyjne w obrębie jednej grupy wyznaniowej lub językowej. Wszystko wskazuje jednak na to, że procesy te przekraczały granice grupowe i w ślad za Niemcami do Ameryki migrowali z obszarów pogranicza ich sąsiedzi, m.in. Alzaccyzy, Czesi, Żydzi, a także Polacy.

Przyjrzyjmy się masowym zamorskim migracjom z Europy Środkowej i Wschodniej oraz wspólnym losom migracji niemiecko-polskich z uwzględnieniem wybranych wątków migracji żydowskich. Migracje niemieckie do Ameryki, praktycznie w Polsce nieznane, warte są zainteresowania z kilku powodów. Po pierwsze, zostały zapoczątkowane już w czasach kolonialnych, gdy do Ameryki uciekali przed prześladowaniami religijni dysydenci, m.in. menonici (np. w Pensylwanii przybysze z państw niemieckich stanowili 1/3 ludności). Po drugie, Niemcy byli obecni w strumieniach migracyjnych płynących do USA od początku masowych migracji zarobkowych, tzn. od lat 30. XIX wieku, aż do pierwszej wojny światowej. Oznacza to, że w XIX wieku przybywali oni w ramach tzw. „starej imigracji” razem z Irlandczykami, Holendrami i Skandynawami, a następnie z tzw. „nową imigracją” razem z Włochami, Polakami, Grekami czy Rusinami. Po trzecie, współcześnie niemiecko-amerykańska zbiorowość jest najliczniejszą spośród wszystkich grup imigracyjnych: według deklaracji dotyczących pochodzenia gromadzonych w spisach ludności liczy ponad 49 milionów osób. Dla porównania, pochodzenie polskie deklaruje prawie 10 milionów Amerykanów, a żydowskie – ponad 5 milionów.

W Europie Środkowej i Wschodniej strumienie masowych transatlantyckich migracji zostały zainicjowane we wschodnich prowincjach pruskich w połowie XIX wieku. W niemieckiej historiografii spotykamy stwierdzenia, iż zamorską emigrację Niemców z obszaru pruskiego wywołały sezonowe migracje Polaków z Królestwa Kongresowego do prac w rolnictwie, obniżające stawki za dniówkę. Z kolei w polskiej historiografii panuje przekonanie, że masowe strumienie polskich emigracji do Ameryki zostały wypchnięte przez antypolską politykę władz zaborczych, najpierw pruskich, a później także austriackich oraz carskich. W obu przypadkach dyskurs historyczny zanurzony jest w narodowej – niemieckiej lub polskiej – narracji, w której stereotyp sąsiada-wroga odgrywa kluczową rolę.



# AMERICAN RAILROAD ORDER.

No. **12182**

**C. B. RICHARD & CO., Gen'l Passenger Agents, 61 Broadway, New York.**

Please furnish **Sveofa Chulbki**

with ~~Emigrant~~ Tickets from **New York**  
to **Batting Kollens Station S. J. RR.**  
**1** full tickets. Rate, \$ **2.20**

**1**  
Adult

Child bet. 5 & 12 yrs.

Child under 5 yrs.

**Mat W Foster**

Agent,

In **Bureau**

State **New York**

Date



64

Der Passagier hat diese amerikanische Eisenbahnordre von dem Coupon abzutrennen und zu behalten, bis er nach New York kommt. Bei Ankunft daselbst ist diese Ordre sofort im Castle Garden vorzuzeigen.

[ENGLISH.]

The passenger must detach this American Railroad Order from the Coupon and keep it till he reaches New York. Upon arrival there, this order must be immediately presented in Castle Garden.

[ČESKY.]

Tuto poukázku musí cestující odtrhnout a při příjezdu do New Yorku, v Castle Garden při zápisu předložit.

[POLSKY.]

Pasażer musi załączoną karteczkę od Couponu oddzielić i po przybyciu do New Yorka natychmiast w Castle Garden przy zapisowaniu pokazać.

[SZLOVENSZKI.]

Cestovateľ musí túto, Americkú zelezničnú poukážku od Couponu oddeliť a zadržať pri sebe do tej chvíľy do New-Yorku nepríde. Hneď po svojom príchode tá má poukážku tú ukázať v Castle Garden.

[DANSK.]

Passageren maa afribe denne amerikanske Jernbaneordre fra Couponen og opbevare den indtil han naar New York. Ved Ankomsten der maa han strax presentere den i Castle Garden.

[SVENSKA.]

Passageraren måste afrifva denna amerikanska Jernvägsorder från passageordern samt förvara den, och vid ankomsten till New York, genast framvisa den samma i Castle Garden.

דער פאסטארשיער האט דיעזע אמעריקאנישע אייזענבאהן־ארדער פאן דעם שיפעסשיין אכצן טרעננען אונז צו בעהאלטען, ביז ער נאך ניו־ארק קאמט. ביא אנקונפט דאזעלנסט איזט דיעזע ארדער זאפארט אים קאסטעל גארדען פארצווייגען.





Tymczasem masowe zamorskie migracje były spowodowane przede wszystkim procesami demograficznymi – szybkim wzrostem liczby ludności i będącym jego następstwem przeludnieniem. Ważną rolę odegrały również procesy modernizacji, które pozbawiły rzesze ludności tradycyjnych źródeł zarobkowania, otwierając jednocześnie transatlantycki rynek pracy. W tym kontekście najważniejsze było to, że każdy z zaborów stał się zaniedbanym gospodarczo peryferium mocarstwa zaborczego, w którym szanse na poprawę bytu dla coraz liczniejszej ludności lokalnej były bardzo ograniczone. Dotyczyło to wszystkich mieszkańców, w przypadku wschodnich prowincji pruskich nie tylko Polaków, ale też Niemców i Żydów. Wyjątkiem były jedynie napływowe elity.

Rzetelna analiza źródeł wskazuje na to, że to nie napięcia na tle narodowościowym, lecz czynniki demograficzne i gospodarcze odegrały kluczową rolę w wypychaniu strumieni migracyjnych. Zacołanie gospodarcze ziem pod zaborami – niezależnie od rozwoju przemysłu na kilku obszarach, takich jak Górny Śląsk – powodowało, że procesy modernizacyjne przebiegały w wolniejszym tempie. Badacze migracji wskazują, że mobilność społeczna zaczyna się na większą skalę nie wtedy, gdy panuje stagnacja czy izolacja, lecz wręcz przeciwnie, gdy w ruch zostają wprawione mechanizmy modernizacyjne. Zatem zbyt wolny lub częściowy tylko przebieg modernizacji okazuje się czynnikiem sprzyjającym migracji.

Należy dodać, iż procesy, utrwalone w pamięci zbiorowej jako „odpowiedzialne” za liczne wychodźstwo, faktycznie miały miejsce i odegrały ważną rolę w życiu lokalnej ludności. Z jednej strony, napływ „zza kordonu” sezonowych pracowników do prac rolnych we wschodnich prowincjach pruskich był na tyle liczny, że władze usiłowały go ukrócić, a z czasem wręcz zawrócić poprzez tzw. rugi pruskie (1885–1890). Ze strony drugiej, polityka germanizacyjna była faktem w zaborze pruskim, przy czym jej natężenie było zmienne w czasie. Jednak to nie te czynniki wypchnęły za ocean miliony ludzi.

Modernizacja jako istotna przyczyna wychodźstwa nie znajduje miejsca w pamięci zbiorowej żadnej z grup objętych gorączką migracyjną. A przecież proces opisany w literaturze niemieckiej jako *Ostflucht* objął we wschodnich prowincjach pruskich zarówno ludność niemiecką, jak również polską oraz żydowską. W istocie, w proporcji

do swej liczebności najintensywniej emigrowali z niektórych rejonów wschodnich prowincji pruskich – na przykład rejencji bydgoskiej – tamtejsi Żydzi. Oni też zaczęli też emigrować najwcześniej.

Spośród migrantów, którzy opuszczali Europę Środkową i Wschodnią i decydowali się na podróż zamorską, większość osiadła w Stanach Zjednoczonych Ameryki. Dotyczy to wszystkich trzech wymienionych grup. W nowym kraju Niemcy, Polacy i Żydzi zamieszkali niedaleko siebie, odtwarzając tym samym dawne sąsiedztwo.

Zwróćmy uwagę, iż w falach masowej imigracji pierwsi niemieccy Żydzi przybywali do Ameryki razem z imigrantami niemieckimi i wśród nich się osiedlali. To samo dotyczy pierwszych polskich imigrantów z prowincji pruskich. Ci ostatni uruchomili łańcuchy migracyjne, które z czasem objęły Polaków z pozostałych dwóch zaborów. Innymi słowy – pionierami masowych zamorskich migracji polskich byli mieszkańcy zaboru pruskiego, którzy z czasem pociągnęli za sobą mieszkańców zaboru austriackiego oraz rosyjskiego.

Obok zaniedbania, jakim jest brak zestawiania ze sobą dziejów migracji różnych, sąsiadujących ze sobą grup, drugim ważnym zaniedbaniem jest to, iż w badaniach w zasadzie nie zwraca się uwagi na relacje między różnymi grupami imigracyjnymi. Wyjątkiem jest praca dotycząca stosunków międzygrupowych w międzywojennym Nowym Jorku autorstwa Ronalda H. Bayora. W większości studiów akcent jest raczej położony na stosunki większość – mniejszość, czyli na relacje między zbiorowością dominującą a przybyszami; bądź też – w późniejszych badaniach – na stosunki rasowe.

Owo pomijanie tematyki relacji między różnymi zbiorowościami imigrantów dotyczy także większości polskich studiów migracyjnych. Należy jednak odnotować kilka prac, których autorzy – na przykład Ewa Morawska, Janusz Mucha czy Adam Walaszek – wyszli poza dzieje jednej grupy i zainteresowali się jej relacjami z imigracyjnym otoczeniem. Studia te są wyjątkowe także i dlatego, że dotyczą głównie życia codziennego zwykłych ludzi i ich doświadczenia migracji. W większości innych opracowań, jeśli w ogóle pisano o stosunkach międzygrupowych, to interesowano się przede wszystkim liderami i ich wzajemnymi konfliktami. Dla wielu analiz – m.in. autorstwa Andrzeja Kapiszewskiego czy Mirosława Franciśca – punktem wyjścia stawała się sytuacja pierwszych dwóch dekad xx wieku, gdy faktycznie

dochodziło do częstych konfliktów. Przyczyną były narastające w każdej z grup etnicznych nastroje narodowe, które uświadamiały imigrantom, że ich polityczne interesy w starym kraju są wzajemnie sprzeczne. To prowadziło do ostrych konfrontacji, które zostały utrwalone w pamięci zbiorowej wszystkich zaangażowanych stron. O konfliktach pisała bowiem obszernie etniczna prasa, poświęcano im dokumenty organizacji etnicznych (oficjalne deklaracje, programy działań skierowanych przeciw innym grupom), wspominano o nich także w emigracyjnej literaturze pięknej. To są źródła, do których sięgają obecnie badacze dziejów migracji i na ich podstawie formułują tezy o przeniesieniu do Ameryki konfliktów ze starego kraju. Prawie całkowicie zapomniane zostały natomiast liczne przykłady wspólnych dziejów i wcześniejszej współpracy imigrantów z Europy Środkowej i Wschodniej. Informacje na ten temat są też o wiele trudniej dostępne – często należy ich szukać w źródłach między wierszami.

Uważna analiza źródeł wskazuje jednak, że stosunki między dawnymi sąsiadami były na emigracji częste i dość bliskie. Wszak gdyby prawdziwe było stereotypowe postrzeganie wzajemnych relacji jako odwiecznie wrogich, dawni sąsiedzi zadbaliby o to, by na obczyźnie osiedlić się jak najdalej od siebie. Ich sąsiedzowanie w nowym kraju najlepiej świadczy o tym, że byli do siebie przyzwyczajeni i oczekiwali od siebie nawzajem wsparcia.

W znacznym uproszczeniu dzieje stosunków imigrantów niemieckich i polskich w Nowym Świecie przedstawić można jako cykl prowadzący przez różne fazy – od bliskości i symbiozy na co dzień, poprzez napięcia i dystans społeczny, do współpracy organizacji etnicznych, wynikającej ze świadomości wspólnych interesów. Czyli od sąsiedzowania i współpracy w początkowych latach w USA w drugiej połowie XIX wieku, poprzez narastanie napięć na przełomie wieków i wybuch otwartego konfliktu w czasie pierwszej wojny światowej, do dystansu w latach międzywojennych i drugiej wojny światowej i wreszcie uświadomienia sobie wspólnoty położenia oraz korzyści wynikających ze współpracy w czasach amerykańskiego odrodzenia etnicznego w latach 70. XX wieku.

Wspólne wątki migracji polskich i niemieckich są przez badaczy traktowane raczej marginalnie. Tymczasem Polacy nie tylko podróżowali razem z Niemcami, ale też osiedlali się w ich skupiskach

w nowym kraju. W istocie trudno znaleźć w USA skupisko polskich imigrantów, które byłoby położone z dala od społeczności niemiecko-amerykańskiej. Dotyczy to zarówno metropolii takich, jak Nowy Jork i Chicago, jak również innych miast, m.in. Detroit, Buffalo, Milwaukee, St. Louis czy obszarów rolniczych w Teksasie oraz w Wisconsin. W tych samych skupiskach, za wyjątkiem obszarów rolniczych, mieszkali też Niemiec i Polacy Żydzi.

Początkowo dawni sąsiedzi byli na siebie zdani w obcym otoczeniu i blisko współpracowali. Przykładowo, widoczna była współpraca między niemieckimi katolikami i Polakami. Nikłe natomiast były w USA relacje polskich imigrantów z niemieckimi protestantami oraz z niemieckimi wolnomyślicielami. Równocześnie każda z grup budowała własną wspólnotę, zaczynając od parafii oraz szkoły i zmierzając do kompletności instytucjonalnej, tzn. do pewnego rodzaju samodzielności. Tak więc z czasem etniczne społeczności lokalne obudowały swe parafie oraz szkoły siecią instytucji i organizacji samopomocowych, ubezpieczeniowych, środowiskowych (kobięcych, młodzieżowych, ziomkowskich), z klubami, chórami, usługami odpowiadającymi na potrzeby imigrantów oraz etniczną prasą różnych orientacji. Była to działalność skierowana do wewnątrz każdej z grup, nakazująca szukać wsparcia w oddalonych geograficznie skupiskach imigrantów, wywodzących się z tego samego kraju.

Potężna zbiorowość niemiecko-amerykańska promieniowała na mniejsze grupy migracyjne; często grupy mniej liczne i później przybyłe powoływały swe instytucje i organizacje etniczne, korzystając ze wzorów niemieckich. Należy zauważyć, że grupa niemiecko-amerykańska była szalenie zróżnicowana wewnętrznie pod względem regionalnym, językowym (różne dialekty), wyznaniowym, środowiskowym czy wręcz klasowym oraz politycznym. Owo zróżnicowanie znajdowało odbicie w różnorodności form niemieckiej aktywności w USA, od instytucji kultury elitarnej (orkiestry symfoniczne, opery, teatry) po kulturę popularną, reprezentowaną przez orkiestry dęte, lokalne chóry amatorskie czy towarzystwa gimnastyczne. Dla później przybyłych imigrantów polskich wzorem były przede wszystkim niemieckie parafie rzymskokatolickie, szkoły parafialne, zakony religijne oraz niemiecka prasa. Szkoły parafialne prowadziły nauczanie ogólne na poziomie podstawowym oraz średnim, konkurując z sukcesem ze szkolnictwem publicznym.

# Bedingungen.

1.— Der mir eingezahlte Betrag wird an  
 Herrn **K. Weinberger.**  
 in **Hamburg**  
 remittirt, wofür derselbe Billete für die be-  
 treffenden Personen mit der genannten Linie  
 besorgen wird; ich fungire daher blos als  
 der Uebermittler des Betrages.

2.— Herr  
**K. Weinberger.**  
 in **Hamburg**  
 berichtet den Passagieren davon und theilt  
 ihnen auch die nöthigen Verhaltungsmaß-  
 regeln mit.

3.— Dieser Schein gilt nur für die von mir  
 angezeigten Personen; eine Veränderung  
 kann nur von mir ausgeführt werden.

## NOTIZ.

Der Käufer sowie der Passagier des Billetes werden ersucht,  
 die Vorschriften und Verhaltungsregeln, welche auf der Rück-  
 seite desselben gedruckt sind, genau durchzulesen.

## NOTICKA.

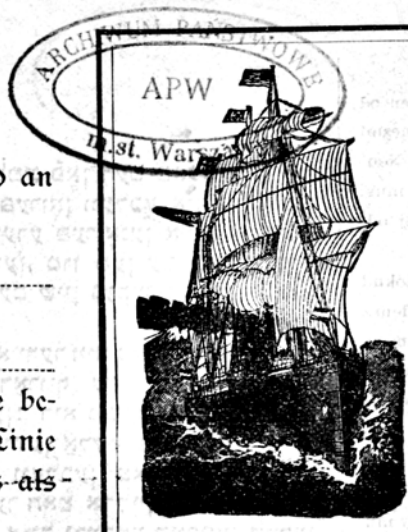
Kupitel ai Czetstovnik je povinovati toti na druhim boku  
 vitlasceni reguli csitat.

## UWAGA.

Uprasza się kupującego bilet jakoż pasażera, aby dokla-  
 dnie i uważnie przeczytali prz. pisy i reguly co do zachowania  
 wydrukowane na odwrotnej stronie biletu.

## בעמערקונג.

דער פאסטאשיר אונד דער קויפער פֿאן ריעוער  
 שיפֿפֿסקארטע ווירד זעהער בעבעטען, בענני צו לעוען  
 דיא אנדערע זייט פֿאן ריעועם שיינ.



# PAS

# Ham

No. 7964

Dieser Schein ist gü-  
 für *Ein* Erwachsenen  
 Säugling (unter 1 Jahr),  
 Zwischendeck eines Dampf-  
 nebenstehenden Bedingun-

Dieser Schein wird i

in **HAN**

## → Bu

Der Reisende hat den hierneben angefügte  
 in  
 Platz reservirt ist. Unangemeldet darf sich Ni-  
 Scheines angegebene Alter überschritten haben  
 Die Gültigkeit dieses Scheines erlischt  
 Briefes cancellirt oder ungültig gemacht wird,

# B. WEINBERGER'S PASSAGE-AGENTUR,

39 ESSEX und 342 E. HOUSTON ST., NEW YORK.

für die besten Dampfschiffe zwischen  
Hamburg, Bremen u. New York.

New York, 2. April 1891

altig für *David Kopf* zur freien Fahrt  
ne, *Rain* Kinder (zwischen 1 und 12 Jahren) *Rain*

von **HAMBURG** bis New York, im

ers der *avisin* laut

gen.  
m Comptoir von **K. WEINBERGER,**

**HAMBURG.** umgetauscht.  
*K. Weinberger* Agent.

er besonderen Beachtung der Reisenden.  
n Coupon abzutrennen und portofrei an **K. WEINBERGER,**

..... einzusenden, worauf er Nachricht erhalten wird, auf welchem Dampfschiffe ihm der  
emand zur Abreise einfinden. Falls Kinder bei der Anmeldung in Hamburg das beim Kaufen des Passage-  
, so muß der entsprechende Betrag laut Tarif vor der Einschiffung nachbezahlt werden.  
t, falls derselbe von mir oder meinen Agenten in Hamburg oder Bremen schriftlich mittelst eingeschriebenen  
womit sich Käufer und Passagiere durch Uebernahme dieses Scheines vollständig einverstanden erklären.

97.  
18 1/2  
115



## NOTIZ.

1) Der Schein ist zwölf Monate vom Tage der Ausstellung gültig und kann nur von den in demselben genannten Personen benutzt werden. Er kann nicht verkauft und nicht an andere Personen übertragen werden. Sollte der Schein vom rechtmässigen Inhaber nicht benutzt werden, so ist er an den Käufer in Amerika zurückzuschicken.

2) Die Passagiere dürfen nicht unangemeldet nach kommen. Mindestens 14 Tage vor der beabsichtigten Abreise muss der Inhaber dieses Scheins schriftlich und portofrei bei der auf diesem Scheine angegebenen Agentur in , unter Angabe seiner genauen Adresse, nebst Namen und Alter aller im Scheine aufgeführten Personen, anfragen, an welchem Tage er Beförderung von erhalten kann. Wer dies versäumt, hat es sich selber zuzuschreiben, wenn ihm dann durch längeren Aufenthalt in grössere Kosten entstehen.

3) Für Logis und Beköstigung bis zur Abfahrt von , für Fracht und Transport des Gepäcks ans Schiff, sowie für das nöthige Ess-, Trink- und Waschgeschirr haben die Passagiere selber zu sorgen und zu zahlen. Wenn Gepäck vorausgeschickt wird, so darf dasselbe nur an die in diesem Schein genannte Agentur in adressirt werden.

4) In dem für diesen Schein bezahlten Ueberfahrtspreis ist einbegriffen: volle Beköstigung während der Seereise, sowie Matratze nebst Kopfkissen, ferner an Freigeäck auf dem Dampfer  $\frac{1}{2}$  Cubicmeter und auf den amerikanischen Eisenbahnen — falls für die Weiterreise mit accordirt ist — 150 Pfund. Etwaige Ueberfracht ist nach Tarif zu zahlen.

5) Passagiere über zwölf Jahre zahlen den vollen Preis, unter zwölf Jahren die Hälfte, Säuglinge (d. h. Kinder unter einem Jahr) 9 Mark. Sollte das Alter der Kinder nicht mit den in diesem Schein gemachten Angaben übereinstimmen, so ist der etwa fehlende Betrag in sofort nachzuzahlen. Wird die Nachzahlung verweigert oder fehlen den Passagieren die dazu nöthigen Mittel, so können die Passagiere in ihre Heimath zurückgeschickt und zu den für die Rückbeförderung nöthigen Kosten das in Amerika bezahlte Fahrgeld soweit wie nöthig verwandt werden.

Dieser Schein wird dann als ungültig betrachtet

6) Diese Anweisung ist nicht benutzbar von irgend einer Person, welche eines Verbrechens überführt worden ist, oder einer solchen, welche irrsinnig, taub, stumm, blind, gebrechlich oder durch sonst irgend eine Ursache verhindert ist zu arbeiten.

Schwangeren Frauen ist es nicht erlaubt, sich ohne ihre Ehemänner einzuschiffen.

Allen solchen Personen ist die Landung von der amerikanischen Regierung verboten.

7) Alles Gepäck muss deutlich und dauerhaft mit dem Namen und Bestimmungsort des Eigenthümers versehen sein. Diese Linie ist nicht verantwortlich für Gepäck bis dasselbe an Bord ihres Dampfers in gebracht ist, und hiermit beschränkt sich ihre Verantwortlichkeit für Verlust oder Beschädigung für Gepäck oder Sachen, welche als Gepäck mitgenommen, bis im Betrage von fünf und zwanzig Dollars, wenn nicht der Werth vor Verschiffung angegeben und Fracht demgemäss bezahlt worden ist.

## UWAGA.

1) Bilet ten ważny jest na 12-cie miesięcy od daty wystawienia i może być użytym tylko przez osoby, na których imię jest wystawionym; nie może też być ani sprzedany ani też zleconym innym osobom. Jeżeli bilet ten przez właściciela prawnego nie będzie użytym, w takim razie winien być odesłany kupującemu w Ameryce.

2) Pasażerowie nie powinni przybywać do nie zameldowani. Przynajmniej 14 dnia przed zamierzonym wyjazdem powinien właściciel tego biletu piśmiennie (franco) zasięgnąć wiadomości w podanej w tym bilecie agencji w — (z podaniem dokładnego swego adresu jako też nazwiska i wieku podanych w tym bilecie osób) — w którym dniu ekspedjowanym być może z Kto to zaniedba, ma sam siebie winić, jeżeli przez dłuższe zatrzymanie się w większe koszta poniesi.

3) O mieszkanie i stół aż do wyjazdu z , fracht i przewóz pakunków do okrętu jakoteż o konieczne naczyńia dla jedzenia, picia i prania, pasażerowie sami troszczyć się powinni i sami koszta te ponoszą. Jeżeli pakunek ma być naprzód wysłany, to powinien być adresowanym tylko do podanej w tym bilecie agencji w

4) W cenie za ten bilet zapłaconej mieszczą się; pełny stół w czaji, podróży morskiej jakoteż materace i poduszka, bezpłatne miejsce pół metra kubicznego na parowcu dla pomieszczenia pakunków, na amerykańskich zaś kolejach żelaznych — jeżeli podróż na takowych jest ugodzona — 150 funtów. Za wagę nad to dopłacać się według taryfy.

5) Pasażerowie nad lat 12 placą pełną cenę, niżej 12 tylko połowę; niemowlęta (t. j. dzieci młodsze niż 1 rok) 9 marek. Jeżeliby rzeczywisty wiek tych dzieci nie zgadzał się z wiekiem pydanym w bilecie, należy się różnicę, dopłacić natychmiast w

. W razie odmówienia dopłaty lub gdy pasażerowie nie mają potrzebnych do tego funduszów, pasażerowie ci do domu odesłani będą, a na koszta ich powrotu użyte zostaną pieniądze zapłacone w Ameryce, o ile epotrzeba wymagać będzie. Bilet ten w takim razie unieważnionym zostaje.

6) Certyfikat ten nie może być użytym przez osoby, którym zbrodni jakiejś dowiedziono, ani też przez waryatów, głuchych, niemych, ślepych, ułomnych lub z jakiegokolwiek innego powodu niezdolnych do pracy. Kobietom przy nadziei bez meków ich nie wolno jechać na okręcie. Rząd amerykański bowiem nie zezwala na wyładowanie takich osób.

7) Każdy pakunek musi być zaopatrzony w sposób wyraźny i trawły, nazwiskiem pasażera i jego miejscem przeznaczenia w Ameryce. Kompania Okrętowa nie jest odpowiedzialną za pakunki aż do chwili, w której załadowane zostaną na jej okręt w i ogranicza gwarancya za zgubę lub uszkodzenie pakunków lub rzeczy, które jako pakunki wzięte zostały, do sumy 25 dolarów, chyba że wartość została podaną przed załadowaniem i koszta przewozu stosownie do téj wartości zapłacone zostały.

## NOT

1) Lístek tento platí vñem zaznamenaných prodán aneb na jiné o pořebí-li majitel pravie být zpět navracen do koupil.

2) Cestující nesmí do to dříve neoznámi; nej domova musí majitel franko u jednatelství udáno se hlásiti a ozna roven všecy jmena, osob jež na listku tom Kdo toto opomene, m delšího zdžování se v povstanou, kteréž on pl

3) Byt a stravu až k c fracht, přivoz nábytku nádobi k jídlu, pití a m obstarat a zaplatit. J odeslán, tak musí jenom jednatelství v

4) Za cenu která za lí jitel mimo převozá do zdravu matraci a pols svuj pul Cubik metru d rába smluvená 150 lb.

5) Cestuíci přes 12 rol 12 roku polovícku děti i markú jsou ly děti starš scházějící cenu v nechtěj-li to neb nem mova jejího spět poslat rice zaplacency částky s nemá pak žádnou plati

6) Tota Sífkartí, je pr Szudze s karžení buli, a Slepi, a do roboti nye sz Sifu brac abo zoz Sif u csic, od Amerikanskej

7) Secki paki to jest p dze idu tak vipisano bu zsebi adresz nye odpado Bili Hvizd Kompania dokla szu nye na jich S a ked so doco z jich sif var co zosz szebó beru luje, chibaly ked pakom to jest tak jak bi asze predok zaplaca ta jim nahradzi.

TICKA.

na 12 měsíců a smí jen od osob býti upotřeben, nesmí soby přenešen býty. Neudělný tento listek, tak musí Ameriky tomu kdo jej od-

přijítí dokud

méně 14 dní před odjezdem z tohoto listku písemně a kteréž v tomto listku jest míti v který den odjede, záleta a správné adresy těch jsou zaznamenány udati. jen sobě přičísti když z

útraty mu

atiti musí.

odjezdu z

na loď jakož i přechové tyti musí sobě cestující sám estli nábytek bude napřed n na udané v tomto listku adresován býti.

stek zaplacená dostane ma- Ameriky, zdarma úplnou a, a na loďi pro nabytek a jeli cesta na amerických zdarma; další dle tarifu.

ku platějí plnou cenu, pod oři prsou (pod 1 rokem) 9 y než v listku udáno mucejí

hned připlatiti,

mohou to tak mužou do do- a utraty manžou z te Ame- rhrnuty byti. Tento listek ost.

e ludze, co uz pri velkim lebo Saleni, hluchi, myemi, uci; bo takim ludzom je na Amerikanskim kraju pus- Wrechnosty zabranyeno.

erini ai kufre musa meno ai e zebi dobre vidno bulo ai l.

nye feleluje od packouch ifoch u

och straczi alebo druhi to- z hinye ta do 25 dollar fele- a abo tovaru cena co stofa kurovali vipisu a fracht na posgu te sumi skoda vi-

אשר י:



U 8

(1) דיעוער שיינ איז נוד צוועלף מאָנאַט גילטיג פֿאַן דעם טאג ווען ער איז אויסגעשטעלט. ער גילט נוד פיר דער ועלבען פֿערוואָן וועלכע אין שיינ אַנגע- געבען איז. ער קען ניט פֿערקויפֿט אָדער אַנוף אַנדערע פֿערוואָנען איבערגעשריבען ווערען. אויב דיא ועלבע פֿערוואָן קען ניט פֿאַהרען, מוז מען עס צוריק שיקען אין אַמעריקא צו דער פֿערוואָן וועלכער עס האט דעם שיינ געקויפֿט.

(2) דיא רייזענרע דאַרפֿען ניט קומען אין וואו וויא מעלרען ויך ניט בריעפֿליך זועניגסטענס 14 טאָג פֿריהער. איידער וויא פֿאַהרען ארויס, מוז דער וואס האט דעם שיינ, אַ בריף (מיט אַ מאַרקע דאַרויף) שיקען, צו דעם אַגענט אונד מוז דייטליך שרייבען: דיא נומער פֿון דער שיפֿפֿס- קאַרטע, זיינע אַדרעססע, נאָמען אונד וויא אַלט זיינען אַללע פֿערוואָנען דיא און שיינ אָנגעגעבען וינד, אונד מוז אויך אַנפֿרעגען וועלכען טאג ער קען פֿאַן אַכפֿאַהרען. ווער דאס טהוט ניט, דער האט אַלליין דיא שולד אויב ער דאַרף אין לענגער וואַרטען, אונד גרעססע קאַסטען ליידען.

(3) פֿיר וואָהנונג אונד עכסען ביז מאן פֿאַהרט אָב פֿון פֿיר פֿראַכט אונד צושיקען דיא זאַכען צום שיפֿף, וויא אויך פֿיר דיא נעהטיגע כלים וואס מען דאַרף אין שיפֿף האבען, מוז דער רייזענרע אַלליין בעוואָרען אונד דאַ פֿיר צאַהלען. ווען מאן שיקט געפֿעק נאָך זא דאַרף מען נוד אויף דעם אַדרעסס פֿון אַגענט, וועלכער איז היער אין שיינ אַנגעוויזען, צושיקען. (4) אין דעם בעצאַהלטען פֿריין פֿיר דעם שיינ, איז שאָן איינגערעכענט: פֿאַלע בעקעמטיגונג וואָהרענר דער ים רייזע, וויא אויך מאַטראַצען אונד קאַפֿה-קיססען, פֿרייא צו פֿיהרען געפֿעק אויף דעם דאַמפֿפֿער פֿיר אַ קוביקמעטער, אונד אויף דעם אַמעריקאַנישען אייזענבאַהן—אויב עס איז פֿיר דיא ווייטערע רייזע ווייזע בע- דונגען—150 פֿאָנט. ווען עס וועגט מעהר, איזט לויט טאַריף צו צאַהלען.

(5) פֿאַסטאַזירע עלטער וויא 12 יאהר צאַהלען דיא פֿאַלען פֿריין, אונטער 12 יאהר צאַהלט דנא העלפֿטע, אַ ווינעריגע קינד (ה. ה. קינדער אונטער 1 יאהר) צאַהלט 9 מאַרק. ווען עס שטימט ניט דיא יאהרען פֿאַן דיא קינדער לויט וויא אין שיינ איז אַנגעגעבען, זאָ טום מאן אין דעם פֿעהלענרען בע- טראַג צו צאַהלען. ווען דיא רייזענרע ענטוואַנען ויך פֿון נאַכצוצאַהלען, אָדער וויא האבען קיין מיטעל דאַצו, זאָ ווערען דיא רייזענרע צוריק געשיקט נאָך זייער היימלאַט, אונד דיא צוריקרייזע קאַסטען ווערט הערגוטער גערעכענט פֿאַן דאס נערד וועלכע איז אין אַמעריקא איינגעצאַהלט בעוואָרדען, אונד ריזער שיינ ווירד אלס אַנגילטיג ערקלערט.

(6) ריזער שיינ איזט ניכט גילטיג פֿיר פֿערוואָנען, וועלכע אין געריכטליכער אונטערזוכונג שטעהען, פֿערריקטען, שטויממען, קראַנקען, אָדער זאַלכע וועלכע קעננען ניכט פֿערדינען זייער לעבען מיט אַרכייט. שוואַנגערע פֿרויען וועלכע פֿאַהרען אָהנע איהרע מעננער ווערען ניכט ארויף געלאָזט אויף דעם שיף. דיא רעגירונג אין אַמעריקא ערלויבט ניכט זאַלכע פֿערוואָנען צו קאַממען נאָך אַמעריקא. (7) אַלמנוה מיט קינדער, אָדער אַלטע מעננער אונד פֿרוין קעננען ניכט קאַממען, ווען וייער פֿאַמיליע אין אַמעריקא וועט ניכט פֿריהער אויפוויזען, דאס וויא קעננען ריזע לייטע ערנעהרען.

(8) אַללע געפֿעק מוז ריין אונד דייטליך געצייכענט (מאַרקירט) זיין מיט דעם נאָמען פֿון דעם פֿאַסטאַשיר, אונד וואָהין ער פֿאַהרט. ריזע קאַמפֿאַניע איזט נוד דאן פֿערזאַנטוואָרטליך פֿיר דאס געפֿעק, ווען עס ווירד איבערגעגעבען איינעם בעצאַמטען פֿאַן דעם שיפֿף, אונד אויף דעם שיפֿף געבראַכט פֿאַר יערעם שטיק געפֿעק, וועלכעס עס ווירד פֿערלאָרען געהען, נאַכדעם איין בעצאַמטער פֿאַם שיפֿף האט עס איבערגענאָמ- מען, ווירד 25 דאללאר בעצאַהלט, ווען עס ניכט אין איינער גרעססערען סומ- מאַ פֿערויכערט איזט אונד פֿיר עקסטרא פֿראַכט בעצאַהלט.



Ich zakładanie nakazały parafiom władze amerykańskiego Kościoła Rzymskokatolickiego, obawiające się, że szkoła publiczna spowoduje odejście młodzieży od wiary. Polecenie to podchwycili imigranci irlandzcy, niemieccy oraz później polscy, podczas gdy Włosi je lekceważyli.

Gdy Polakom udało się założyć i umocnić własne parafie oraz szkoły parafialne, zaczęli wzorem niemieckich katolików zabiegać o wyższe urzędy kościelne. W rezultacie w obrębie amerykańskiego Kościoła Rzymskokatolickiego najpierw o urzędy biskupów i arcybiskupów walczyli niemieccy katolicy z Irlandczykami, a później z Niemcami rywalizowali Polacy.

Jednak nawet zaczynając budowę własnych, odrębnych struktur, migranci należący do różnych grup etnicznych nadal pozostawali w zażyłości. Z czasem poszczególne grupy były coraz bliżej osiągnięcia kompletności instytucjonalnej, przy czym w każdym przypadku nieco inaczej przebiegał proces jej budowania i nieco inny był jego finał. Wtedy, z jednej strony, w życiu dzielnic imigracyjnych coraz większą rolę odgrywały granice i bariery międzygrupowe, z drugiej jednak, coraz więcej było wzajemnego przenikania się w przestrzeni publicznej. Dotyczy to miejsc pracy, lokalnych szkół, czytelni publicznych, skwerów, punktów pomocy społecznej, lokali partii politycznych, oddziałów związków zawodowych itd. Poszczególne dzielnice zdominowane były przez poszczególne grupy, ale żadna nie była monoetniczna, w każdej mieszkali imigranci wywodzący się z różnych krajów.

Konstruowanie i usztywnianie granic międzygrupowych wzmocnione zostało przez napływające ze starego kraju idee narodowe. Mowa o przełomie wieków XIX i XX, gdy nasiliły się w Europie Wschodniej ruchy narodowe, wyłaniały się nowe wspólnoty (jak na przykład naród ukraiński), do głosu dochodzić zaczęły aspiracje niepodległościowe (w tym m.in. ideologia syjonistyczna). Przywódcy tych ruchów szukali wsparcia w diasporze, podróżowali zatem do jej najliczniejszych skupisk w Ameryce i zaszczepiali imigrantom swe idee. Dotyczy to wszystkich omawianych grup etnicznych. Często na czele starych lokalnych społeczności etnicznych w nowym kraju stawali nowoprzybyli ze starego kraju działacze narodowi. Zastępowali oni dawnych przywódców, umiejętnie poruszających się w wielokulturowym otoczeniu. Współpraca z tym otoczeniem wydawała się nowym liderom do niczego niepotrzebna, a głoszone przez nich hasła narodowe odgradzały od siebie

poszczególne społeczności etniczne. Jak wiemy, w wielu przypadkach aspiracje poszczególnych grup były wzajemnie sprzeczne. Polacy chcieli niezależnego państwa, którego nie wyobrażali sobie Niemcy; Ukraińcy chcieli wybić się na niepodległość, co budziło zdumienie Polaków, Żydzi szukali poparcia dla idei swego osadnictwa i autonomii w Palestynie, jednocześnie niepokojąc się o losy swej mniejszości w Europie Wschodniej. Doprowadziło to do napięć międzygrupowych, z ich kulminacją w latach pierwszej wojny światowej i poważnymi prześladowaniami grupy niemieckiej oskarżanej o nielojalność wobec USA. Zakończenie wojny i traktat pokojowy nie przesądziły o kształcie nowych granic w naszym regionie. Ważniejsze dla stosunków niemiecko-polskich okazały się na przykład powstania śląskie. Te wydarzenia zaciążyły na długo na stosunkach sąsiedzkich, utrudniając porozumienie i odsuwając w niepamięć czasy symbiozy. Owe napięcia zrodzone w starym kraju przenikały za ocean i utrudniały stosunki między imigrantami wywodzącymi się z Europy Środkowej i Wschodniej. Pamięć o nich zawładnęła wyobraźnią wszystkich zaangażowanych stron i zepchnęła na dalszy plan pozytywne doświadczenia wcześniejszej współpracy.

To zaskakujące, iż do tej pory wspólne dzieje niemieckich i polskich imigrantów w USA pozostają prawie niezauważone. Można podejrzewać, że każdy z badaczy zajmujących się jedną z dwóch grup miał okazję, by wspólnotę losów oraz liczne przykłady współpracy odnotować. Jeśli tak się nie stało, to głównie dlatego, że każdy koncentruje się na własnej grupie i jeśli w ogóle wychodzi poza nią, to tylko po to, by szukać przykładów konfliktów. Znaleźć ich można dużo w etnicznej prasie oraz wielu innych źródłach pisanych, bowiem konflikt został dobrze utrwalony na piśmie. Psychologicznie taką sytuację można łatwo wyjaśnić. Codzienna współpraca jest czymś zwyczajnym, wręcz nudnym, co nie przyciąga uwagi; dlatego o niej nie pisano. Natomiast konflikt pobudza wyobraźnię, rodzi emocje, budzi sensację. Takiej logice poddali się autorzy piszący do etnicznej prasy oraz autorzy migracyjnych powieści, wspomnień i pamiętników. Z rzetelnej analizy różnorodnych źródeł odczytać jednak można dzieje długiej i bliskiej międzygrupowej współpracy.

Literatura

Mucha J.,  
*Everyday Life and Festivity in a Local Ethnic Community: Polish-Americans in South Bend, Indiana*, Boulder: East European Monographs 1996.

Okólski M.,  
*Mobilność przestrzenna z perspektywy koncepcji migracji niepełnej*, w: E. Jaźwińska, M. Okólski (red.), *Ludzie na huśtawce. Migracje między peryferiami Polski i Zachodu*, Warszawa: SCHOLAR 2001, s. 31–61.

Östreich C.,  
<Das rauhen Winters ungeachtet ...> *Die Auswanderung Posener Juden nach Amerika im 19. Jahrhundert*, Hamburg: Dölling und Galitz 1997.

Pilch A. (red.),  
*Emigracja z ziem polskich w czasach nowożytnych i najnowszych (XVIII–XX w.)*, Warszawa: PWN 1984.

Praszałowicz D.,  
*Stosunki polsko-niemieckie na obczyźnie. Polscy i niemieccy imigranci w Milwaukee, Wisconsin (USA) 1860–1920*, Kraków: Universitas 1999.

Praszałowicz D., Makowski K., Zięba A.,  
*Mechanizmy zamorskich migracji łańcuchowych w XIX wieku: Polacy, Niemcy, Żydzi, Rusini*, Kraków: Księgarnia Akademicka 2004.

Walaszek A.,  
*Światy imigrantów. Tworzenie polonijnego Cleveland, 1880–1930*, Kraków: Nomos 1994.

Walaszek A. (red.),  
*Polska diaspora*, Kraków: Wydawnictwo Literackie 2001.

Walaszek A.,  
*Migracje Europejczyków 1650–1914*, Kraków: Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego 2007.

Woś-Saporski E. S.,  
*Pamiętnik*, Warszawa: Międzynarodowe Towarzystwo Osadnicze 1939. →

- Bade K.,  
*Europa in Bewegung. Migration vom späten 18. Jahrhundert bis zur Gegenwart*, München: C. H. Beck Verlag 2000.
- Barth F. (red.),  
*Ethnic Groups and Boundaries: The Social Organisation of Culture Difference*, London: George Allen & Unwin 1969.
- Bayor R. H.,  
*Neighbors in Conflict. The Irish, Germans, Jews and Italians of the New York City, 1929–1941*, Baltimore, London: Johns Hopkins University Press 1979.
- Breton R.,  
*Institutional Completeness of Ethnic Communities and Personal Relations*, "American Journal of Sociology" 70: 2, 1964, s. 193–205.
- Brożek A.,  
*Polacy w Teksasie. Relacja o najstarszych osadach polskich w Ameryce*, Warszawa: PWN 1972.
- Franció M.,  
*Komitet Obrony Narodowej w Ameryce 1912–1918*, Wrocław: Ossolineum 1983.
- Halbwachs M.,  
*Społeczne ramy pamięci*, przeł. M. Król, Warszawa: PWN 2008.
- Hoerder D.,  
*Cultures in Contact. World Migrations in the Second Millennium*, Durham, London: Duke University Press 2002.
- Holli M., Jones P. (red.),  
*Ethnic Chicago. A Multicultural Portrait*, Grand Rapids: Eerdmans Publishing Company 1995.
- Kapiszewski A.,  
*Conflicts across the Atlantic: Essays on Polish–Jewish Relations during World War I and in Interwar Years*, Kraków: Księgarnia Akademicka 2004.
- Kocik L.,  
*Polski farmer w Ameryce. Studium na przykładzie stanu Wisconsin w USA*, Wrocław: Ossolineum 1990.
- Makowski K.,  
*Sita mitu. Żydzi w Poznańskim w dobie zaborów w piśmiennictwie historycznym*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 2004.
- Morawska E.,  
*For Bread with Butter: The Life Worlds of East Central Europeans in Johnstown, Pennsylvania, 1890–1940*, Cambridge: Cambridge University Press 1985.



30  
.....  
Emigranci na pokładzie  
transatlantyckiego liniowca,  
1900

\_\_\_\_ Aleksander Posern-Zieliński  
Instytut Etnologii i Antropologii  
Kulturowej Uniwersytetu  
im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

# Między Teksasem a Greenpointem. Różne oblicza polskiej imigracji w Stanach Zjednoczonych

---

Stany Zjednoczone postrzegane są przez Europejczyków jako kraj i naród powstały w wyniku masowych transatlantycznych migracji. Zdecydował o tym przede wszystkim wiek XIX, szczególnie zaś jego schyłek, kiedy to wielkimi parowcami przybywały do Nowego Świata już nie tysiące, ale miliony wychodźców. Docierali oni do brzegów Ameryki z wielką nadzieją, że po drugiej stronie Atlantyku znajdą

lepszą przyszłość, będą godziwie zarabiać, lepiej mieszkać, odżywiać się, kształcić dzieci, swobodnie praktykować swe religijne tradycje. Wielu przyciągały też amerykańskie swobody demokratyczne i zasady obywatelskiej równości. Zdecydowaną większość emigrantów witała w nowojorskim porcie majestatyczna Statua Wolności, za którą kryła się niepozorna, ale jakże ważna dla nich wyspa Ellis, zamieniona w główną służbę kontroli i ewidencji zamorskich przybyszów, przyszłych „nowych Amerykanów”.

→





Dziś wyspa ta i jej zabudowania są ważnym miejscem pamięci dla wielu mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Potomkowie wychodźców ze Starego Kontynentu przybywają tam licznie, aby rozpoznać swe europejskie, imigracyjne korzenie, pokazać dzieciom i wnukom dzieje tego eksodusu, a także odnaleźć nazwiska przodków. Wyspa Ellis była przez lata faktyczną bramą do mitycznej Ameryki, dzisiaj – jako muzeum i archiwum – jest symbolem formowania się narodu amerykańskiego z wielu różnorodnych grup imigrantów. Wśród napływających statkami przybyszów byli także Polacy opuszczający kontrolowane przez Prusy Śląsk i Wielkopolskę, znajdujące się w carskim posiadaniu ziemie tzw. Kongresówki i zarządzane przez Monarchię Austro-Węgierską prowincje galicyjskie.

Wszyscy ci przybysze – Słowianie, Irlandczycy, Skandynawowie, Niemcy, Włosi, Żydzi, Grecy – od pierwszych dni pobytu na amerykańskiej ziemi współtworzyli jej dobrobyt, zakładając farmy, wypasając bydło, pracując w kopalniach, budując ciężki przemysł, rozwijając handel i usługi oraz tworząc coraz gęstszą sieć osad, miast i łączących je dróg. Wkład tej poprzedzającej pierwszą wojnę światową fali emigracyjnej był kolosalny. Po czasach wyniszczającej wojny domowej (secesyjnej), imigranci wydatnie przyczynili się do (o)d)budowy wielkości Ameryki, dokonali etapu kolonizacji jej wnętrza i zdecydowali o pluralistycznym, wielokulturowym kształcie społeczeństwa Stanów Zjednoczonych.

Co ciekawe, historycy amerykańscy przez długie lata ignorowali te oczywiste fakty i przedstawiali dzieje USA tak, jakby były one kreowane tylko przez anglosaskie elity wywodzące się z wyższych, protestanckich sfer atlantyckiego wybrzeża. Dopiero w latach 60. i 70. XX wieku grupa historyków społecznych zaczęła „odkrywać” nowe karty dziejów Ameryki, uznając, iż nie sposób zrozumieć losów tego kraju bez ukazania znaczenia, roli i wkładu wielomilionowych rzesz przybyszów. To właśnie w tych dekadach zaczęło rodzić się w Stanach Zjednoczonych autentyczne zainteresowanie historią, kulturą i społeczną aktywnością imigrantów. Na przybierającej na sile fali tzw. etnicznego odrodzenia potomkowie imigrantów także zaczęli interesować się własną przeszłością, czerpiąc z niej poczucie dumy.

Jedną z ważnych instytucji powołanych do gromadzenia wszelkiego rodzaju dokumentacji pozwalającej badaczom rekonstruować losy imigrantów i ich potomków stało się Immigration History Research Center (Centrum Badań nad Historią Imigracji), funkcjonujące do dziś przy stanowym Uniwersytecie Minnesoty w Minneapolis-Saint Paul. Jako jeden z pierwszych polskich naukowców afiliowanych w tym ośrodku miałem okazję jeszcze w latach 70. XX wieku podziwiać realizowane tam zamierzenia i korzystać z unikatowych zbiorów archiwalnych i bibliotecznych, odnoszących się także do dziejów amerykańskiej Polonii. Zdobyta tam wiedza pozwoliła mi innymi oczyma spojrzeć na dokonania polskich Amerykanów i zrozumieć ich trudny proces stopniowego wrastania w amerykańskie społeczeństwo. Po wielu latach wytężonej pracy, polegającej na ratowaniu śladów obecności imigrantów w Ameryce, centrum to stało się bezcennym archiwum dokumentów, książek, nagrań, czasopism, druków ulotnych itp., wytworzonych w USA przez imigrantów wywodzących się ze wszystkich grup narodowościowych Europy. Stało się tym samym – podobnie jak wyspa Ellis – niezwykle ważnym ośrodkiem dokumentującym dzieje Stanów Zjednoczonych jako narodu, społeczeństwa i państwa budowanego oddolnie przez niekończący się i trwający do dziś strumień przybyszów z całego świata.

Należy podkreślić, że imigranci nie tylko wnieśli ważki potencjał demograficzny i codzienny trud, ale też wzbogacili Amerykę oryginalnymi treściami artystycznymi i intelektualnymi, przyczyniając się wydatnie do rozwoju amerykańskiej kultury, zarówno tej wysokiej,

jak i popularnej. Każdy przybysz miał swój indywidualny wkład, niezależnie od tego, czy w nowej ojczyźnie pracował fizycznie czy też podejmował prace wymagające wyższych kwalifikacji. To samo rzecz można o pozostałych grupach narodowościowych, szczególnie tych najliczniejszych, które, zachowując pewne elementy swej tożsamości i kulturowej specyfiki, wtapiały się stopniowo w amerykańskie społeczeństwo, nadając mu oryginalny koloryt.

Ważne miejsce w dziejach migracji do USA zajęła Polonia amerykańska, której aktywność gospodarcza, polityczna, społeczna i intelektualna miała również duże znaczenie i dla starego kraju. Jednymi z pierwszych polskich osadników byli przybysze ze Śląska (dziś Opolskiego), którzy pojawili się w Teksasie już w roku 1854. Byli oni w istocie pionierami polskiego ruchu wychodźczego do Ameryki, zapoczątkowując trwający do dziś – raz wzmagający się, to znów słabnący – potok migrantów do „ziemi obiecanej” Nowego Świata. W pobliżu San Antonio założyli swe pierwsze osady, a wśród nich istniejącą do dziś i nadal zamieszkałą przez potomków pierwszych śląskich osadników miejscowość o jakże swojskiej nazwie: Panna Maria. W tym samym rejonie powstały wkrótce i inne polsko-śląskie osady, takie jak Kosciuszko, Pulaski czy Czestochowa. W podobny sposób postępowali polscy imigranci w wielu innych rejonach Stanów Zjednoczonych, nadając zakładanym przez siebie osadom bliskie im emocjonalnie nazwy. Dawali tym samym wyraz swemu przywiązaniu do opuszczonych stron rodzinnych, tworząc enklawy swojskości na amerykańskiej ziemi.

Polscy pionierzy z Teksasu nie tylko przywieźli do swej nowej ojczyzny pamięć o rodzinnych wioskach, śląskie zwyczaje i język, ale udali się w podróż za ocean z kościelnym dzwonem oraz własnym duszpasterzem. Tego rodzaju poczynania uznać można za wysoce prototypowe, bowiem w zbliżonych formach pojawiały się one także w wielu późniejszych falach emigracyjnych. Chodziło przecież o to, aby symbolicznie powiązać w jedną całość pozostawiony świat z nową egzystencją budowaną od podstaw na obcej jeszcze ziemi. Własny kapłan, znający doskonale swych parafian, mówiący ich językiem i rozumiejący świetnie ich marzenia i troski, był w istocie ważną podporą w dziele przystosowywania się do nowych warunków i rekonstruowania lokalnej społeczności.

Jeśli pierwsze grupy emigrantów z ziem polskich zainteresowane były głównie aktywnością rolniczą i w związku z tym osiedlały się w stanach dysponujących nadal wolnymi gruntami nadającymi się na farmy (np. Iowa, Dakota, Wisconsin, Minnesota), to kolejne wielkie migracje przypadające na dwie ostatnie dekady XIX wieku oraz lata poprzedzające pierwszą wojnę światową zmierzały w zdecydowany sposób do rozrastających się żywiolowo miast atlantyckiego wybrzeża, Pensylwanii oraz rejonu Wielkich Jezior. Dynamicznie rozwijający się tam przemysł przyciągał skutecznie rzesze emigrantów z całej Europy, w tym również i polskich. Większość z nich pochodziła ze środowisk wiejskich i małomiasteczkowych, a zatem nie była zaznajomiona ze specyfiką życia w metropoliach ani też przystosowana do prac w fabrykach, kopalniach, szwalniach czy rzeźniach. Tym samym doświadczenie migracyjne było dla nich nie tylko zmianą kraju, języka, porządku prawnego i etnicznego otoczenia, ale również radykalną przemianą etosu egzystencji. Z biednych wieśniaków, żyjących w niewielkich społecznościach lokalnych zgodnie z ustalonym przez przyrodę rytmem pracy, emigranci stawali się nagle częścią wielkoprzemysłowej klasy robotniczej zmuszonej do życia w olbrzymich aglomeracjach, w otoczeniu mas nieznanym sobie ludzi, wywodzących się z wielu innych krajów Europy.

Niewątpliwie taka przemiana była dla nich wielkim szokiem, dojmującą traumą i głębokim doświadczeniem egzystencjalnym, z którym nie zawsze mogli sobie pomyślnie poradzić. Nierzadko rezultatem takiego zerwania z ustabilizowanym porządkiem społecznym i wartościami wiejskiej kultury były niekorzystne zjawiska tzw. dezorganizacji społecznej, przejawiającej się wzrostem alkoholizmu, rozpadem rodzin, prostytutką czy przestępczością. Na te aspekty wysokiej ceny emigracji zwrócił uwagę wybitny polski socjolog – Florian Znaniecki, który wraz ze swym amerykańskim kolegą, Williamem Thomasem, opublikował w latach 1918–1920 słynne i do dzisiaj inspirujące dzieło zatytułowane *Chłop polski w Europie i Ameryce*. Badacze wykorzystali w nim nie tylko wnikliwe obserwacje codziennego życia polskich wychodźców, ale i ich dokumenty osobiste, takie jak pamiętniki czy listy ślone przez emigrantów do bliskich w starym kraju i otrzymywane przez nich od krewnych z rodzinnych stron. Z tych dokumentów, wypełnionych przeżyciami, emocjami, troskami i radościami,

wyłania się obraz emigracyjnego trudu i zmagañ z nowymi wyzwaniem, traumy spowodowanej separacją od bliskich oraz fascynacji nowym światem, do którego stopniowo przybysze musieli się dostosować. Autorzy tego dzieła trafnie zauważyli, że po dość krótkim okresie wspomnianej dezorganizacji następuje faza budowy nowej wspólnoty i powrotu do społecznej równowagi. W dziejach emigracji dostrzec można podobną regularność, polegającą z grubsza na tym, że po okresie chaosu i zagubienia następuje stopniowa stabilizacja, a wraz z nią pojawiają się wysiłki na rzecz konstruowania nowych imigracyjnych społeczności.

Nie inaczej było także w przypadku dziejów amerykańskiej Polonii. Przybysze starali się zamieszkiwać blisko siebie i tworzyć w ten sposób na nowej ziemi własny, swojski, zaspakajający podstawowe potrzeby mikroświat. Zazwyczaj była to tzw. polska dzielnica, skupiona wokół polskiego kościoła, która szybko obrastała polskimi sklepami, restauracjami, siedzibami klubów i stowarzyszeń, redakcjami czasopism, agencjami ubezpieczeniowymi i poradniami lekarskimi. W ten sposób w takich miastach, jak Chicago, Nowy Jork, Filadelfia, Minneapolis czy Detroit kształtowały się etniczne „wyspy”, w których życie codzienne dostosowane było do amerykańskich realiów, ale toczyło się w polskiej atmosferze i przy użyciu polskiego języka. Dzielnice te z jednej strony ułatwiały imigrantom adaptację do nowych warunków, z drugiej tworzyły jednak dość wyizolowany świat zorientowany na utrzymanie bliskich więzów ze starym krajem. Działy tam liczne stowarzyszenia grupujące imigrantów wywodzących się z tych samych „okolic”, których zadaniem, obok utrzymywania emocjonalnych więzi w bliskim sobie gronie, było także wsparcie udzielane kolejnym przybyszom oraz finansowa pomoc na rzecz społecznych inicjatyw podejmowanych przez bliskich w miasteczkach, wioskach i parafiach starego kraju.

Imigranci w polskich dzielnicach żywo interesowali się rozwojem wypadków w Europie i często uważali siebie za mieszkańców tzw. czwartej dzielnicy, rozumiejąc pod tym pojęciem polską diasporę w Stanach Zjednoczonych jako zamorski, wolny segment wspólnoty narodowej rozparcelowanej w Europie przez trzech zaborców polskiego terytorium. Przy takim podejściu trudno się dziwić, że Polonia amerykańska w trakcie pierwszej wojny światowej zdolna była do zasilenia licznymi ochotnikami formowanej we Francji armii generała Józefa Hallera



(32)

(32) **Polscy robotnicy tekstylni z New York Mills, Utica, którzy doprowadzili do zakończonych sukcesem strajków, 1910**

(33) **Kobiety podczas pracy w fabryce produkującej drewniane pudełka, 1910**

(34) **„Młody chłopak, nie mówi ani słowa po angielsku. Pracuje tutaj w fabryce. Powiedział tylko, że nazywa się Jan Krakowski”. Chicopee, Massachusetts, 1911**

(33)  
.....



(34)  
.....

02  
03. celem zbrojnego uczestnictwa w dziele wyzwolenia ojczyzny. Przykład ten pokazuje wyraziście, jak silne mogą być ideologiczne więzy łączące emigrantów z interesami politycznymi starego kraju.

migracyjnej  
(Od)zyskiwanie  
pamięci

Jednakowoż w miarę upływu lat i następstw kolejnych generacji sytuacja zazwyczaj diametralnie się zmienia, a wraz z nią kształtuje się nowego typu lojalność zorientowana przede wszystkim na kraj i państwo zamieszkiwania. Symbolicznym wyrazem tego rodzaju postawy były liczne deklaracje działaczy Polonii amerykańskiej (wyrażane w okresie międzywojennym, ale także i w latach 90. XX wieku), wyraźnie odcinające się od bezpośrednich związków z polską polityką, choć mocno podkreślające potrzebę i konieczność utrzymywania więzów kulturowych z krajem przodków. Taka ewolucja nie tylko poglądów, ale i obyczajów, coraz bardziej zamerykanizowanych, jest dla środowisk powstających w wyniku migracji czymś całkowicie naturalnym. Emigranci stają się wrastającymi w nowy kraj imigrantami, a ich dzieci i wnuki przekształcają się w Amerykanów polskiego pochodzenia, których, wraz z innymi potomkami imigrantów, zalicza się w USA do kategorii tzw. etników (*ethnics*). Jedni nadal utrzymują okazjonalne kontakty ze starym krajem, podczas gdy inni zachowują o nim jedynie mglistą pamięć, a często również i dumę z migracyjnych losów swych przodków, którzy w Ameryce odnaleźli życiową szansę i wnieśli do tego kraju swój skromny, ale w sumie znaczący wkład.

1  
0  
8

Lata 20. XX wieku zmieniły drastycznie politykę imigracyjną Stanów Zjednoczonych, które zaczęły ograniczać swobodny dotychczas napływ imigrantów. Polonia amerykańska, pozbawiona znaczących liczebnie kolejnych fal przybyszów, zaczęła się stabilizować i wrastać na dobre w amerykańskie społeczeństwo. Dopiero lata bezpośrednio po drugiej wojnie światowej przyniosły do Stanów Zjednoczonych nowe pokolenie imigrantów, w większości osób o statusie uchodźcy, którzy w wolnym świecie za oceanem szukali swego nowego miejsca na ziemi, nie mogąc lub nie chcąc powrócić do kontrolowanej przez sowieckich i rodzimych komunistów Polski. Zderzyli się oni wówczas boleśnie z tzw. starą Polonią, z którą faktycznie niewiele ich łączyło. Czuli się weteranami i patriotami na obczyźnie, a zatem trudno było im nawiązać bliższy kontakt z amerykańskimi potomkami imigrantów. Dlatego też szybko przystąpili do budowy odrębnej sieci kontaktów i organizacji, by we własnym środowisku móc czuć się



swojsko i swobodnie realizować swe społeczne i polityczne cele.

Podobne zjawisko wystąpiło ponownie w latach 80. XX wieku, kiedy to kolejna fala politycznych uchodźców – tym razem „solidarnościowych” – przybyła do Stanów Zjednoczonych. W tym okresie miałem wielokrotnie okazję obserwować napięcia i nieporozumienia, jakie powstawały między tymi dwiema formacjami polonijnymi. Z jednej strony, byli to dobrze wykształceni w Polsce przybysze o wielkich ambicjach szybkiego osiągnięcia sukcesu, z drugiej zaś „stara”, przeważnie robotnicza Polonia, coraz bardziej zamerykanizowana i w niewielkim stopniu utrzymująca więzi z krajem swych przodków. Doświadczenia życiowe, sposób myślenia, codzienne nawyki, preferencje kulturowe, usytuowanie klasowe, plany i ambicje – to wszystko w sumie wielce dzieliło oba te środowiska, choć z pozoru, dla zewnętrznego obserwatora, mogłoby wydawać się, że jedni i drudzy przynależą do tej samej kategorii polskich etników.

Jednym z przejawów tych różnic były napięcia obserwowane przeze mnie w jednej z tzw. polskich parafii, w której to w istocie funkcjonowały obok siebie dwie paralelne społeczności wiernych: Amerykanie o polskich korzeniach posługujący się w zasadzie tylko językiem angielskim, do tego bez reszty zanurzeni w amerykańskiej popkulturze i posiadający nieliczne „naleciałości” etniczne (jak na przykład przywiązanie do muzyki „polka dance” i „polskiej” kielbasy) oraz Polacy-uchodźcy szukający w nowym kraju polskiego punktu odniesienia, którym w sposób oczywisty był dla nich polski kościół i parafia. Jedni drugich nie rozumieli i nawzajem obwiniali się o niezawinione grzechy. Konflikt nieuchronnie narastał i to mimo mediacji biskupa oraz moich naukowych ekspertyz. Chodziło w gruncie rzeczy o to, która z obu tych grup posiadać ma pełne prawo do korzystania z „polskiego” kościoła? Czy ta, której przodkowie wybudowali świątynię, czy też ta, która uważała się za „prawdziwych” Polaków z racji swego obywatelstwa, języka i kultury. Tego typu konflikty pojawiały się w wielu polonijnych parafiach amerykańskich i świadczyły o tym, jak trudno jest imigrantom świeżej daty nie tylko dopasować się do głównego nurtu społeczeństwa przyjmującego, ale i porozumieć się z wcześniej uformowaną Polonią.

Należy także wspomnieć i o trzecim nurcie powojennej migracji do USA, a mianowicie o tych przybyszach, którzy udawali się za

ocean w celach czysto zarobkowych, wykorzystując więzy rodzinne lub fikcyjne zaproszenia. Napływali oni do Stanów, poczynając od lat 60. i 70. XX wieku, głównie z Podhala, Małopolski, Podlasia i Mazowsza, i zasilali swą obecnością polonijne dzielnice uformowane jeszcze przez „starą Polonię”. Najczęściej określani byli mianem „wakacjuszy”, choć w istocie czynili wszystko, aby w nieskończoność przedłużyć swój pobyt i w końcu uzyskać status legalnych imigrantów. Z czasem wielu z nich sprowadzało swych małżonków i pozostałych krewnych, współtworząc w ten sposób nowy rozdział w dziejach amerykańskiej Polonii. Dobrym przykładem polskiej dzielnicy w taki sposób tworzonej był z pewnością nowojorski Greenpoint, zasiedlany w latach 80. i 90. przez wielu przybyszów o płynnym statusie pobytowym. Atmosferę tej polskiej dzielnicy w perspektywie krytyczno-komediowej oddał w głośnej powieści *Szczuropolacy* Edward Redliński, a ukazał jeszcze bardziej sugestywnie oparty na tej książce film *Szczęśliwego Nowego Jorku* w reżyserii Janusza Zaorskiego. Obecnie dzielnica ta powoli traci swój polski klimat. Dzieje się to w związku ze zmianą głównego kierunku emigracji z Polski w stronę krajów Europy Zachodniej, a także ze względu na naturalny dla Ameryki proces dekompozycji starych etnicznych dzielnic, opuszczanych przez dotychczasowych mieszkańców, którzy udają się w „lepsze” podmiejskie rejony. W rezultacie polscy właściciele tamtejszych podupadających nieruchomości, dzięki procesom gentryfikacji tej dzielnicy, stają się nieoczekiwanie milionerami, co spowodowane zostało nagłym wzrostem wartości domów, do niedawna atrakcyjnych jedynie dla biednych imigrantów.

Dzisiaj Ameryka w mniejszym stopniu przyciąga polskich migrantów aniżeli w dwóch minionych stuleciach. Za to staje się celem szczególnie atrakcyjnym dla przybyszów z innych kontynentów niż Europa. W coraz większej mierze dawne polskie dzielnice wypełniają się mieszkańcami pochodzącymi z Ameryki Łacińskiej. Wybierają oni te rejony nieprzypadkowo, a to między innymi z tego względu, iż napotykać tam na katolickie parafie, które, jak kiedyś, starają się wspierać – i to nie tylko duchowo – nowych imigrantów. Przykładem takiej swoistej zamiany miejsc może być chicagowskie „Jackowo”, tradycyjna dzielnica polonijna położona w pobliżu monumentalnego kościoła pod wezwaniem św. Jacka, zbudowanego jeszcze przez pierwszą falę polskich imigrantów. Polscy mieszkańcy tego rejonu, w miarę wrastania

w amerykańską klasę średnią, zaczęli wyprowadzać się do bardziej wygodnych dla nich domów położonych z dala od śródmiejskiego zgielku. Pozostawili jednak w swej dawnej etnicznej dzielnicy założone przez siebie sklepy, warsztaty czy agencje, teraz jednak skierowane bardziej na obsługę „Latynosów” aniżeli polskich „wakacjuszy”.

Dzieje imigracji do Stanów Zjednoczonych, w tym także i historia środowisk polonijnych, pokazują nam, jak dynamiczny i zarazem zmienny jest proces przenoszenia się ludzi z kraju do kraju. Z jednej strony, jak zwykle mamy do czynienia z wielką polityką i globalnymi procesami gospodarczymi, które z jednych krajów ludzi wypychają, a do innych przyciągają magnesem dobrobytu. Z drugiej zaś, za tymi falami migracyjnymi kryją się konkretne, indywidualne losy poszczególnych osób i rodzin. Odzwierciedlają je przede wszystkim ich osobiste relacje, wspomnienia, pamiętniki, w tym i listy, takie jak te odkryte i opublikowane przez Witolda Kulę, Ninę Assorodobraj-Kulę i Marcina Kulę, a przypominane dzisiejszemu pokoleniu dzięki poznańskiej wystawie.

#### Literatura

- |   |   |
|---|---|
| Brożek A.,<br><i>Ślężacy w Teksasie. Relacje o najstarszych polskich osadach w Stanach Zjednoczonych</i> , Warszawa, Wrocław: PWN 1972. | Posern-Zieliński A.,<br><i>Tradycja a etniczność. Przemiany kultury Polonii amerykańskiej</i> , Wrocław: Ossolineum 1982.       |
| Brożek A.,<br><i>Polonia amerykańska. 1854–1939</i> , Warszawa: Interpress 1977.  | Redliński E.,<br><i>Szczuropolacy</i> , Warszawa: BGW 1994.   |
| Kubiak H., Kusielewicz E., Gromada T. (red.),<br><i>Polonia amerykańska. Przeszłość i współczesność</i> , Wrocław: Ossolineum 1988.     | Thomas W. I., Znaniecki F.,<br><i>Chłop polski w Europie i Ameryce</i> , t. 1–5, Warszawa: Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1976. |
|   | Znaniecka-Łopata H.,<br><i>Polscy Amerykanie</i> , Wrocław: Ossolineum 1989.  |



THEATRE

SCALE of PRICES

THEATRE  
SCALE of PRICES  
ALL SEATS  
FIRST CLASS 25¢  
SECOND CLASS 15¢  
THIRD CLASS 10¢



35  
....

W drodze do domu ze  
świętecznymi zakupami,  
1910

\_\_\_\_\_ Karolina Bielenin-Lenczowska  
Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej  
Uniwersytetu Warszawskiego

s. → 1  
1  
4

# Pierogi z fizonem.



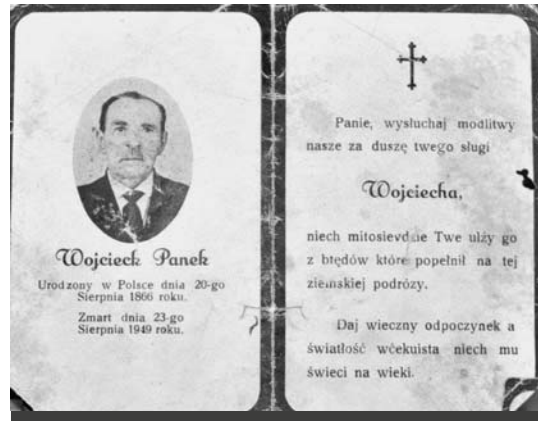
## Potomkowie polskich imigrantów w południowo- brazylijskiej wsii

O potomkach polskich emigrantów do Brazylii wie się w Polsce niewiele. Mimo że jest to grupa znaczna, licząca według różnych szacunków od 800 tysięcy do 2 milionów osób. W większości są to mieszkańcy wsi, rolnicy, którzy nie angażują się w wielką politykę. Dopiero od niedawna brazylijskie organizacje polonijne mogą liczyć na wsparcie ze strony władz polskich, a i tak mało kto dociera do ukrytych w interiorze wiosek.

Tymczasem to właśnie tam na co dzień mówi się polską gwarą i kultywuje wiele zwyczajów przewiezionych z Polski przez przodków. I to tam ludzie mówią, że są Polakami, a nie Brazylijczykami, bo Brazylijczyk to „czorny” mieszkający gdzieś na północy Brazylii.

36

Jeden z nielicznych  
zachowanych dokumentów osobistych  
fot. Karolina Bielenin-Lenczowska





Emigracja z ziem polskich do Brazylii nazywana jest czasem „kolonizacją”. Był to bowiem masowy ruch rodzin chłopskich, którym władze brazylijskie wyznaczyły zadanie skolonizowania południowej Brazylii poprzez założenie tam wsi (zwanych „koloniami”) i nowoczesnych gospodarstw rolnych. Europę Środkowo-Wschodnią, która wcześniej była głównym dostawcą zboża na rynki zachodnie, od połowy lat 80. XIX wieku przez blisko dekadę trawił kryzys agrarny, spowodowany pojawieniem się w Europie Zachodniej taniej konkurencji ze Stanów Zjednoczonych i Kanady. Jednocześnie w Brazylii, po zniesieniu niewolnictwa w roku 1888, potrzebne były ręce do pracy na plantacjach kawy oraz w modernizującym się rolnictwie na południu kraju.

Jedną z pierwszych i największych fal migracyjnych była tzw. „gorączka brazylijska”, która przypadła na lata 1890–1891. Potem, na początku XX wieku i po pierwszej wojnie światowej, wyjeżdżały już mniejsze grupy i nie tylko rolnicy, ale też emigranci do miast. Polacy zostali osiedleni w trzech południowych stanach: Santa Catarina, Rio Grande do Sul i Paraná, gdzie mieszka dziś najwięcej potomków emigrantów z tamtego okresu. Kurytyba jest uważana za „stolicę” brazylijskiej Polonii: to tu mieści się Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej oraz wiele stowarzyszeń, organizacji czy wydawnictw.

Do Brazylii wyjeżdżały całe rodziny z przeludnionych i ubogich polskich wiosek. Krążyły nawet plotki, że kawalerów nie wpuszczają. Na miejscu imigranci dostawali ziemię pod uprawę, co dla pojedynczego rolnika byłoby w zasadzie niewykonalne. Dlatego zdarzało się, że młody chłopak przyłączał się do jakiejś rodziny w podróży, a potem albo wspólnie z nimi gospodarował, albo szybko wżenił się w inną rodzinę. Emigranci do Brazylii chcieli i mogli pozostać chłopami. Jest to szczególnie ważne, zwłaszcza że w pamięci żywe były jeszcze czasy przed uwłaszczeniem (1864 w Królestwie Polskim, 1848 w Galicji), kiedy to chłop pracował nie dla siebie, ale odrabiał pańszczyznę na rzecz „pana”. Tymczasem w Brazylii otrzymywał ziemię na własność, i to niemało, bo około 25 hektarów. Stawał się więc *de facto* „panem”. W listach emigrantów pojawiają się liczne wskazówki, dokąd powinni udać się przyszli „kolonizatorzy”: „Terasz prosze cie, bądź tak dobry, dorodź tam wszystkim, aby się nie zapisywali do Sao Paula, tylko do Sac. Kataryny, bo tam wszyscy ido pod bat, a tu u nasz wszysecy wolno”. W São Paulo bowiem musieliby pracować na plantacjach kawy, a zatem

migracyjnej  
(O)dzyskiwanie  
pamięci

1  
1  
8



37

Mrożone pierogi  
z supermarketu  
fot. Karolina Bielenin-Lenczowska

38 →

Henri Rousseau,  
*Egzotyczny pejzaż*,  
1908



W naszym lesie dózo zwiezyny nie ma, znajduiom się tygrysy, jelenie, świnie dzikie. Małpuf to dużo jest, zmije, wenze, dzikie bydło, krokodyle, jaszczurki i takie duże jak koty, robaki rozmaitego gatunku jakie wcale nie widzieliście, som muchy takie jak we wieczór lataom to ślipie majom jak elektryka tak światło bije ot nich. I ptaki som rozmaigte bardzo ładne, duże i małe – ta wsytka zwiezyna nic człowiekowi nie robi, zadne szkody bo ot człowieka ucieka, bo ludzi nie zna. Klemat jest u nas bardzo zdrowy, wode mamy tez bardzo dobre bo jest wsytka zdrojowa, a zimy to tu nie ma taki jak w Polsce.

Anna i Jakub Bufaltowie  
z Alfredo Chaves, Rio  
Grande do Sul do  
rodziców, Żyrardów,  
2 IV 1891

nie dla siebie, lecz znów dla kogoś. Miernikiem sukcesu imigranta było „życie jak pan”, zwłaszcza porządne ubranie i jedzenie: „Jak nam da pan Bug zdrowjcie i pozyc dłużej, to z łaski pana Boga spodziewwamy sie ze lepiej nam będzie [niż] Panu na dobrym folwarku” – pisze emigrant z Porto Alegre w 1891 roku do matki.

Polscy emigranci nie mieli żadnego wsparcia ze strony państwa wysyłającego – wszak Polska nie istniała wtedy na mapie i jej mieszkańcy byli poddanymi Rosji, Austrii lub Prus. Ponadto, z reguły byli niepiśmienni. Brak instytucjonalnego wsparcia, bieda i niepiśmienność spowodowały, że Polacy mieli niski status społeczny wśród emigrantów z Europy, niższy niż na przykład Włosi czy Niemcy. Stąd wzięł się negatywny stereotyp chłopca-Polaka i powstanie określeń takich, jak *polaco burro* (Polak-osioł), *polaco sem bandeira* (Polak bez flagi) czy używanie wyrazu *polaca* w znaczeniu „ prostytutka”. Nadal zresztą często uważa się, że określenie *polaco* (Polak, polski) jest obraźliwe, dlatego oficjalnie używa się słowa *polonês*. Mimo to w wielu wsiach zachowały się liczne elementy kultury polskiej. Trzeba dodać, że jest to kultura chłopska, a dokładniej kultura lokalna konkretnych miejsc z końca XIX wieku.

Tak jest w stanie Paran, w tym we wsi Rio Claro do Sul, gdzie prowadz badania etnograficzne. Jest to rozległa wieś z kilkoma „koloniami” (przysiółkami), zamieszkała gownie przez potomkw Polakw oraz – w mniejszej cześci – Ukraiców (Rusinw), administracyjnie należąca do miasta Mallet. Wieś ta została załozona w roku 1891 przez imigrantw polskich pochodzących z roznych wsi Krolestwa Polskiego. Nieco pozniej, w 1896, przyjechali Polacy i Rusini z Galicji Wschodniej. Źródła historyczne podaj, że na przełomie XIX i XX wieku była to najwieksza polska „kolonia” w stanie Paran. Imigranci trafiali w zasadzie do puszczy („Bodaj same bory były” – mowię moi rozmowcy), którą musieli wykarczowa, zbudowa domy i drogi. W nastepnej kolejnoci powstawał kościół i szkoła. Mieszkańcy Rio Claro w 1896 roku postawili duży drewniany kościół Matki Bożej Rożacowej, obecnie już nieistniejący, który nazywano „Częstochow Paransk”, a take kilkuklasowe szkoły w poszczegolnych „koloniach”. W Rio Claro działao ponadto Towarzystwo Sportowe „Junak”, biblioteki oraz siostry zakonne, które nauczały religii. W pobliskim Mallecie od 1911 do 1937 roku funkcjonowaa polska szkoła średnia imienia Mikołaja Kopernika.

39

Krajobraz Rio Claro  
fot. Karolina Bieleń-Lenczowska



(40)



40

Zagroda polskich  
imigrantów w Brazylii

41

Karczowanie  
lasu w Brazylii

Fotografie z książki Tadeusza Chrostowskiego  
*Parana: wspomnienia z podróży w roku 1914,*  
wyd. 1922

„Jak nam da pan Bug zdrowie i pozyc dłu-  
żej, to z łaski pana Boga spodziewwamy sie  
ze lepiej nam będzie [niż] Panu na dobrym  
folwarku”.



(41)  
.....



W bardzo nielicznych domach zachowały się dokumenty i pamiątki z tamtych czasów, takie jak książeczki do nabożeństwa, fotografie czy święte obrazy. Większość mieszkańców nie wie, skąd dokładnie pochodzili ich przodkowie. Wiedzą jedynie, że z Polski, i taka zresztą informacja widnieje na ocalałych dokumentach osobistych. Bardzo mało zachowało się również opowieści o podróży z Polski czy życiu tam przed emigracją. Jednym z powtarzających się wątków jest śmierć na statku i konieczność wyrzucenia ciała do morza bez możliwości pochowania go – zgodnie ze zwyczajem – w ziemi. Innym motywem jest wspomniana wyżej konieczność wyrębu lasu, a także strach przed nieznanymi dzikimi zwierzętami zamieszkującymi „bory” i opowieści o mroźnej zimie w Polsce („Bodaj tyle było śniegu, że trzeba było łopatą odgarniać”).

Mieszkańcy Rio Claro w większości mówią po polsku i w tym języku zazwyczaj prowadziłam rozmowy i wywiady. Należy dodać, że jest to język z końca XIX wieku, z silnymi wpływami portugalskiego. Czasem moi rozmówcy wstydzili się swojego języka i mówili, że jest on *misturado* (portugalskie: pomieszany) lub „nieakuratny” (nie-dokładny, nieodpowiedni) czy „brudny”. W niektórych sytuacjach przechodziliśmy na język portugalski. Z kolei komunikacja pisemna odbywała się w zasadzie tylko po portugalsku.

Język polski, mimo że przekazywany z pokolenia z pokolenie, zachował się niemal jedynie w wersji mówionej. Mało osób czyta po polsku, jeszcze mniej pisze. Wiąże się to z luką w nauczaniu języka polskiego spowodowaną przez wprowadzenie w Brazylii w 1938 roku zakazu posługiwania się w przestrzeni publicznej innymi językami niż portugalski. Zamknięto mnóstwo szkół, a w tych, które zostały, zatrudniono nauczycieli portugalskojęzycznych. Ta tzw. polityka nacjonalizacyjna Getulio Vargasa trwała do połowy lat 80. XX wieku, a w wielu miejscach, zwłaszcza miastach, dochodziło nawet do prześladowań i aresztowań osób mówiących w języku innym niż portugalski.

Nadal jednak, zwłaszcza w „koloniach”, czyli na wsi, słyszy się język polski na ulicy czy w kościele. Jeden z moich rozmówców powiedział nawet, że „Polok, co nie godo po polsku, to głupi Polok”. Język przekazywany jest z pokolenia na pokolenie w wersji, jaka została przywieziona z Polski, a potem zaadaptowana do lokalnych warunków i przefiltrowana przez język portugalski. Dlatego niech nie dziwi



powitanie tuż po południu „dobry wieczór”, bo to kalka z portugalskiego *boa tarde*, czyli dosłownie „dobre popołudnie”, a także mówienie do starszych od siebie osób per „wy”. Wiele nazw produktów czy urządzeń domowych zostało zapożyczonych z języka portugalskiego, ponieważ emigranci pod koniec XIX wieku ich nie znali. Są to choćby *banheiro*, czyli łazienka, czy *geladeira* – lodówka.

Drugim ważnym obszarem, w którym kulturowane są zwyczaje przodków, jest jedzenie. W Paran wiedza, czym s pierogi, barszcz, gobki, placki ziemniaczane czy kapuniak, jest powszechna. I wiadomo, e s to dania polskie, ewentualnie polskie i ukraiskie. Niemal na wszystkich festiwalach i w restauracjach etnicznych podawana jest tzw. *comida tipica* (typowe jedzenie), czyli pierogi, gobki, bigos czy barszcz.

Potrawy uwane w Brazylii za polskie s – co oczywiste – nieco inne ni w samej Polsce, gdzie przecie rwnie wystepuj regionalne rwnice. Wiele da ulego adaptacji do lokalnych warunk i przyzwyczaj smakowych. Na przykad pierogi podawane s zazwyczaj z sosem pomidorowym. Do najbardziej popularnych nale te z białym serem i ziemniakami, z kiszon lub konserwow kapust, ale take z czarn fasol zwan tu „fizon”. Najlepszym chyba przykadem tego, jak za jedn nazw kryj si odmienne znaczenia, jest przykad kutii. Kutia jest powszechnie jada na Wigili Boego Narodzenia, zarówno przez Polak, jak i Ukraic, ale wyglda zupenie inaczej ni w Polsce. Nie zawiera bowiem skadnika, który wydaje si jednym z najwniejszych, czyli maku. Brazylijska kutia robiona jest z gotowanej pszenicy i typowego dla sodkich da skondensowanego mleka.

Mimo powyszych rwnic nadal potrawy te nazywa si „typowo polskimi”. Można zapyta, dlaczego nie typowo brazylijskimi? Przecie powstały w Brazylii i s przyradzane i spoywane przez Brazylijczyk. I s inne ni te znane obecnie w Polsce. *Comida tipica brasileira*, czyli typowe jedzenie brazylijskie, to elementy kuchni indiaskiej, portugalskiej (czyli kolonialnej) i „afrykaskiej” (przywiezionej wraz z niewolnikami). Nie nale do niej jednak potrawy kuchni potomk imigrant europejskich, tak charakterystycznej dla poudnia Brazylii, jak choby niemiecki *Schmier* (sodki krem owocowy podobny do demu), woska polenta (potrawa z gotowanej kaszy kukurydzianej, zazwyczaj podawana z misem lub warzywami) czy polskie pierogi.

Dlatego w kurytybskiej restauracji „Krakowiak” są dwa menu: „typowo polskie” oraz „typowo brazylijskie”.

Wiele potraw uznanych za typowo polskie nie jest jednak jadalnych na co dzień. To jedzenie od święta – na festiwalu, na niedzielę lub inne okazje. W dzień powszedni jada się to, co uważane jest za „typowe jedzenie brazylijskie”: ryż z czarną fasolą, zazwyczaj serwowany z grillowanym mięsem i sałatką warzywną. Ów „ryż z fizonem” jest zresztą tak częsty na stołach, że trudno wyobrazić sobie bez niego nawet dania świąteczne. Jedna moja rozmówczyni tak opisała potrawy wigilijne: „Zawsze musi być tuzin jeścióch: ryż, fizon, kapusta, sałata.... co bądź. Wtedy jest lato, wszystkiego jest pełno. No, mięsa ni ma. U nos się nie jadło mięsa”. Rosół, podobnie jak w wielu domach w Polsce, również pojawia się na niedzielnym stole, podawany z domowym makaronem, ale też z ryżem i słodkimi ziemniakami (batatami). Rozmówcy przyznają, że dawniej w niedzielę rano zabijało się koguta na rosół.

Z Polski przywieziono nie tylko kuchnię, ale również sposoby przechowywania i konserwowania żywności. Popularne są tu zatem kiszone ogórki i kapusta, a także – charakterystyczne dla potomków Europejczyków z innych krajów – warzywa konserwowe. Dawniej również, gdy nie znano jeszcze lodówek, po zabiciu świni przetapiano mięso ze słoniną i przechowywano je w tłuszczu w dużych metalowych puszkach, tzw. *latkach* (od *lata*, czyli puszka po portugalsku), lub suszono bądź wędzono w przydomowych wędzarniach.

Jednocześnie potomkowie Polaków, żyjąc w otoczeniu osób odmiennych etnicznie i narodowo, przejęli od nich zwyczaje jedzeniowe. Jednym z przykładów jest *chimarrão*, wymawiany tu jako „szimaron”, który jeden z moich rozmówców nazwał „polskim ojczenaszem”, wyjaśniając, że od tego zaczyna się dzień. *Chimarrão* jest napojem przygotowywanym z liści *erva mate* (ostrokrzew paragwajski), podawanym w tykwie (*cuiá*) i pitym przez rurkę z filtrem (*bomba*). Brazylijczycy polskiego pochodzenia nie tylko piją *chimarrão*, ale także uprawiają *mate* (nazywaną przez nich „herba”) oraz robią napar z gałązek tego krzewu, który nazywają herbatą. Ponieważ niemal od początku polskiego osadnictwa w Brazylii uprawiano kukurydzę, zwaną tu „milija” (od portugalskiego *milho*), wśród potomków Polaków popularna jest również włoska *polenta*. Z kolei z lokalnych kuchni indiańskich wywodzi się maniok, który Brazylijczycy polskiego pochodzenia nazywają

„mandzioka” i zazwyczaj uprawiają w przydomowych ogródkach. I mimo że za typowe dla polskiej czy polsko-brazylijskiej kuchni uważane są barszcz, pierogi czy gołąbki, trudno wyobrazić sobie dzisiejszą kuchnię potomków emigrantów bez ryżu, fasoli, kukurydzy, manioku i codziennego rytuału picia „szimaronu”. Jednocześnie „polskie” pierogi są znane w całej Paranie i jadane nie tylko przez osoby polskiego pochodzenia. Zwłaszcza, że są łatwo dostępne nie tylko w restauracjach etnicznych, ale również w supermarketach w postaci mrożonek.

Należy też pamiętać o dynamice zmian, związanej z nowymi upodobaniami smakowymi oraz przemianami w gospodarstwach rolnych. Gdy byłam w Rio Claro na przełomie 2011 i 2012 roku, zadziwiły mnie samowystarczalne gospodarstwa, w których uprawiano w zasadzie wszystko, co potrzebne było do konsumpcji, w tym ryż, fasolę, kukurydzę, ziemniaki, cebulę, pszenicę oraz warzywa ogrodowe. Obecnie, po zaledwie czterech latach, w krajobrazie wsi dominują monokultury genetycznie modyfikowanej soi oraz tytoniu. Uprawiane są one na sprzedaż, a wiele składników codziennej konsumpcji pochodzi ze sklepów. Często kupowane są również gotowe produkty, takie jak chleb czy masło.

Dziedzictwo kulturowe jest obecnie definiowane bardzo szeroko. Może oznaczać coś bardzo konkretnego, jak budynek czy pomnik, ale także coś mniej uchwytnego: język, muzykę czy festiwal. Zazwyczaj kojarzy się pozytywnie: jest to coś, co warto i należy chronić oraz coś, co wiąże się z historią i pamięcią jakiejś grupy etnicznej lub narodowej. Jest również silnie upolitycznione, to znaczy, że ma wsparcie w instytucjach państw i organizacjach, programach rządowych i pozarządowych. Wprowadzony przez UNESCO podział na „dziedzictwo materialne” i „niematerialne” jest jednak sztuczny, ponieważ w wielu przypadkach oba te rodzaje zająwiają się ze sobą. Zresztą, pojmowanie dziedzictwa jest odmienne wśród osób je praktykujących, polityków i naukowców. Jednocześnie to samo dziedzictwo może być uznawane za własne przez różne grupy.

W moich badaniach skupiam się na codziennym praktykowaniu dziedzictwa kulturowego. Rozumiem je jako oddolne działania ludzi, niekonieczne wsparte jakąś polityką lub aktywnością organizacji. Bliskie jest ono pojęciu tradycji, rozumianej jako coś, co dana grupa ludzi uważa za cenne, warte podtrzymywania i przekazywania

następnym pokoleniom. Są to również działania jednostkowe, mogą więc inaczej wyglądać w zależności od płci, wieku czy wykształcenia poszczególnych osób.

Badacze często biorą za pewnik związek pojęcia diaspory z tożsamością narodową, etniczną czy religijną. A tymczasem wiele działań ludzkich jest wypadkową kultury z kraju pochodzenia i kultury kraju przyjmującego. A nawet więcej – regionu i wsi pochodzenia z kulturą regionu czy wsi w kraju przyjmującym. Trzeba pamiętać, że Polacy przybyli do Brazylii w końcu XIX wieku z ubogich wsi, wielu z nich było niepiśmiennych i mało mobilnych. Mówiąc o ich praktykach, że są „polskie”, jest dużym nadużyciem. One są po prostu lokalne, silnie związane z obszarem, z którego migranci pochodzili. Bo przecież nigdy w całej Polsce nie jadło się pierogów ani nie piło domowego piwa (zresztą tylko we wschodniej części kraju uprawia się chmiel, z którego sporządza się domowe piwo).

→

#### Literatura

Kaczorowska T.,  
*W cieniu araukarii. Spotkania z Polonią brazylijską*, Warszawa: Książka i Wiedza 2000.

Kula M.,  
*Polono-Brazylijczycy i parę kwestii im bliskich*, Warszawa: Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego 2012.

Malczewski Z. TChr,  
*Polonii brazylijskiej obraz własny. Zapiski emigranta (2007–2010)*, Warszawa: Biblioteka Iberyjska 2010.

Orzeł-Dereń K.,  
*Śladami polskich kolonistów w Brazylii. Historia osadnictwa na terenach Santana*, Kraków: Księgarnia Akademicka 2014.

Siemiradzki J.,  
*Szlakiem wychodźców. Wspomnienia z podróży po Brazylii*, t. 1–2, Warszawa: Drukarnia A. T. Jezierskiego 1900.

Smolana K.,  
*Polska diaspora w Ameryce Południowej, Środkowej i Meksyku*, w: A. Walaszek (red.), *Polska Diaspora*, Kraków: Wydawnictwo Literackie 2001, s.130–148.

Jedna z fal imigracyjnych do Rio Claro do Sul to Polacy i Rusini, którzy przybywali razem z terenów leżących obecnie w granicach Polski i Ukrainy; wtedy była to część zaboru austriackiego. Różnił ich dialekt, a przede wszystkim religia: Ukraińcy są z reguły grekokatolikami, Polacy katolikami obrządku rzymskiego. Natomiast w odniesieniu do tradycji kulinarnych tej różnicy nie ma. Pierogi jedzą i Ukraińcy, i Polacy; jedni i drudzy mają barszcz czy bezalkoholowe piwo domowe (*cerveja caseira*). Jedni i drudzy uważają to za część swojego dziedzictwa. I mają do tego prawo. Co więcej, brazylijscy Polacy jadają również potrawy znane jako „typowe” wśród przedstawicieli innych grup narodowych imigrantów z Europy. Przykładem niech będzie moje spotkanie z *Pomeranos* (emigrantami z Pomorza Wschodniego, posługującymi się bliskim niemieckiemu językiem *pomerano*) w okolicy Pelotas, w stanie Rio Grande do Sul. Zaoferowano mi na obiad potrawę, którą przedstawiono jako „typowo pomorską”. A było to nic innego jak „nasze” placki ziemniaczane, tu nazywane *Rievelsback*. Podobnie było z rosółem z kury i *Schwarz Suppe*, czyli czerniną (tam nazywaną „czarniną”). Jest to oczywiście dziedzictwo wspólne, które wynika z podobnych doświadczeń i trybu życia. Dlatego zapewne rację mają badacze brazylijscy, którzy wychodzą poza optykę narodową i etniczną, pisząc o „wspólnej tożsamości wiejskiej”.

\_\_\_\_\_ Nancy (Szot Nelson) Canavera

s.	→	1
		3
		0

Podróż sentymalna.Historia naszej polskiej rodziny z Ameryki

Jak powinnam zacząć opowieść o losach moich dziadków, będąc wnuczką tych, którzy przed 110 laty wyemigrowali do Ameryki? Jak połączyć fakty historyczne z rodzinnymi opowieściami? Jak pisać o bezwarunkowej miłości i wartościach przekazywanych z pokolenia na pokolenie?

Jestem taką wnuczką, już dziś siedemdziesięcioletnią, która pamięta bezgraniczną miłość okazywaną sobie w mojej rodzinie, i która udała się po raz pierwszy w życiu do Polski po wielu, wielu latach od wyjazdu moich dziadków. Wyruszyłam w tę podróż w lipcu 2016 roku, razem z 38-letnim synem. Wiedzieliśmy tak niewiele, lecz to, czego się nauczyliśmy w trakcie tego dwutygodniowego pobytu, zmieniło nasze życie. Myśląc o tym dziś, zdajemy sobie sprawę, że nasze poszukiwania zakończyły się sukcesem dzięki otwartości i pomocy kilku wspaniałych osób, takich jak Anna Czerwińska, Natalia Bloch, Zuzanna i Marta, oraz tych, którzy wspierali nas tłumaczeniami. Informacje, jakie udało nam się zdobyć, sprawiły, że twarze z naszej pamięci stały się osobami z krwi i kości.

Mieliśmy nieco informacji i zdjęć rodziny Szotów, którzy przybyli do Nowego Świata w roku 1906 jako małżeństwo z dwiema córkami. Figurowali na liście pasażerów statku Kronprinz Wilhelm. Wypłynęli z Bremy 17 marca 1906 roku i dotarli do celu 4 kwietnia. Wiedzieliśmy również, że Jan Szot już wcześniej samodzielnie wybrał się do Chicago, w 1902 i 1905. Janowi i Anieli (z d. Ochońska) urodziło się w Chicago jeszcze trzech synów i dwie córki. Opowiadano nam, że jeszcze kiedy mieszkali w rodzinnej wsi, Aniela zwróciła uwagę Jana, bo była wykształcona i nosiła buty! Wiedzieliśmy też, że jego matka, Zofia Pankowicz-Szot, była niepokieszona, gdy wyjechał, bo to on miał przejąć ziemię. W Chicago dziadek Jan od razu dostał pracę w American Express – wówczas specjalizującym się w transporcie przesyłek,

wciąż jeszcze częściowo dylizansami – gdzie przydały się jego umiejętności związane z końmi. W przeciągu 15 lat Szotowie zbudowali nowiutki dom z garażem w nowej dzielnicy Chicago, gdzie oni i ich potomkowie mieszkali przez resztę życia, aż do roku 2005, kiedy zmarło ostatnie z siódemki rodzeństwa.

To z tego domu trzech wujów wyruszyło walczyć po stronie aliantów podczas drugiej wojnie światowej i powróciło, by wspierać babcię Anielę (lub Buszę, jak ją nazywaliśmy) po śmierci dziadka Jana, ponieważ wychowano ich w wartościach, które na pierwszym miejscu stawiały rodzinę i wspieranie się nawzajem. Przysłuchiwalismy się niedzielnym rozmowom w domu Szotów o ideach, muzyce i polityce. Obchodziliśmy katolickie święta, kiedy na stole zjawiała się chałka, pisanki, pieczona jagnięcina czy galaretkę miętowa. Pomagaliśmy ciotce Eleanor (Lee) lepić pierogi, kołaczki i gniazdzka. To właśnie z domu przy Sacramento Avenue nasza Babka wychodziła co dzień na mszę w pobliskim kościele. Ten dom był symbolem bezwarunkowej miłości przez całe nasze życie, domem, gdzie tej miłości doświadczały wnuki i prawnuki Jana i Anieli Szotów.

Wraz ze śmiercią dziadków wyszło źródło wiedzy o naszej rodzinie w Polsce. Oni sami, gdy asymilowali się do nowego życia, raz czy dwa odwiedzili ojczyznę. Moje myśli zawsze wracały do nieznanego mi genealogii rodziny, a w sercu czułam pragnienie, by dowiedzieć się o Szotach więcej. Okazja, by ich odnaleźć, pojawiła się w związku z działalnością mojego syna Marka. Nasza wyprawa do Polski zaczęła się od prostego pytania, które zadał mi Mark: – Mamo, chciałabyś może towarzyszyć mi w podróży do Polski na międzynarodową konferencję o uchodźcach? Bez wahania odpowiedziałam: – Oczywiście, ogromnie chciałabym pojechać i odnaleźć naszą rodzinę.

Poleciliśmy więc do Warszawy, a następnie do Poznania, gdzie wzięliśmy udział w konferencji Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Migracji Przymusowych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza. Tam spotkaliśmy doktor Natalię Bloch, która poznała nas ze swoją studentką, Anną Czerwińską, na której odtąd w głównej mierze polegaliśmy. Bez niej nie udało by się nam znaleźć informacji o naszej rodzinie, ponieważ nie mówiliśmy po polsku. Do Polski przyjechaliśmy z kilkoma nazwiskami, datami i nazwami miejscowości: Łodzi, Brzyścia i Jasła.



Anna stała się naszym polskim „paszportem”, z jej doskonałą znajomością angielskiego i warsztatem badacza. Bezwłocznie skontaktowała się mailowo z pewnym proboszczem oraz z oddziałem Archiwum Państwowego w Sanoku. Mark i ja wsiedliśmy do pociągu do Krakowa, zdając sobie sprawę, że nasza podróż może być daremna. Niemniej, zanim dojechalśmy, Anna napisała: „Właśnie dostałam e-mail z archiwum. Są tam!”. Nie jestem w stanie opisać radości, jaką ta wiadomość nam sprawiła! Z sanockiego archiwum uzyskaliśmy informacje o miejscu urodzenia dziadków i akta ich ślubu.

W Krakowie, Zuzanna z hotelu, w którym mieszkaliśmy, skontaktowała nas z mówiącym po angielsku taksówkarzem, który zawiózł nas do niewielkiej wsi Czarnochovice, pięć kilometrów pod Krakowem. To tam urodziła się Aniela jako córka Marii Jaglarz i Marcina Ochońskiego. Było to dla nas zaskoczeniem, ponieważ mówiono nam, że urodziła się w Łodzi. Niedaleko wsi znajdowało się pole, na którym w następnym tygodniu miał się pojawić papież Franciszek. Nie udało nam się odnaleźć księdza, ale dotarliśmy do kościoła pod wezwaniem Matki Bożej Pocieszenia wzniesionego wprawdzie w 1988 roku, ale prawdopodobnie w miejscu, gdzie stał starszy kościół, w którym Aniela została ochrzczona. Staliśmy tam zdumieni. Nasza Aniela urodziła się w tej okolicy, chodziła po tej ziemi, i tu miała kochającą rodzinę.

Kiedy jeździliśmy po tych kilku drogach, jakie przecinały tę małą wieś, przychodziły nam do głowy kolejne pytania: Gdzie stał jej dom? Gdzie chodziła do szkoły? Powiedziano nam, że mieszkali w Rosji, ale czy była to prawda? Gdzie urodziło się jej jedenastu czy dwunastu braci? Była przecież jedyną córką. Czy podróżowali przez niedaleki Kraków? Jeśli tak, to w jaki sposób? Jak Aniela spotkała Jana, który mieszkał tak daleko?

Z Krakowa pojechalśmy autobusem do Jasła. Mieliśmy jedynie kilka nazwisk, które Anna uzyskała z archiwum w Sanoku. Wiedzieliśmy także, że istnieją dwa Brzyścia, że musimy dotrzeć do Jasła, a następnie do pobliskiego Brzyścia, gdzie mieści się warsztat mechaniczny, którego właścicielem jest pan Szot. Zaryzykowaliśmy, w Jasle weszliśmy do biura podróży i poprosiliśmy o pomoc w znalezieniu rodziny. Pracująca tam Marta mówiła płynnie po angielsku, jako że przez wiele lat mieszkała w New Jersey. W przeciągu godziny dodzwoniła się do sołtysa Brzyścia, umówiła nas na wizytę i zorganizowała tłumacza oraz taksówkę.

Sołtys Marek towarzyszył nam do miejsc, gdzie mieszkali Szotowie i Ochońscy. Starych domów i starych mieszkańców już nie było, ale Marek znał historię wsi. Poznał nas z kobietą, która mogła być daleką krewną, ponieważ posiadała więzy rodzinne zarówno z Szotami, jak i Ochońskimi. Z kolei dziadek sołtysa znał kowala o nazwisku Szot, który pracował dla Austriaków przy budowie kolei. Dotarliśmy w miejsce, w którym stały domy trzech rodzin Szotów. Potem udaliśmy się tam, gdzie kiedyś żyli Ochońscy. Sołtys pokazał nam też, gdzie mieszkali bardziej współcześni potomkowie tej rodziny. Okazało się ponadto, że żona sołtysa też pochodzi z Ochońskich. Niestety była akurat wtedy w podróży poza wsią, a my nie dysponowaliśmy czasem, ale obiecaliśmy powrócić, serdecznie zapraszeni.

Naszym kolejnym celem było samo Jasło, z jego rynkiem, ratuszem, cmentarzem, kościołem. Interesowała nas też historia. Dowiedzieliśmy się, że cesarz Franciszek Józef odwiedził Jasło w 1900 roku – sześć lat przed emigracją Jana i Anieli – wysłuchał koncertu w niewielkim miejskim parku, podczas gdy na terenach między Jasłem a pobliską wsią stacjonowało wojsko. Następnie udaliśmy się na cmentarz, którego odwiedzenie zasugerowała nam Anna, jako możliwe miejsce spoczynku naszych krewnych. Wreszcie znaleźliśmy drogę do kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na ulicy Farnej, gdzie 11 września 1904 roku Jan Szot i Aniela Ochońska zostali sobie poślubieni. Wzięliśmy udział w wieczornej mszy. Kiedy tam siedziałam, oczyma wyobraźni ujrzałam uroczystość zaślubin moich dziadków.

W Krakowie Mark i ja odwiedziliśmy Muzeum Etnograficzne, gdzie wystawione są ludowe, w tym ślubne, stroje z różnych regionów, a także zrekonstruowane szkolne sale i drewniane chaty z Małopolski. W ten sposób mogliśmy sobie wyobrazić, jak Jan i Aniela prawdopodobnie mieszkali i jak wystrojeni szli do ołtarza. Ogarnęło mnie dogłębne uczucie wdzięczności, że poprzez moją matkę przekazali mi praktykowaną przez całe życie wiarę, najważniejszy duchowy dar.

Po wizycie w Polsce nasi dziadkowie przestali być dwuwymiarowymi postaciami na papierze. Stali się realni, jakby istnieli obok nas; oddychające tym samym powietrzem dusze, które szeptały nam historię swojego życia. Pewne informacje wreszcie zyskały sens. Wiedzieliśmy, że krucyfiks, świeczniki i wazon, które wieźli całą drogę do Ameryki, były prezentami od kowala Szota. Dowiedzieliśmy się również, że Aniela

miała jeszcze drugą córkę, Helenę, która urodziła się martwa 27 lutego 1906 roku. Mimo to, zaledwie dwa tygodnie później, wyruszyli wraz z dwiema córkami – czteroletnią i zaledwie dziesięciomiesięczną – do Bremy, skąd przez dwa tygodnie płynęli statkiem do Stanów Zjednoczonych, a następnie jeszcze dłużej tłukli się pociągiem do Chicago. Wiedzieliśmy już, że nasza ciotka Helena otrzymała to imię po zmarłej w Polsce siostrze.

Jednocześnie wciąż powstaje wiele nowych pytań: Jak i kiedy rodzina babci Anieli przeniosła się w okolice Jasła? Czy to stamtąd pochodzili i po prostu wrócili w rodzinne strony? Czy naprawdę mieszkali w miejscu, które pokazywał nam sołtys? Jak zebrali się na odwagę, by podróżować mimo niedawnej śmierci Heleny? Co działo się z dalszą rodziną podczas drugiej wojny światowej? Uciekli czy pozostali w rodzinnej wsi? Czy jesteśmy spokrewnieni z Zofią Szot, żołnierzem ruchu oporu, której nazwisko znalazłam w aktach wojskowych?

Utrzymywano nas w przekonaniu, że byliśmy polską rodziną, ale w trakcie naszych poszukiwań odkryliśmy ślady żydowskich korzeni. Czy Szymon, którego imię figuruje w naszym drzewie genealogicznym, jest ogniwem łączącym nas ze społecznością żydowską? To całkiem nowy rozdział rodzinnej opowieści, który z wielką radością poznamy.

Te osobne wątki życia naszej rodziny w Polsce zaczęły układać się w jeden splot dzięki temu, że tak wielu współczesnych Polaków wyciągnęło ku nam pomocną dłoń. W naszym odczuciu Polacy optymistycznie podchodzili do swojego nowego życia; to pracowici, silni i odporni ludzie, którzy przetrwali, mimo że XX wiek nie szczędził im trudów w postaci wojen i niedemokratycznych rządów. Nasi dziadkowie opuścili kraj, stając się częścią międzynarodowej diaspory, my zaś reprezentujemy ich dziedzictwo w Ameryce. Wyjechaliśmy z Polski z wieloma pytaniami, a jednocześnie pełni podziwu dla polskiej kultury, historii, krajobrazu i ludzi. Jesteśmy szczególnie wdzięczni Annie, która została naszą przyjaciółką na całe życie. Choć mieszka za oceanem, niezmiennie pozostaje w naszych sercach.

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

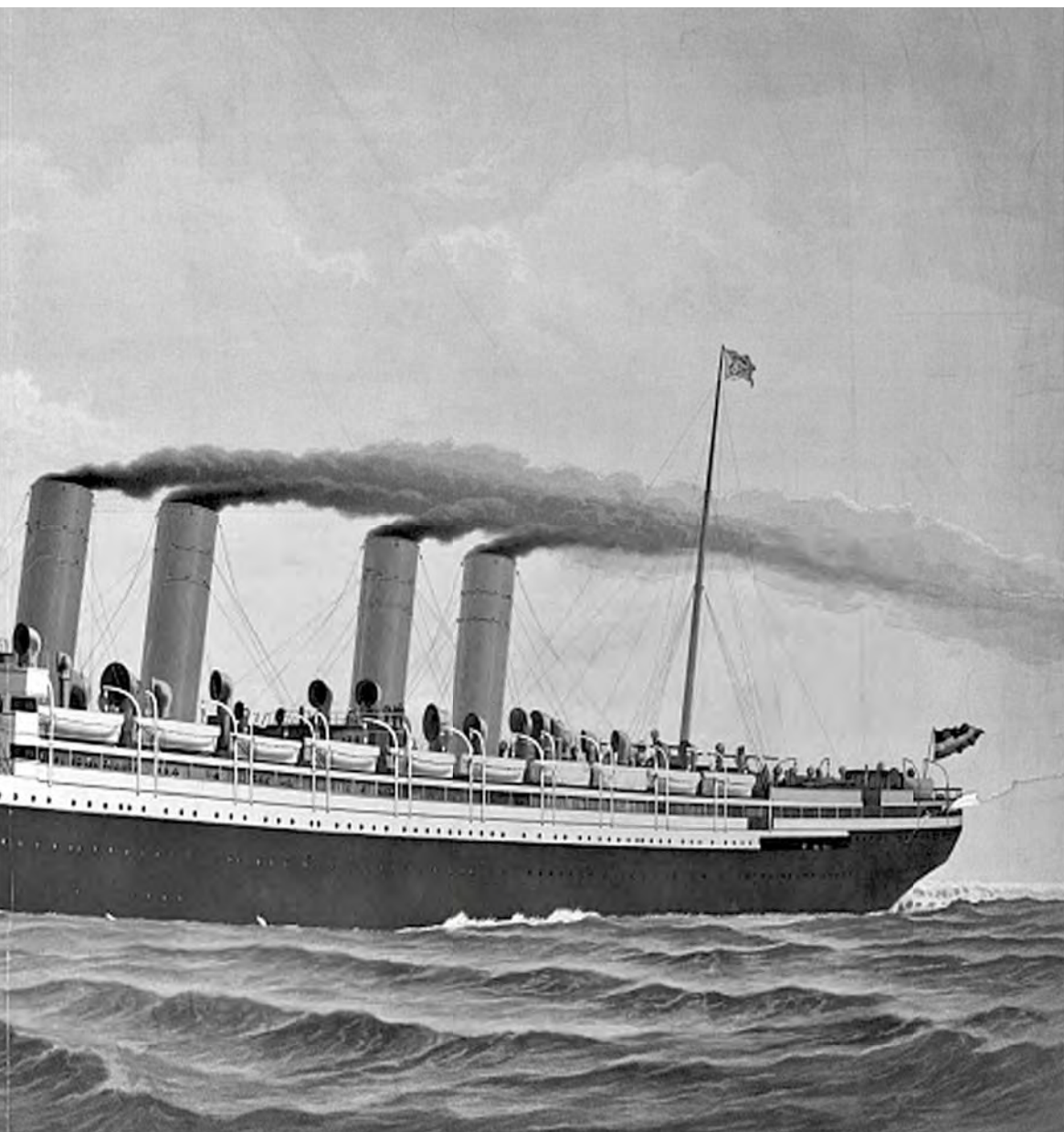
1  
3  
6





43

.....  
Transoceaniczny liniowiec  
Kronprinz Wilhelm  
armatora Norddeutscher Lloyd,  
1902



Utrzymywano  
nas w przekonaniu,  
że byliśmy  
polską rodziną,  
ale w trakcie  
naszych poszuki-  
wań odkryliśmy  
ślady żydowskich  
korzeni.

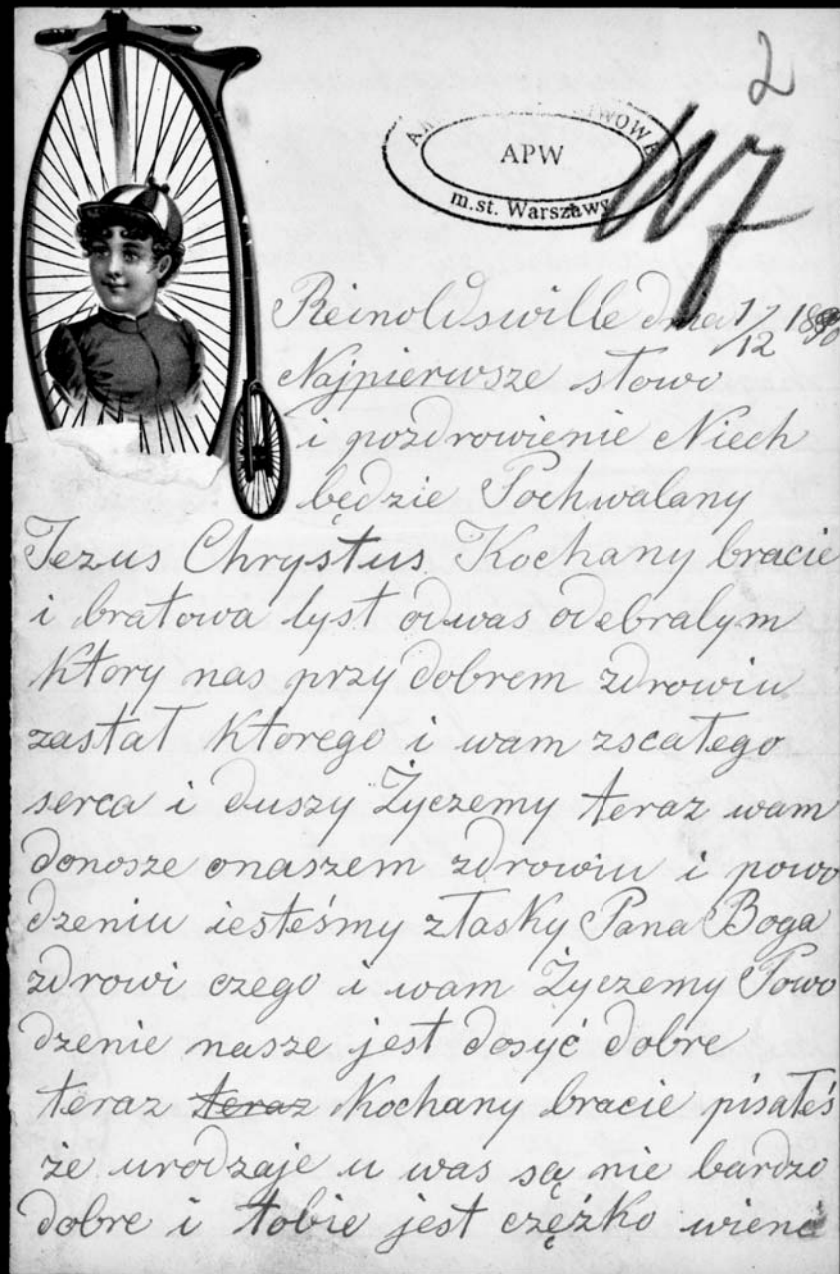
migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

1  
4  
0

\_\_\_\_ Listy









2

Buffalo, N. Y. Dnia 1.

Najpruż Kosanij <sup>Monca</sup> ~~rodzicil~~  
 wstąpię wprogi wasze i w  
 tom. wsi tomij Stowij N. Y.  
 P. Y. C. i ra narzom wom.  
 donoszę oswojem Wnawia  
 my ierdziejmy Wtoski Stoj-  
 wyszego Tona Boga prsy  
 Dobrem. Wdrowia krego.  
 i wam Wduszy sensa tice.  
 Tenor. wasz się chce najpżyte  
 i onaj w kraczkosi opisac.  
 a wy iatio ojciec: Matka





list 399

Mansfield dnia 17 Sute

Kochany Bracie

Przyj<sup>ę</sup> kartę wystawem  
dla Antosia na twoje jmie  
i on musi bardzo pilnować się  
tego żeby nie zapomnieć jak  
jego kto będzie się pytał  
o jmie to niech podaje w Karnde  
miejscu jmie Turep a swego  
imienia niech nie podaje bo by  
była temu durna proceroda  
Steras jak dostanie papieny  
ot Agentu to niech pisze doniego



list 469 A

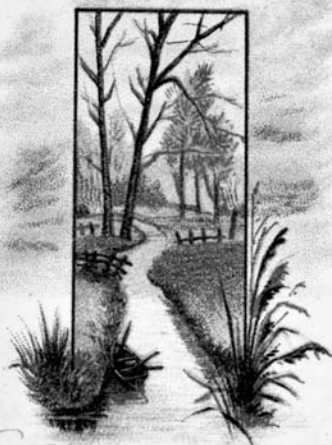
Chicago, Ills.  
 d. 9<sup>go</sup> Marca 91

List nie cytuj przynik  
 Najdrożsi! Najmilsi!  
 Dajcie mi Rodzice!

List odebrałem 27<sup>go</sup> Mar. 91.  
 Próbny goj psecy takim ro-  
 latem się leami se Rodzicy  
 takie będzie cierpieć, a ja  
 pamięć moją dopomóż, i chęć  
 tem wspaniałym odpisać lecz try  
 i boleść serca nieporwoliły  
 mi nawet myśli zrobić  
 do głowy, dziś raczą tem ten  
 list pisze lecz z rozpaczą  
 i żalności na Ignasia nie wie  
 sam co pisać.

Najdrożsi! Najmilsi!  
 Dajcie mi Rodzice!  
 List odebrałem 27<sup>go</sup> Mar. 91.  
 Próbny goj psecy takim ro-  
 latem się leami se Rodzicy  
 takie będzie cierpieć, a ja  
 pamięć moją dopomóż, i chęć  
 tem wspaniałym odpisać lecz try  
 i boleść serca nieporwoliły  
 mi nawet myśli zrobić  
 do głowy, dziś raczą tem ten  
 list pisze lecz z rozpaczą  
 i żalności na Ignasia nie wie  
 sam co pisać.

ARCHIWUM KANSTOWE  
 APW  
 m. st. Warszawy  
 1890  
 101 345  
 Szanowny Jezu i droga Ma  
 lcho list wasz odebrałam  
 pierszego Gruinia który mnie  
 zastal przyobrem wrociu  
 erogo wam takiego iycze Lera  
 wam powiem co robie dwia  
 tygodnie coia mnie niepuszla  
 i roboty a tera chowie id kwa  
 werki idstanie dwia i put idla  
 ra natyrien a tera idstane  
 wiency beie szyla uty kma  
 ekio boiego namidienia a pur  
 ni beie naswoiu wankie szy  
 la to idpiro wam wiency opi  
 sze tytko raprasam. Pietru  
 si id pumocy niech sie Pietru  
 sia nacaty rok niegarsi id  
 trubina co nawielkanoe ps  
 ysle i Szufkante iak mi  
 mi bug Najsrietory pozw  
 oli wrogi Jezuulku i Ma  
 tlenko nierbranajcie Pietru  
 trankwo



Pittsburgh dnia



Kochana

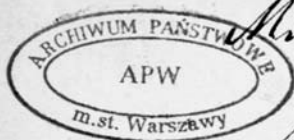
Stasiu

Słońce wschodzi zachodzi a mój list  
w drodze odchodzi jak rajdierz  
do swego pochwał Pana Boga  
jak rajdierz blisko proklamuje się  
mój stasiu niech będzie  
Pochwalony Jezu Chryste  
Kochana Stasiu Najsm  
głęboko oświadczam ci o moim miłom  
rodzinnym i przewodnim jaśm  
Boga jedynemu swemu cegom i toli  
od Pana Boga wycał Jezu Kochana  
Stasiu bardzo miło mi się spotkać boja





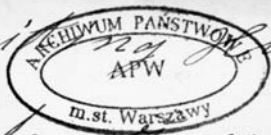




129 1  
Milosnie Dnia 19/ 1891

Kojnko kawsza Matko

Kaj przot was witaem temi  
stowi neoh bender prochna  
toni Jesus Christus. mozej  
Droga Kojkawa Matko ja zem  
do was jnsz raspijstereus sie  
nemoge doczekac waszego listu  
to ja newiem czy tem list do  
was nadoset albo teza so ta  
ki czas deca i ned przysujee  
mni. Kojkawa Matko ja zem  
jest Bogu Dzanki ktoro  
spoczaetki ja robiet u ziemie  
i dostatem na tuzen d' Inlaro  
a teres pro nowem roku ja  
sie nsiedzit i dostana na  
roki Amerikenskich 150 Dn  
teron a na ruskie to srobi  
300 Rubli i przu tim jesci  
mem wilit i sprawe i spawe



Bairollow 18/2/1891

Proszę cię naj bardziej  
 Kochano jako że dwa pa  
 piersy które tu masz wot  
 em lepsze ten większy jest  
 Suf kanta a ten mniejszy to  
 jest ticket na koleji znowie  
 wpa domne to jest do Bairollow  
 Hallowe te Suf kante to od  
 Hai w Hanburgu n tego a  
 cjeta n którego beżesz do sta  
 wiona a gdy przyjedziesz do  
 Hanburga i koleji inż Stare  
 na miesiąc to tam przyje na  
 cze link kolejowi to mu mo  
 resz pokazać te Suf kante a  
 on ci sam wda temu agentowi  
 do którego ta Suf kanta należy  
 a praitem tu jest drukowa  
 ne do polepsze iak się kto ma  
 Sprawować to Hai komu  
 mużnemu pzeccitai toci no  
 ystomaeri do bane a ten  
 maty papier to wes resolen

1  
5  
0

52  
 .....  
 Pierwsza karta listu Jana Cybulskiego z nieustalonego miejsca w usa  
 do Józefiny Cybulskiej,  
 Chalin, pow. Lipno, 18 II 1891

1  
5  
1



Antonieta przedkwas,  
Teraz sie swaagrze podtrawiam  
i was Kochana Swaagierko rekre-  
my wam Dobrego zdrowia i szczescia  
i wzajemnej pomyslności, A tobie  
Kochany Swaagrze rekremy  
szczesciwej podrozy, i prosze  
zebys przywiart z soba butelke  
Atraku tylko Dobrego i mata  
Flaszke anadynow, a prosimy  
sie zebyś nie zapomniat

Teraz szczesciwej podrozy  
recremy i wzajemujemy siebie  
jako wasi Swaagrowie  
Antoni i Marianna Kalinowscy

Adrese ci powytam osobno na  
papierze bo skoro wyladujemy  
to już na ta Adresa trafiva do nas  
skoro komu pokazesa

1  
5  
1



# Część 3.

# Report-

W poszukiwaniu  
pamięci migracyjnej

(O)dzyskiwanie  
pamięci  
migracyjnej

1  
5  
3

taż

NATALIA BLOCH

INSTYTUT ETNOLOGII I ANTROPOLOGII  
KULTUROWEJ UNIWERSYTETU  
IM. ADAMA MICKIEWICZA W POZNANIU  
CENTRUM BADAŃ MIGRACYJNYCH  
UNIWERSYTETU IM. ADAMA MICKIEWICZA  
W POZNANIU

## SPÓŹNIENI O 125 LAT LISTONOSZE.

### PAMIĘĆ O EMIGRANTACH W ICH RODZINNYCH WIOSKACH

Późną wiosną 2016 roku, w ramach badań terenowych zatytułowanych *(O)d)zyskiwanie pamięci migracyjnej*, wyruszyliśmy ze studentkami, studentami i doktorantkami z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu do wiosek pochodzenia emigrantów, którzy pod koniec XIX wieku wyjechali do Ameryk. Chcieliśmy spróbować odnaleźć potomków adresatów listów słanych zza oceanu, które zostały zatrzymane przez carską cenzurę. Zostaliśmy – jak to określił Włodzimierz Nowak – spóźnionymi o 125 lat listonoszami.

Postawiliśmy sobie kilka celów.

Po pierwsze, ustalenie, czy osoby noszące nazwiska adresatów listów wciąż żyją w tych wioskach i czy żyje w nich pamięć o emigrantach? Czy zamorskie migracje sprzed ponad wieku miały znaczący wpływ na losy krewnych? Czy podzielone rodziny kiedykolwiek się połączyły?

Po drugie, interesowało nas, czy w wioskach, z których tak wielu mieszkańców wyruszało za ocean, istnieje pamięć zbiorowa o tych emigracjach? Czy są one pamiętane, a jeśli tak, to w jaki sposób? Czy, przeciwnie, zostały zapomniane? Z tym wiązało się zagadnienie pamięci instytucjonalnej, czyli tego, na ile lokalne instytucje – muzea, izby pamięci, szkoły, kościoły, urzędy – upamiętniają masowe, zamorskie wyjazdy chłopów z ich regionu w początkach kształtowania się nowoczesnych migracji.

Po trzecie, chcieliśmy zebrać wszystkie inne historie migracyjne w regionie, żeby zobaczyć, czy emigracje za ocean były odosobnionym zjawiskiem, czy też wpisują się w szersze procesy mobilności.

Tak pomyślane badania etnograficzne były sporym wyzwaniem. Najpierw trzeba było skonstruować teren, czyli ustalić, do których wiosek udadzą się spóźnieni listonosze. Ocalone przez Witolda Kulę listy – te, których koperty się zachowały – były adresowane w większości do trzech powiatów w zachodniej części guberni płockiej: Rypina, Lipna i Golubia-Dobrzynia (ten ostatni był wówczas dwoma miasteczkami leżącymi na granicy oddzielającej zabory: Golub po stronie pruskiej, a Dobrzyń nad Drwęcą po stronie rosyjskiej). Listy miały trafić do adresatów w 63 miejscowościach. Antropolodzy nie lubią biegać po terenie, wolą posiedzieć dłużej w jednym miejscu, bo wtedy większa jest szansa, że historie same do nich przyjdą. Postanowiliśmy, po uprzednim zindeksowaniu i naniesieniu na mapę wszystkich miejscowości, wybrać te, do których był adresowany więcej niż jeden list, co – jak sądziliśmy – zwiększało szanse na sukces naszych poszukiwań. W rezultacie powstał wykaz 18 miejsc (Giżynek, Ugoszcz, Okonin, Julianowo, Obory, Wildno, Radomin, Płonko, Białkowo, Szafarnia, Bochoniec, Sokołowo, Chrostkowo, Dulsk, Działyń, Ciechanówek, Świętosław i Golub-Dobrzyń). Na temat każdej z tych miejscowości – jej historii i współczesności – przeprowadziliśmy kwerendę źródeł i opracowań.

W skład ekipy badawczej weszły – poza mną i towarzyszącym mi dr. Łukaszem Kaczmarkiem – 22 osoby. Podzieliliśmy się na trzy grupy, każda ulokowała się w innym powiecie. W terenie pracowaliśmy w parach, każdy taki dwuosobowy zespół otrzymał „przydział” jednej miejscowości, a w przypadku maleńkich wiosek położonych blisko siebie – dwie lub trzy. Ponadto opiekunki grup – doktorantki Agata Kochaniewicz i Aleksandra Turowska – pracowały samodzielnie. Każdego ranka studentki i studenci wsiadali na rowery i wyruszali – jak kiedyś wiejscy listonosze – z kopiami listów w plecakach do „swoich” wiosek. Po całodziennych poszukiwaniach spotykaliśmy się na wieczornych naradach, podczas których wymienialiśmy się doświadczeniami, informacjami i kontaktami, doradzaliśmy tym, którzy napotkali trudności, pocieszaliśmy sfrustrowanych. W każdej grupie był samochód, który czasem przydawał się do „ewakuacji” zbłąkanych listonoszy po zmroku czy podczas burzy.

Jak to zazwyczaj bywa w antropologii społeczno-kulturowej, teren weryfikuje wstępne założenia. Bardzo szybko okazało się, że nasza „mapa” wiosek musi ulec poszerzeniu. Mieszkańcy pytani o nazwiska z listów – nie tylko adresatów, ale też wszystkich tych, którzy byli wymieniani w treści, na przykład jako osoby pozdrawiane – często odsyłali nas do innych wiosek, a ci z innych wiosek do kolejnych. O ile zatem część badaczy miała to szczęście, że spędziła cały okres badań w jednej, przydzielonej im miejscowości, o tyle rekordziści odwiedzili na rowerach kilkanaście wsi.



54  
.....

[Sitno]

Irena Badzińska – Ciozia Bodzioszka –  
śpiewa piosenkę o Ameryce,  
do której w młodości tańczyła  
fokstrotą na wiejskich zabawach  
fot. Karolina Dziubata



55

.....

[Obory]  
Rok w Stanach pani  
Krystyny Świdorskiej  
fot. Jędrzej Lichota



56

.....

[Dulsk]

Pamiętki z Ameryki  
Marianny Więczkowskiej  
fot. Karolina Dziubata









migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci



1  
6  
2

58

[Ostrowite]  
Próba dochowania rodzinnej  
pamiętki państwa Waliszewskich  
fot. Zofia Lamprecht



59  
.....

[Dulsk]  
Poszukiwania adresatów  
listów na cmentarzach  
fot. Karolina Dziubata





60

Ilu antropologów potrzeba,  
aby nakarmić dziecko?  
fot. Jędrzej Lichota





61

.....  
Antropolodzy  
po pracy: Joanna Łopion po  
przejeździe rowerem 50 km  
fot. Jędrzej Lichota



62  
.....

[Giżynek]  
Kufel, w którym  
Franciszek Gulakowski,  
wracając z Ameryki,  
przywiózł cały swój dobytek  
fot. Dominika Szelązek

To było dla nas cenne doświadczenie, które pokazało, że pozornie niemobilni ludzie przemieszczają się intensywnie w obrębie własnego mikroświata, najczęściej po sieciach powinowactw.

Wiele osób zaangażowało się w nasze poszukiwania. Księża ogłaszali z ambon w trakcie niedzielnej mszy, że poszukujemy rodzin, które mają krewnych za oceanem (w jednym przypadku studentki zostały wręcz wciągnięte na ambonę, żeby same mogły przemówić). Bibliotekarka z Golubia-Dobrzynia szukała dla nas pomocnych dokumentów (stwierdziła, że koniecznie lekturę listów trzeba będzie zadać studentom Uniwersytetu Trzeciego Wieku w jej miejscowości). Zamek w Golubiu zrobił nam własnym sumptem plakat z wielkim hasłem „POSZUKIWANI” i amerykańską flagą z jednej oraz bochenkiem chleba z drugiej strony. Dyrektor Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej w Rypinie gościł grupę laboratoryjną, która pod kierownictwem dr. Zbigniewa Szmyta i Piotra Fabisia pojechała miesiąc przed naszymi badaniami na terenowy rekonesans do Rypina właśnie. Wójt gminy Brzuze pożyczał nam książki o lokalnej historii. Studenci byli wielokrotnie podwożeni, odwożeni i karmieni przez mieszkańców. Jesteśmy bardzo wdzięczni za okazane nam wsparcie.

Jakie wnioski można wyprowadzić z naszych poszukiwań? Po pierwsze, że pamięć zbiorowa o XIX-wiecznych emigracjach do Ameryk pozornie nie istnieje – mieszkańcy wioski pytani o nie, w ogóle nie postrzegali ich jako odrębnego zjawiska, które w jakiś znaczący sposób wpłynęło na losy ich społeczności. Najczęściej odpowiadali po prostu: „ja nic nie wiem”. Na szczęście studentki i studenci antropologii nie dają łatwo za wygraną i w toku rozmowy „o życiu” – pogodzie, polityce, cenach, sąsiadach – okazywało się, że osoby, które „nic nie wiedzą” o emigracjach do Ameryk, miały pradziadka, który razem z bratem wyjechał za ocean; albo prababcie, która pojechała do Stanów szukać męża zatrudnionego w hucie; albo że tam urodziła się ich mama! (rodzice urodzeni w USA byli często powracającym motywem); że ich dom jest zbudowany za dolary; albo że za dolary została kupiona ziemia; że w latach 70. odwiedzali ich krewni z Ameryki; że dostawali na komunię dolary, a po wsiach krążyły paczki z dobrami ze świata kapitalizmu. Pan Tomasz, którego mama przyszła na świat w Stanach Zjednoczonych – zagadnięty przypadkowo, bo jednego z badaczy zaintrygował jego dom – zapytany, dlaczego nie powiedział tego od razu, bo „przecież takich historii szukamy!”, odparł: „A bo ja coś słyszałem na mszy od księdza, że szukacie, ale nie pomyślałem o nas”. Po czym zaprosił studentów na kawę i długą opowieść, w którą zaangażowała się jego żona, której ciocia Jerry, kuzynka matki, też mieszka w Stanach.

Takich historii, znajdujących dosłownie przy płocie – przy okazji pytania o drogę czy kupowania mleka „prosto od krowy” – było mnóstwo. Jak napisała w dzienniku jedna z badaczek, Ewelina Nowakowska: „Zostajemy zasypani zdjęciami, listami i anegdotkami. Dla mnie to niesamowite, że tak naprawdę każdy tutaj ma krewnego w Ameryce”. Inny badacz, Piotr Zalewski, zanotował: „Ku naszemu zdziwieniu okazuje się, że wieś jest pełna osób, które kiedyś były w USA bądź których przodkowie nadal tam mieszkają”.

Przyznam, że liczyliśmy się raczej z odwrotnym scenariuszem: brakiem indywidualnych historii zatartych przez upływ czasu przy jednoczesnej ogólnej świadomości emigracji z końca XIX wieku. Tymczasem mobilność, kontynuowana w kolejnych okresach historycznych, o której dowiadaliśmy się z rodzinnych historii, była traktowana jako codzienna praktyka, rodzaj strategii radzenia sobie z niesprzyjającymi okolicznościami politycznymi czy ekonomicznymi (a najczęściej splotem jednych i drugich). Ludzie – bardziej lub mniej dobrowolnie – wyjeżdżali wciąż na początku XX wieku, w następstwie obu wojen światowych, po nastaniu rządów komunistycznych, w latach 70., gdy już była taka możliwość przy wykorzystaniu rodzinnych koneksji (we wniosku o paszport pisało się, że jedzie się, na przykład, na chrzciny), po upadku komunizmu, po wejściu do Unii Europejskiej i gdy – wskutek unijnych reform – zamknięto cukrownię we wsi Ostrowite. Młodzi jeżdżą dziś do Norwegii, Szwecji, Danii, Anglii i Holandii (mówią, że tylko na jakiś czas, a potem ani się obejrzą, a dziecięć lat zleciało), starsi sezonowo na ogórki, truskawki i szparagi do Niemiec, a winogrona do Francji (te drugie wyjazdy często organizują gminy).

Jednocześnie inni przyjeżdżali – z innych regionów i zaborów do pracy w cukrowni, Niemcy z Prus, bo ziemia tańsza, Niemcy z Besarabii przesiedleni tu z misją budowania III Rzeszy, Romowie przymusowo osiedleni przez władze komunistyczne, a współcześnie Ukraińcy do prac w rolnictwie i na budowach, bo Polacy zbierają jabłka i remontują domy na ich własnym „Zachodzie”. Jeszcze inni „znikali”, jak Żydzi, którzy do końca drugiej wojny światowej stanowili liczne społeczności tutejszych miasteczek. Ziemia dobrzyńska wręcz kipi historiami migracyjnymi.

Oczywiście indywidualne historie – zwłaszcza te sprzed grubo ponad wieku – są niespójne, porwane, zamazane, dużo w nich luk. Brakuje im chronologii, pradiadkowie nie mają imion, nazwy geograficzne się płaczą, nijak nie da się odtworzyć motywacji, które stały za poszczególnymi decyzjami o pozostaniu czy powrocie. Dlatego nawet w przypadku dostarczonych listów – w liczbie około dziesięciu – nie były to historie jak z amerykańskiego filmu. Odbiorcy najpierw musieli ustalić – często przy pomocy badaczy – czy ten „Kowalski” z adresu to „Kowalski” z ich

rodziny, a nie z „Kowalskich” ze wsi obok (– Jak miał na imię pradziadek?!). Kilkoro bezpośrednich adresatów znaleźliśmy na cmentarzach; jak napisali studenci na fanpejzdżu o naszych badaniach: „Martwi ludzie też opowiadają historie”. Ale nawet dotarcie do żyjących jeszcze osób, które osobiście znały emigrantów bądź adresatów listów z końca XIX wieku, nie gwarantowało powodzenia naszej misji. Jednym z wyzwiań było bronienie dostępu czy wręcz wyciszenie starszych członków rodziny przez młodsze pokolenia – a że „babcia to już nie pamięta”, że „jej się pokręciło”, że „nie ma co z nią gadać”. W niektórych przypadkach było to podyktowane troską o bezpieczeństwo osób starszych – badacze byli brani za świadków Jehowy, sprzedawców garnków i kołder bądź „wnuczków” naciągaczy, przed którymi przestrogi emitowano wówczas w telewizji. Czasem starsi ludzie sami internalizowali własne zmarginalizowanie i odsyłali do dzieci czy wnuków, „bo one wiedzą lepiej”.

Trudno nam też było dotrzeć do materialnych śladów amerykańskich emigracji. Pierwsze domy wybudowane za dolary przed ponad wiekiem kilkakrotnie przeszły już proces rozbudowy, upiększania i unowocześniania; listy przychodziły, ale – po zapoznaniu się z ich zawartością i wyjęciu ewentualnych dolarów – palono je w piecu; za uzbierane dolary kupowano kombajn albo ładę. Kontakt listowny z rodziną za oceanem urywał się najpóźniej w trzecim pokoleniu z prozaicznej, a zarazem zasadniczej przyczyny: nieznamomości języka polskiego przez wnuki emigrantów. Dłużej przychodziły paczki. O ile o samych emigracjach z końca XIX wieku nie mówi się wiele, o tyle temat „paczek z Ameryki”, które kilka razy do roku rozświetlały siermiężną rzeczywistość PRL-u, jest wszechobecny. Przedmioty wysyłane w paczkach – głównie ubrania i jedzenie (kakao, kawa, twixy, gumy do żucia) – pozwalały budować status społeczny (od razu było widać, kto ma wujka w Ameryce, koleżanki w szkole zazdrościły sweterka) i reperować domowy budżet (w czekoladach czy w kołnierzu kurtki przemycano dolary, odsprzedawano pończochy i futra). Listonosze w badanych przez nas wsiach byli wówczas co najmniej tak ważni, jak w miastach sprzedawczynie w mięsny (do dziś mówi się, że „listonosze macali paczki, co piąta dochodziła”).

Chętniej natomiast zachowywano zdjęcia, tych jest w rodzinnych albumach sporo (krewny na nowej kosiarce, kuzynka przy jaguarze – podobne zdjęcia, z tym że w eleganckich „miejskich” strojach, stali do rodzin chłopi z końca XIX wieku, żeby podkreślić osiągnięty awans społeczny). Jest jeszcze grząski temat spadków, które ponoć ktoś gdzieś na pewno dostawał (oto zapisana w dzienniku terenowym scenka żartowania ze studentów poszukujących mieszkańców wsi, którzy mają krewnych w USA: „Po chwili drogą przechodzi mężczyzna z wąsem.

Grażyna krzyczy żartobliwym tonem: – Jurek, a może ty masz rodzinę w Stanach?! Mężczyzna odpowiada: – Jeśli chodzi o spadek, to mam!). W latach 70. xx wieku, gdy już można było, przyjeżdżali ze Stanów 80-latkowie, żeby zobaczyć „jak Polska się zmieniła”. Te często jednorazowe wizyty są dobrze pamiętane. Czasem jednak kontakt trwa. Przed rokiem jedna z naszych rozmówczyń gościła jedenaścioro krewnych z USA. Osoby bardziej biegłe w nowych technologiach komunikacyjnych, podtrzymują kontakt przez Facebooka, nawet jeśli nie werbalny – gdy nie znają angielskiego – to wizualny, śledząc losy dalekich bliskich na umieszczonych tam fotografiach. Niektórzy mieli możliwość – najczęściej już po transformacji ustrojowej – zobaczyć Amerykę, do której wyjechał pradziadek sto lat wcześniej, na własne oczy.

Badaniami objęliśmy tylko wybrane wioski z trzech powiatów, do których były adresowane ocalałe listy. Garstka z tych zatrzymanych. Prawdopodobnie promil w porównaniu z tymi, które doszły. Ile jest takich wiosek we wszystkich byłych zaborach, w których można śledzić historie migracyjne? Gdy już po naszym powrocie z terenu, o projekcie napisała „Gazeta Pomorska”, rozdzwoniły się telefony od czytelników, którzy chcą odnaleźć swoich krewnych za oceanem. Nasze pytania i dociekania zainicjowały proces „przypominania”: ludzie sami zaczęli szukać zakopanych gdzieś w szufladach dokumentów i zdjęć, dzwonić do krewnych i wypytywać, sprawdzać daty i imiona. Studenci są w kontakcie z wieloma uczestnikami badań i często dostają informacje, że komuś udało się zidentyfikować pradziadka, że „ten z listu, to on!”. Nauczyciel historii z Węgierska, Piotr Wołyński – jedyny konsekwentnie pielęgnujący pamięć instytucjonalną o migracjach z regionu – co rusz podsyłał nam linki, skany, informacje. Śmiałyśmy się, że może i nie było pamięci zbiorowej o emigracjach z końca XIX wieku w badanych wioskach, gdy tam przyjechaliśmy, ale z pewnością wytworzy się ona po naszym wyjeździe. Może wtedy wójt gminy Brzuze dostanie środki na odrestaurowanie wielkiego kufra Franciszka Gulakowskiego, emigranta z przełomu wieków do Newark, który po 15 latach spędzonych w Stanach przywiózł w nim do kraju zgromadzony majątek?

W 13 poniższych reportażach opowiadamy o wynikach naszych badań. Otwierający zbiór reportaż, stylizowany na dziennik badacza, opowiada o nas w terenie: o drodze od „ja nic nie wiem”, czyli całkowitego zaćmienia, przez przelotne przejaśnienia, do „a moja mama urodziła się w Ameryce”. Michalina Januszewska odsłania w nim kulisy pracy etnograficznej, pozwala czytelnikowi wejść w nasze buty. Reportaż Alexandry Staniewskiej *Bose Antki* jest historią jednego z dostarczonych przez nas listów – do Arkadiusza Bieńkowskiego, wnuka Antoniego, do którego w roku 1890 pisał z Jersey City brat Stanisław.

To też opowieść o kolejnych stacjach migracyjnych, przez które przechodziły miliony Europejczyków w drodze do „ziemi obiecanej”. *Wszystkie stany emigracji* Katarzyny Schinkel to historie tych, którym się nie udało, którym z różnych powodów nie ziścił się amerykański sen, którzy zapadli na chorobę sierocą, brazylijską gorączkę czy wstrząs pourazowy. Piotr Zalewski z kolei snuje dwustuletnią historię migracyjną jednej rodziny, której kolejne pokolenia doświadczały coraz to nowych form mobilności, wędrując po całym świecie i w końcu wracając do wioski na ziemi dobrzyńskiej. Reportaż *Jak z filmu* Dominiki Szelażek to opowieść o miłości – oraz rozstaniu, tęsknocie i zdradzie – w czasach migracji. Agata Stasik w *Dworskich skrawkach* opowiada – poprzez dzieje trzech dworaków – o splątanych losach ziemian i chłopów, które stały się przyczyną masowych zamorskich emigracji pod koniec XIX wieku. Reportaż *To nie moja Ameryka* Eweliny Nowakowskiej jest natomiast historią migracji powrotnej ze Stanów Zjednoczonych do międzywojennej Polski. Dawid Barbarzak w reportażu *Polak, katolik, Amerykan* opowiada o złożonej – dziś powiedzielibyśmy hybrydowej – tożsamości emigrantów i ich dzieci, i dzieci ich dzieci. O domach, które powstały za zarobione na emigracji pieniądze, mówi reportaż Marcina Mielewcyka, a Joanna Łopion w tekście *Właśny kawałek Ameryki* mierzy się z mitem paczek słanych na polską wieś z Ameryki. Ostatnie trzy reportaże dotyczą tematu imigracji na badane przez nas tereny. Reportaż Zbigniewa Szmyta – napisany na podstawie badań w Rypinie – to opowieść o (nie)pamiętaniu tych, których już nie ma, a którzy kiedyś współtworzyli lokalną wielokulturowość: Rusinów, Niemców, Żydów. Zofia Kędziora z kolei pisze o śladach obecności w postaci mobilnych domów Niemców przesiedlonych na te tereny z Besarabii w czasie drugiej wojny światowej. Zbiór reportaży zamyka tekst Zofii Lamprecht o „sprawach przeważnie miejscowych”, czyli o ponad stuletniej historii cukrowni ze wsi Ostrowite. Jej budowa miała powstrzymać emigracje do uprzemysłowionych Prus, a przyciągnęła tzw. migrantów wewnętrznych z innych obszarów zaboru rosyjskiego i pruskiego, a wreszcie, po zamknięciu fabryki już po wejściu Polski do Unii Europejskiej, uruchomiła kolejne emigracje.

W reportażach wykorzystano materiały zgromadzone przez wszystkie badaczki i badaczy, czyli – poza osobami już wymienionymi i autorami tekstów – Annę Czerwińską, Karolinę Dziubatą, Jakuba Kapanuscha, Martę Kornowską, Urszulę Lengiewicz, Jędrzeja Lichotę, Martynę Michałowską i Franciszka Szulgita.

**Badania terenowe w wioskach pochodzenia emigrantów zostały sfinansowane ze środków na cele dydaktyczne Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz ze środków Centrum Badań Migracyjnych uAM.**

Migawki z badań zamieszczaliśmy na fanpejdżu projektu:  
<https://www.facebook.com/OdzyskiwaniePamieci/>



### Literatura

„Konteksty.  
Polska Sztuka Ludowa”,  
t. 57, nr 1–2 i 3–4:  
*Pamięć i zapomnienie*,  
2003.

Kudela-Świątek W.,  
*Odpamiętane...*  
*O historii mówionej  
na przykładzie narracji  
kazachstańskich  
Polaków o represjach  
na tle narodowościowym  
i religijnym*,  
Kraków: Universitas  
2013.

Kula M.,  
*Nośniki pamięci  
historycznej*,  
Warszawa:  
Wydawnictwo DiG  
2002.

Nowak J.,  
*Społeczne reguły  
pamiętania.  
Antropologia  
pamięci zbiorowej*,  
Kraków: Zakład  
Wydawniczy Nomos  
2011.

Piątkowski K.,  
*Mit – Historia – Pamięć.  
Kulturowe konteksty  
antropologii/etnologii*,  
Łódź: Dom Wydawniczy  
Księży Młyn 2011.

# Przejęciowe zaćmienie

→

s. → 1  
7  
4

MICHALINA  
JANUSZEWSKAPrzejściowe  
zaciemnienieUPAŁ I MGŁA

– Ja nic nie wiem! – słyszę kolejny raz, przy kolejnej furtce. Białe sztachety w płocie kolebią się na lekkim wietrze. Nad drzwiami kołyszą się doniczki z różowymi petuniami.

A miało być tak pięknie. Przed wyjazdem mówiono mi, że prawie z każdej rodziny w okolicy ktoś w XIX wieku wyjeżdżał do Ameryki. A tu kompletna susza informacyjna.

Żar leje się z nieba. Pot leje się z czoła. Ze słabnącą nadzieją na rozwianie mgły otulającej pamięć o migrantach pokonuję klekoczącym rowerem kolejną piaszczystą morenę.

Właściwie gdyby nie ten upał, byłoby tu całkiem ładnie. Po lewej pagórek porośnięty zbożem, za nim las. Po prawej rozrzucone w dość dużych odstępach domy. Dalej... Dla takiego widoku warto było pedałować kilkanaście kilometrów! Rozległa panorama, łagodne zielone wzgórza, gdzieś kępy drzew.

Aż trudno sobie wyobrazić, że komuś chciało się stąd wyjeżdżać.

CHŁODNY FRONT

– Dużo wyjeżdżało, dużo! – toczy się opowieść nad paczką kabanosów i sokiem porzeczkowym w chłodnej kuchni. – Jedni za chlebem, a inni, żeby nie iść do carskiego wojska. Na wiele lat. Więc uciekali tam, do Ameryki. Wtenczas była taka umowa z księdzem. Wypisywał człowiekowi akt zgonu, w księgach figurowało i już go nie szukali. Bo nie żył.

Zdecydowanie jednak opowieści o tych, co zostali, należą do ciekawszych. Kogo obchodzą losy jakichś dalekich krewnych, którzy ponad sto lat temu postanowili opuścić wieś? Nawet nie wiadomo, jak mieli na imię – ciotka z Ameryki to ciotka z Ameryki. Co innego Bolecki, szwagier ojca, ten to miał awanturnicze życie! – Służył gdzieś daleko na wschodzie – słyszę przy trzecim kabanosie. – Jak dostał urlop za dobre sprawowanie, to pół roku jechał do Polski! Wołami, wielbłędami, przez Morze Kaspijskie, często pieszo... Przyjechał, posiedział, więcej jak rok tego urlopu dostał.

– Tam chyba dalej niż do Ameryki było – wyrывa mi się.

– Ale do Ameryki nie szli pieszo!

Pieszko chodzili za to Żydówki w czasie wojny. – Taki był tamtej jesieni mróz, że jak wóz szedł przez rzekę, to już się lód nie zarywał. A oni prowadzili Żydówki, ci wachmani. Nie wiem ile, tak ze sto, sto pięćdziesiąt tych Żydówek tam szło. Jak która miała worek od cementu na siebie założony, to było wielkie co. A tak to nago. Szczuli psami, jak się która przewróciła.

Bywało jednak we wojnę i zabawnie. Zwłaszcza że we wsi co chwilę mieszkał kto inny. Największymi oryginałami byli chyba Niemcy przesiedleni w 1941 z Besarabii. – Najpierw mieszkał tu miejscowy Niemiec. Nic dziwnego, za rzeką był już zabór pruski. Potem ten Niemiec na wojnę poszedł i na jego miejsce Besarabowie z całą rodziną przyjechali. Była tam czwórka dzieci. To był taki naród... Oni się w ogóle na niczym nie znali. A całkiem – na gospodarce. Jak sieczkę różnili i sieczkarnia chodziła, to ten Besarab, wyobrazi sobie pani, uciekł z klepiska na sąsiek. Ze strachu!

Przy takich opowieściach *American dream* to pikuś.

LEKKIE PRZEJAŚNIENIA

– A ja się pani szczerze przyznam, że w Ameryce moja mama brata miała. To się tera przyznam – padają wreszcie upragnione słowa. Od godziny siedzę w ogródku starszych państwa. Przygląda się nam ogromny, puszysty kot. Nie za ciepło mu w tym futrze, w taki upał?

Tak nam przyjemnie, że nawet nie ma kiedy skoczyć do domu zaparzyć kawę. Przez rozmowę przewinęło się już pół polskiego rządu, Wałęsa i Gorbaczow. Jednak Ameryka wciąż nieodkryta.

A tu taka niespodzianka! Wytężam słuch, czekając na dalszy ciąg zaoceanicznej opowieści. Mam wielką nadzieję, że tym razem gęsta mgła niepamięci ustąpi.

– Jeno wiem, że mieszkał w Detroit – przejaśnienie niestety okazuje się przelotne. – To jeno pamiętam. Ale kiedy on wyjechał, w którym roku, to nigdy mamy nie pytałam.

Amerykańską rodzinę miał też mąż.

– Mojego ojca wujek był w Stanach. Wyjechał i nie wrócił. Chyba do Detroit – opowiada.

– Ale nie wiesz na pewno – strofuje go żona.

– Nazywał się tak jak i ja.

– Ale imienia nawet nie znasz!

– Tera to już nie wiadomo, gdzie oni są...

Gdzie się podziali amerykańscy krewni? Poszukiwania prowadzą mnie w coraz dziwniejsze miejsca.

– Nie, nie mam krewnych w Ameryce. Chociaż... Siostra mojego ojca była w Stanach. Kuzynka jeszcze umiała po polsku, ale młodsze pokolenie już nie – słyszę w zakładzie pogrzebowym.

– Rodzina w Stanach? Nie. Ale... druga żona mojego dziadka miała tam krewnych – zwierza się policjant na komisariacie.

– Nie, nie mam rodziny za oceanem – mówi właściciel sklepu elektromechanicznego, przechadzając się między kosiarkami. – Ale znajomy miał, mogę podać numer.

– No tak, mieliśmy krewnego w Ameryce. Dawno wyjechał. Tylko potem przeniósł się do Australii i słuch o nim zaginął – słyszę w sklepie papierniczym.

Coraz więcej opowieści, ale wciąż błędzę we mgle. Fakty się plączą. Daty znikają. Nazwiska umykają w popłochu. Dokumenty i listy przepadły dawno temu.

– Tak, moja teściowa urodziła się w Stanach. To było ze sto lat temu. Jej rodzice wyjechali. Potem wrócili, na gnojowej desce. Wie pani, na takim dolnym pokładzie statku, w brudzie i ciasnocie. Bali się, że po wojnie już się wrócić nie da.

Siwółosa pani w białej koszuli z fantazyjnym koronkowym kołnierzem, napotkana pod wiejską kaplicą, po każdym zdaniu robi krok w stronę domu. Ja krok za nią, z następnym pytaniem. – Przywieźli tyle dolarów, że był cały stół zasłany, całe szuflady pełne. Pobudowali za to dom w Zbójenku. Ale co ja tam wiem? Metryki poginęły...

Kłopotów nastroczają nawet te pamiątki, które ocalały.

– Te talerze przecież masz z Ameryki – synowa podpowiada starszej pani w eleganckiej sukni, ze sznurem pereł na szyi.

– I co z tego, że babcia kupiła i przywiozła?

– Ale z Ameryki! – wyrażam zachwyt zachęcający do wyjęcia zastawy w szafki. W końcu pamiątkowy talerz ląduje na stole, między placikiem z rabarbarem a oranżadą Boogie Woogie.

– A tu jest napisane... – odcyfrowuję z trudem napis na jego dnie – Tu jest napisane *made in Poland*? Czy mi się wydaje?

– Jo, jo, *made in Poland* pisze. A to nie wiadomo, czy z Ameryki.

#### OBERWANIE CHMURY

Z pewnością z Ameryki są za to zdjęcia. Na ich kopalnię – pełne pudełko po butach – i gawędziarską żyłę złota natrafiam w kolejnym miejscu. Lawiruję z rowerem po piachu między pomnikami, by dostać się do piwnicznego biura. Oprócz niskiej ławy i kilku krzesel w półmroku czają się liczne krzyże i tablice nagrobne.

– Jest rodzina w Ameryce, piątka ich z rodzeństwa teścia wyjechała – oznajmia z werwą właścicielka zakładu kamieniarskiego.

– Ja nawet mam ich zdjęcia! – dodaje mąż.

Ląduje przede mną pudło, z mgły wyłaniają się kolejni krewni.

To Konstanty, Józef i Janek – robili na kolei, w Baltimore. To Konstancja Romanowska, ich siostra. To Józia Celmerowa, kolejna z rodzeństwa. Ona pojechała pierwsza. Zabrała ze sobą pierzynę, Matkę Boską i dwójkę dzieci. Dojechała z trójką – przygarnęła sierotę, której matka nie przeżyła podróży. A tu Leosia, Cesia i Leon – ojciec kamieniarza. Zostali na gospodarce.

Dalej: amerykański omentarz i nagrobki zmarłych krewnych.

Daty urodzenia i śmierci, nazwiska. Dalej: zdjęcia żon, mężów, dzieci, wnuków. Amerykańskie domy. Polska część rodziny w Ameryce. Amerykańska w Polsce. Strasznie dużo tych informacji, ledwie nadążam.

To samo w kolejnej kuchni – w prawo przy pegeerze i pierwszy dom po prawej, daleko od krzyżówki. Siwy pan w koszulce z napisem *Pacific Coast* wyciąga z kredensu zdjęcia i list z Ameryki. Wyjechały tam trzy ciotki, córki dziadka Józefa. Kazia i Józia jeszcze przed pierwszą wojną. Tak im się tam spodobało, że w międzywojniu wrócili po najmłodszą Czesię, z chłopa Szczęsną.

Coraz więcej nitek w amerykańskim kłębku.

– Wie pani, kto mógłby wiedzieć więcej? Moja kuzynka Jola.

Ona jest bardziej z tej rodziny, co wyjechała. Dam pani numer.

Ona pracuje w sklepie chemicznym, łatwo trafić.

– Tak mi się teraz przypomina, że do Ameryki to wyjechała też ta Aśka ze sklepu. Pani pojedzie, jest taki dwurodzinny dom naprzeciw zakładu pogrzebowego. Tam będą jej krewni.

– Dam pani numer do mojej kuzynki Agnieszki, ona ma w Ameryce ciotkę Helenę, to więcej opowie.

– Na pewno więcej o tych wyjazdach do Stanów będzie wiedział ksiądz, co w Płocku pracuje. Jego matka mieszka, jak się jedzie koło pegeeru, przy kamieniu w lewo i prosto. W takim domu z płótem jak mój, stodoła jest naprzeciwko. Łatwo trafić. Warto, bo on wszystko wie.

#### PRZELOTNE BURZE

Ksiądz nie ma w domu, ale sporo wie też pan skrywający się przed upałem w cieniu rozłożystego dębu. – I chuj z taką Polską, za przeproszeniem – oznajmia uprzejmie. – To dziadostwo jest, ten nasz kraj, tak trzeba powiedzieć.

Pół jego rodziny siedzi w Skandynawii. A tam takie drogie ziemniaki! Ale zarabia się dobrze. Czasem wpadają na chwilę. Jak przyjeżdżają do Polski na urlop, to żyją jak królowie.

Na północy jest też syn właściciela puszystego kota: – Dzisiaj do Norwegii pojechał, do Gdańska go wnuczka zawiozła. Toż teraz to za chlebem jeżdżą. W tej Polsce nie ma nic, jeno złodziejstwo!

Ktoś inny ma siostrzenicę w Anglii. Zdolna dziewczyna, studiowała bankowość. Jej chłopak miał ojca za granicą. Jakoś tak wyszło, że wszyscy po kolei wyjechali.

A Ameryka? Przerzeklamowana! – Jak przychodziły te paczki z Ameryki, ciuchy takie te rzęchy, do czego to takie ciuchy? W Polsce to lepsze są niż te amerykańskie.

Stoję pod szkołą, rozmawiając z żoną jednego z migrantów. – Jak było, tak i jest – wzdycha. – Nic się nie zmienia. Za pracą trzeba wyjeżdżać.

Patrzemy na grające w piłkę dzieci. Ile z nich za parę lat wyjedzie do Danii, Norwegii, Anglii, tak jak ich prababki płynące do Ameryki z pierzyną i Matką Boską?

#### PROGNOZA NA PRZYSZŁOŚĆ

– Była pani w niedzielę u nas we wsi na mszy? – pyta miłośnik kabanosów.

– Byłam – wspominam maleńką kapliczkę i murek przykryty dywanem, na którym siedziałam.

- A bocian był?
- Stał tuż koło mnie!
- On stale przychodzi. Już tera trzeci rok. Jak w kaplicy ludzie

są, to on zawsze tam stoi. Też się modli. Do podziwowania.

Nigdzie takiego ni ma!

Takiemu to dobrze, pracować nie musi, to i za granicę nie leci. Ciekawe, czy wspominają go zimą inne bociany?

Na pewno bliskich zza oceanu wspominają ludzie. Często opowiadają, że póki żyła babka, ciotka, dziadek, wujek, to kontakt z amerykańskimi krewnymi kwitł. Wymieniano listy, paczki, zdjęcia nowych członków rodziny, domów, samochodów, kosiarek. Dopiero po śmierci tych, co wyjechali, okazywało się, że młodsze pokolenie często nie zna polskiego. A w Polsce mało kto znał wtedy angielski. Kontakt zamierał.

Teraz gdy wnuki uczą się języków od małego, niektórym marzy się odnalezienie amerykańskich krewnych.

– Proszę włączyć dyktafon – zarządza energicznie pani w zakładzie kamieniarskim.

W stronę urzędnika płynnie odezwa.

– Syn Leona, wraz z wnuczką Michałem umiejącym bardzo dobrze język angielski, poszukuje rodziny pochodzącej z Baltimore z Kropkowskich, z rodu o imieniu Celmer, następnie z rodu Romanowskich, z rodu Jana Kropkowskich, z rodu Józefa Kropkowskich i z rodu Konstantego Kropkowskich.

Zapada cisza.

– No i co ci z tego przyjdzie? – pyta z powątpiewaniem mąż.

– Nie wiem... Ale z tego książka będzie, wystawa w Poznaniu, to może się kto znajdzie?





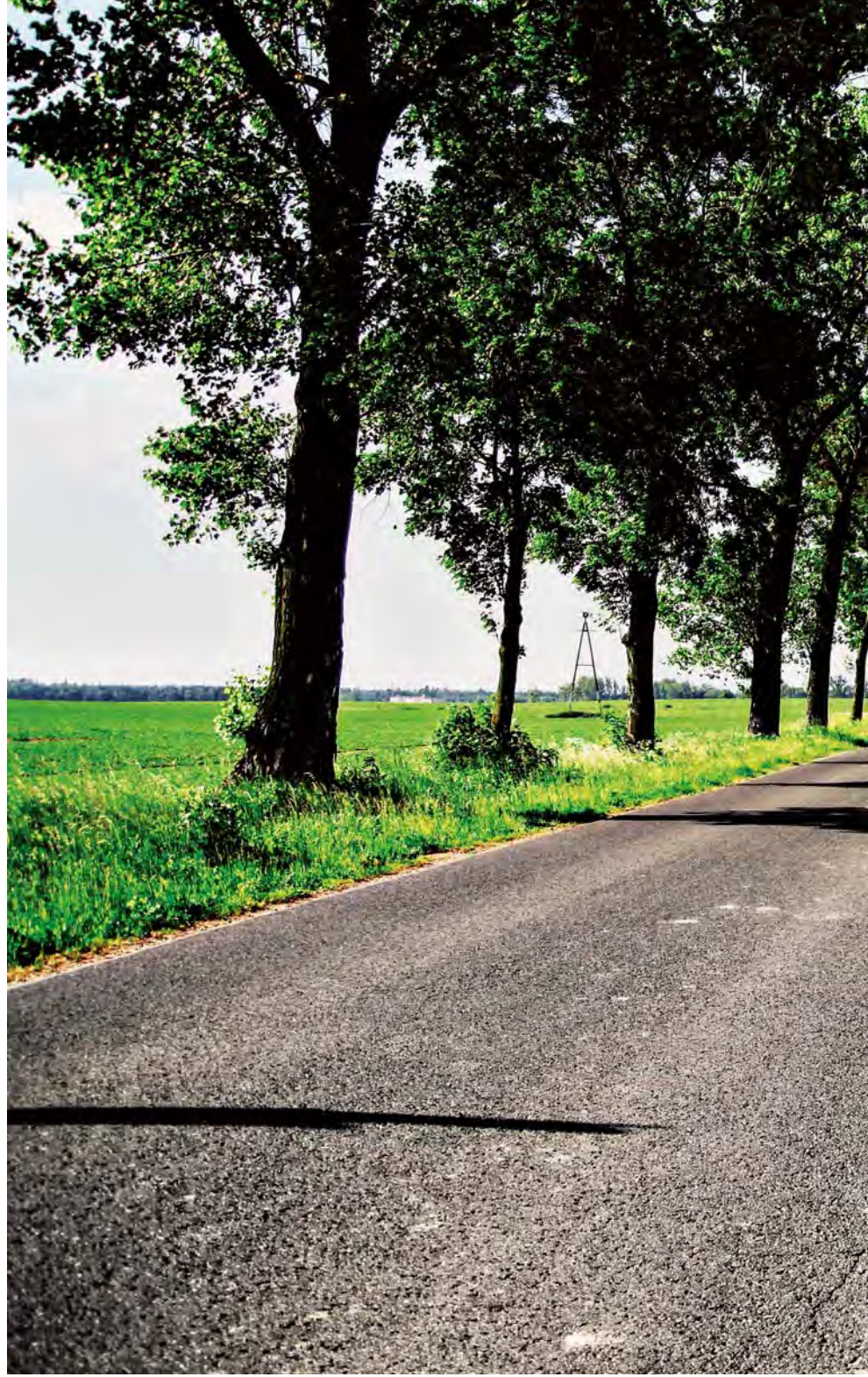
63

[Gizynek]  
Badaczki w terenie  
fot. Jędrzej Lichota

64

.....

W drodze  
fot. Zofia Kędziora







Sokotowo

~~Dulska~~





65

.....

[Dulsk]

Marianna Więzkowska z córką  
w rozmowie z badaczką  
fot. Karolina Dziubata



66  
.....

Bocian emigrant  
na tle kapliczki w Sokołowie  
fot. Zofia Kędziora



67

.....

[Dulsk]

„Zjedziecie w dół, na krzyżówce  
w prawo i drugi dom po prawej,  
ten otynkowany na biało...”

fot. Karolina Dziubata



# Bose Antki

s. → 1  
8  
8

→





Bose Antki

– Internet wszystko zdradzi – Arkadiusz wpatruje się z nadzieją w ekran monitora. Siedzimy, szukając informacji o jego dziadku Antonim. Popłynął do tych Stanów czy nie popłynął?

– A skąd my możemy to wiedzieć? – rzuca Danuta, żona Arkadiusza.

No więc siedzimy i szukamy dalej. Przed nami leży list napisany 3 grudnia 1890 roku. „Stanisław Binkowski z Jersey City, N. J. do Antoniego Binkowskiego, Okonin, pow. Rypin”.

CENTRUM  
WSZECHŚWIATA

Arkadiusz jest synem urodzonego w 1901 roku Józefa. I najstarszym żyjącym w dzisiejszym powiecie rypińskim Bieńkowskim. Ma siedemdziesiąt lat i nieskończone pokłady energii. Podobnie jego żona, dwa lata młodsza Danuta. Mieszkają w Kleszczynie, niedaleko Okonina, w którym żyli przodkowie Arkadiusza. Nie przenieśli się tam jednak bezpośrednio. Już dziadek Antoni zamienił rodzinne ziemie na Bąkowiznę. Wszystko w odległości nie więcej niż siedmiu kilometrów od Okonina.

Dom Arkadiusza stoi oddalony od głównej drogi. Ogrzewany kaflowym piecem, ma główną izbę połączoną z przechodnią kuchnią i jeden pokój sypialny. Toaleta jest na zewnątrz, obok budynku, który kiedyś służył pewnie jako gospodarski, a obecnie jest graciarnią. Pilnuje jej uwiązany do budy pies. Zaczyna szczekać, kiedy jest się w połowie drogi prowadzącej do domu.

MAŁY WĄSATY

Dziadka Antoniego Arkadiusz pamięta tylko ze zdjęć i opowieści. Urodził się już po jego śmierci. Wiadomo, że Antoni był nieduży i miał wąsy.

Przeglądamy listy pasażerskie sporządzane przez obsługę statków wiozących emigrantów do Ameryk. Znajdujemy Antoniego. Wiemy jednak, że wcześniej do Stanów popłynął jego brat Stanisław.

DŁUGIE RĘCE WŁADZY

„Uszanowany niech będzie dom, który pokolenie po pokoleniu służył nam za ozdobę i który w swym sędziwym wieku rozpoczął nową drogę. Nasz czcigodny Castle Garden stał się domem dla całej ludzkości, a także domem dla miasta, którego stał się bramą. Jego wielka sala jest miejscem, gdzie Europa może wypocząć przed dalszą drogą na Zachód” – relacjonuje otwarcie Castle Garden, pierwszej stacji imigracyjnej w historii Stanów Zjednoczonych, amerykańska gazeta.

Kiedy ze statku schodzi Stanisław, brat Antoniego, roześmiane dzieci puszczają papierowe statki w misie wysokiej fontanny. Stoi ona w miejscu sceny, na której niecałe pół wieku wcześniej swoją amerykańską trasę rozpoczynała szwedzka śpiewaczka operowa Jenny Lind. Pluskająca woda chłodzi nagrzane słońcem powietrze.

Kobiety robią na drutach, kroją chleb i ser, dzieląc je pomiędzy bliskich, a jeszcze inne cerują odzież zmęczoną podróżą. Na pierwszy rzut oka widać, że nie są członkiniami Yacht Clubu, ale za jakiś czas wtopią się w amerykański krajobraz. Teraz noszą obfite wełniane spódnice, z których co jakiś czas wyciągają dobrze ukryte monety, by wymienić je na jedzenie u stojącego na rogu chłopaka. Ten strój, pozostałość po Europie, wkrótce zamienią na nowy, bardziej nowoczesny, który nosi amerykańska klasa pracująca.

Stanisław jest w Stanach po raz pierwszy. Zapewne przyjechał z rodzeństwem albo znajomymi z tej samej wsi. Okonin, z którego pochodzi, znajduje się pod zaborem rosyjskim. Zmieni się to jeszcze za jego życia, ale 20 lat, które ma Stanisław, upłynęło w cieniu carskiej władzy.

Nie zostaje na stacji imigracyjnej długo. Nie wiemy, dokąd jedzie, ale dwa lata później, w 1890 roku, jest w Jersey City. Nie jest jedyny. Sporo tam ludzi z jego rodzinnej okolicy. Sam zresztą zdążył założyć rodzinę i mieszka z żoną Anastazją i dziećmi.

Zimą, na krótko przed świętami, pisze do rodziny. „Teraz donoszę tobie, że ja pieniądze wysłałem osiemdziesiąt rubli to jest dla ciebie sześćdziesiąt rubli, a dla Mamy to dwadzieścia, to jak odbieży to oddaj Momie

dwadzieścio”. Trudno powiedzieć, ile to na dzisiejsze, ale pod koniec XIX wieku za pięćdziesiąt rubli można było kupić konia. Stanisław na rodzinie nie oszczędza. Pracuje w fabryce. A może w kopalni? Tego nie wiemy. Pisze, że jeśli tylko trzeba, to przyśle i więcej. Oprócz pieniędzy wspomina też o szyfkarcie – przepustce do Ameryki dla brata.

Antoni nie otrzymuje jednak ani listu, ani pieniędzy, ani zapewnienia o wysłaniu biletu na statek. Wprawne oczy rosyjskiej cenzury wypatrzyły w treści zagrożenie – obietnicę lepszego życia, zbyt kuszącą, by składać ją na ręce chłopa z guberni płockiej.

#### MŁYŃSKIE KOŁO

W 1890 Antoni nie ma kontaktu z bratem. Nie oznacza to jednak, że nie będzie go miał już nigdy. Emigranci dość szybko orientują się, że listy są zatrzymywane i próbują stać korespondencję na stronę pruską. Nie wiadomo, czy w ten czy w inny sposób, ale Stanisław w końcu dostarcza bratu szyfkartę.

10 maja 1898 roku, mając 33 lata, Antoni wyrusza w podróż. Płynie z Antwerpii do Nowego Jorku brytyjskim żaglowcem Friesland. Ma za sobą długą drogę. Musiał dotrzeć spod Torunia do Belgii. Większość trasy przejechał zapewne pociągiem, a pozostałą część wozami i furgonami. Możliwe, że wiozł ze sobą pościel, o którą proszono go w liście. Nie byłby zresztą jedyny. Jego sąsiedzi wozili do Stanów pierzyny, bo na miejscu pierze drogie. Brali chustki, kapelusze i zwoje materiałów dla kobiet, ale też brzytwy, ręczniki, zegarki, noże, harmonijki, dewocjonalia i tabakę. Nie żeby ich nie było w Nowym Świecie. Na obczyźnie jednak tęskni się za swoim, lokalnym.

Na miesięczny rejs przez ocean Antoni zapakował wódkę i śledzie. Tak radzili ci, którzy podróż tę już odbyli. Płynie z Józefem Bojanowskim, Antoniną Klejnowską i jej jedenastoletnim synem Franciszkiem, Antonim Janiszewskim, Janem Sucheckim i Józefą Szychulską. Wszyscy znają się z okolicy, mieszkali w sąsiednich wsiach. Może bawili się razem w dzieciństwie. Są w podobnym wieku, koło trzydziestki. Antonina szyfkartę dostała pewnie od męża, do którego dołączy wraz z synem.

Schodząc na ląd, nie zobaczą już pękających murów Castle Garden i tętniącej życiem fontanny. Ich pierwszy kontakt z Ameryką będzie inny niż Stanisława. Nie zobaczą też Ellis Island, drugiej bramy do Nowego Świata. Jej drewniane budynki doszczętnie spłonęły w czerwcu 1897 roku, zaledwie pięć i pół roku po otwarciu i rok przed przybyciem Antoniego.

Ich statek cumuje w Battery Harbor, nieopodal Castle Garden. Schodzą na ląd przez budynek z szarego kamienia. Jego zwieńczeniem

jest wieża, na której powiewa amerykańska flaga. Barge Office to jednak tylko tymczasowe rozwiązanie imigracyjne. Nowe Ellis Island jest już w budowie.

Tłumy ludzi wylewają się z dolnego pokładu statku. Wśród pracowników mówi się o nim *steerage*. To tam płyną wszyscy ci, których nie stać na prywatną kabinę. Ich jest zawsze najwięcej. Posiadają niewiele ponad to, co mają na grzbiecie, ale w ich oczach widać nadzieję. Zapomnieli już o niewygodach podróży. Ameryka daje im szansę na wolność i bogactwo, o którym nieraz słyszeli w swoich wioskach. Najpierw jednak mężczyźni i kobiety z uczeponymi ich spódnic dziećmi, osoba po osobie, trafiają w ręce urzędników imigracyjnych. Wielki młyn amerykańskiej biurokracji zaczyna powoli trawić nowo przybyłych. Ich pierwszą lekcją w Stanach jest oczekiwanie.

Inspektorzy wprawnie lustrują tłum, wyławiając tych, którzy dla Ameryki się nie nadają. Głównie chorych fizycznie i psychicznie. Nowo przybyli znajdują się pod ciągłym ostrzałem pytań. Kto? Gdzie? Do kogo? Po co? Część z nich zda test. Część nie. Ci drudzy wrócą tam, skąd przybyli, na koszt linii okrętowej, którą przyptłynęli. Amerykanie mają swoje sposoby na oddzielenie ziarna od plew. Jednym z nich jest *buttonhook*. Pierwotnie wykorzystywany do zapinania guzików, teraz służy do podwijania powiek. Pod powiekami szuka się objawów prowadzącej do ślepoty jaglicy. To ona jest głównym powodem deportacji pod koniec XIX i na początku XX wieku. Należy do klasy A chorób przywożonych przez imigrantów. W klasie tej znajdują się najgroźniejsze choroby zakaźne, których wstęp do Ziemi Obiecanej jest wysoce niepożądany.

Kiedy Antoni, Józef, Antonina, Franciszek, Jan, Józefa i drugi Antoni przechodzą przez amerykańskie wrota, towarzyszą im Włosi. Gdyby spędzić w Barge Office kilka dni, wydawać by się mogło, że we Włoszech nie został już nikt, tak dużo przypływa ich każdego dnia. Biorą udział w wyścigu o amerykańskie dolary i ostatnimi laty zdają się wygrywać.

W specjalnych pomieszczeniach, w parku obok Barge Office, czekają rodziny, przyjaciele, a czasem nieznajomi, mający odebrać zagubionych w nowej rzeczywistości imigrantów. Wszędzie słychać gwar i radość ze spotkań. Ludzie z tobołami i walizkami wkraczają na wyczerkaną ziemię. W tym czasie ci zatrzymani czekają dalej. Ich głównym zajęciem jest teraz spanie i jedzenie, które umila im czas przed rejsem powrotnym.

Antoniego Stany wpuszczają. Nie zostaje w nich jednak długo. W 1901 jest z powrotem w guberni płockiej. Jego żona, Aniela, rodzi mu kolejnego syna – Józefa. Józef do Ameryki nigdy nie pojedzie.

Pojedzie tam jednak jego brat Stasiek, starszy od niego o sześć lat. Stasiek otrzymał imię po dziadku i wuju. Będzie więc drugim Stanisławem Bieńkowskim, który postawi nogę na amerykańskiej ziemi.

#### SAME BOSE ANTKI

W rodzinie Bieńkowskich imiona lubią się powtarzać. Na sześćdziesiąt siedem osób spokrewnionych lub spowinowaconych z Bieńkowskimi jest dwóch Andrzejów, dwie Aniele, dwie Anny, dwóch Piotrów, dwóch Władysławów, cztery Marianny, trzech Janów, trzech Józefów, czterech Antonich i sześciu Stanisławów.

– Same bose Antki – śmieje się Arkadiusz.

Bose Antki to termin, jakim określano mieszkańców zaboru rosyjskiego. Jeździli oni do Torunia, znajdującego się w pobliskim zaborze pruskim, kupować buty. Przepisy celne nie pozwalały jednak na zakup więcej niż jednej pary. Ludzie przechodzili więc granicę boso, by drugie z zakupionych butów móc przemyścić na nogach.

#### WOLNOŚĆ I KLUCZ

Piętnaście lat po pierwszej wizycie Antoni wraca do nowojorskiej zatoki. Przypląwa z osiemnastoletnim synem Staśkiem. Nie kieruje się jednak do Jersey, jak za pierwszym razem, ale do Cleveland, prawie tysiąc trzyset kilometrów dalej. Tym razem nie jedzie do brata, ale do syna Stefana i jego żony Marianny. Stefan jest jedenaście lat starszy od Staśka i osiedlił się w Stanach już wcześniej.

Wypływają z Hamburga niemieckim parowcem. Nazywa się tak, jak cel ich podróży – Cleveland. Jednak zanim dotrą na miejsce, czeka ich kontrola na Ellis Island.

Gdy wpływają do zatoki, ich oczom ukazuje się monumentalna statua. Ona także przypląnęła ze Starego Kontynentu, jako prezent od Francuzów. Symbolizuje amerykańską rewolucję i wolność wywalczoną od Brytyjczyków. Jest fizyczną emanacją niepodległości Stanów Zjednoczonych. Antoni już ją widział, ale Stasiek ogląda ją po raz pierwszy. Liberty ma dwadzieścia siedem lat i pewnie nie jest jeszcze tak zaśnieżona jak dzisiaj, ale zielony odcień patyny zaczyna się już pojawiać na jej miedzianej skórze. Stoi na straży nowojorskiej zatoki, w której mieści się „wyspa klucz” do amerykańskiego rajdu.

Rytuał przejścia przez wrota nie zmienił się wiele. Imigrantów nadal poddaje się obserwacji pod kątem chorób psychicznych i fizycznych. Antoniemu i Staśkowi odesłanie do domu jednak nie grozi.

WOLNA POLSKA

W Cleveland zastaje ich pierwsza wojna światowa, która wybucha w Europie. Antoni wróci dopiero po jej zakończeniu. Wyjeżdżał z Imperium Rosyjskiego, wraca do Polski. Stasiak prawdopodobnie nie wróci już nigdy.

NOWE ŻYCIE, STARA ŚMIERĆ

Rok po przybyciu Antoniego i Staśka, Marianna, nazywana na miejscu Mary, zachodzi w ciążę. Jej owocem jest pierwszy syn Stefana, Stephen. Później będą mieli jeszcze jednego, Harry'ego. Przeżyje i ojca, i brata, który utonie w jeziorze w 1945 roku. Stefan umrze szesnaście lat po Stephenie. Pochowany na St. Mary's Cemetery w Cleveland, na nagrobku dostanie nowe imię: Steve. Rok wcześniej, w 1960, na tym samym cmentarzu spocznie Stanisław, brat Antoniego i wuj Stefana, który siedemdziesiąt lat przed śmiercią posyłał rodzinie pieniądze. Dożył rekordowego w rodzinie wieku dziewięćdziesięciu trzech lat.

KONIEC PODRÓŻY

Rozpoczęte w internecie poszukiwania kończymy na cmentarzu. Arkadiusz pakuje nas w środku nocy do samochodu i wiezie pokazać nagrobek swojego dziadka, Antoniego. Sam go zresztą postawił, w miejsce starego, zniszczonego. „Zmarł 13 VI 1935 roku”. Spóźniliśmy się o osiemdziesiąt jeden lat.

PACZKI WUJA SAMA

Jeszcze dwadzieścia lat po śmierci Antoniego do Polski przychodziły paczki od rodziny w Stanach. – Urwało się, jak miałem jakieś sześć lat – mówi Arkadiusz.

W paczkach były głównie ubrania, ale raz przyszła książka, *Sąd Boży*, pięknie wydana. Arkadiusz ubolewa, że komuś ją pożyczył i już nigdy nie wróciła. Nie może też odżałować pierwszorzędnej czerwonej kurtki. Poszedł w niej do sąsiadów, gdzie rozerwał ją ich pies.

KIERUNEK: EUROPA

Łatwo nie było i nie jest, bo za robotą wyjeżdżał też Arkadiusz. Nie obrał jednak kierunku Stany, jak większość jego rodziny.

Raz pojechał z cyrkiem do Szwecji, robić światło i elektrykę. Pojechałby i drugi raz, ale słabo płacili. Dużo lepiej było w Niemczech, na gospodarstwie. Tam był kilka razy. Do „Czikago” nigdy go nie ciągnęło.

### LEKKA NIESTRAWNOŚĆ

Arkadiusz siedzi przy stole i przetrawia wszystko to, co znaleźliśmy. W końcu odzywa się.

– Wódkę to chyba brali, żeby te śledzie przepalić.



migracyjnej  
(Od)zyskiwanie  
pamięci



1  
9  
6

69

.....  
Stacja imigracyjna Ellis Island,  
1918





70

.....  
Statua Wolności  
i stacja imigracyjna  
na Ellis Island,  
1910

W reportażu wykorzystano książkę *Wyspa klucz* Małgorzaty Szejnert (Kraków: Wydawnictwo Znak 2009) oraz fragmenty listu ze zbioru *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891*, oprac. i wstęp W. Kula, N. Assorodobraj-Kula, M. Kula (Warszawa: Biblioteka Iberyjska 2012).

Pomocą posłużyły również materiały dostępne na stronach internetowych:  
<http://www.theshipslist.com/pictures/castle-garden1855.shtml>; <http://libertyellisfoundation.org>;  
<http://www.castlegarden.org>; [http://members.tripod.com/~l\\_alfano/bargeoff.htm](http://members.tripod.com/~l_alfano/bargeoff.htm);  
<http://www.mygenealogyhound.com/genealogy-articles/ellis-island-castle-garden-bergo-office-immigration-history.htm>; <http://www.history.com/topics/ellis-island>.;  
<http://www.findagrave.com>.

# Wszystkie stany emigracji

→

s. → 1  
9  
8

Wszystkie  
stany emigracji

SCHINKEL  
KATARZYNA

– I żeby tu teraz człowiek musiał się w tych luksusach mordować – marudzi ze szklanego ekranu Kazimierz Pawlak. To on wspólnie z Władysławem Kargulem od końca lat siedemdziesiątych pokazywał nam Amerykę. Pawlaka Ameryka zadziwia, raz po raz czyni znak krzyża, kiedy nie może zrozumieć dziwnych zachowań tubylców. Jak jego brat Jaśko mógł tyle lat tam wytrzymać? Pewnie tak, jak wszyscy inni, którzy stwierdzili, że jak już harować, to lepiej za dolary. Historia Jaśka stała się wzorem, który chciały powieścić tysiące Polaków: wyjeżdżam, ciężko pracuję i wracam pobudować dom. Nie wszystkim jednak ziszczała się *American dream*.

Dziadkom Kazimiery i Mirosława Ameryka dała w kość. Chociaż tych dwoje nie mieszka w jednej wsi i znają się tylko z widzenia, mieliby o czym rozmawiać.

CHOROBA SIEROCA

0

0

– Ładna, drobniutka kobitka, oczy jak węgle miała – opowiada Kazimiera o swojej babce. Ze starej fotografii spogląda kobieta w eleganckim upięciu z kruczoczarnych włosów. Modne w tych czasach były fryzury na tzw. baranie rogi. Ewa Kowalska była już wtedy mężatką. Szczęśliwą żoną wójta, z najlepszą pasieką w okolicy i dwunastoma hektarami ziemi. A jeszcze parę lat wcześniej nigdzie nie mogła zagrześć miejsca. Nigdzie nie była u siebie.

Gdy Ewa ma lat sześć, zostaje zarejestrowana w urzędzie jako córka Marianny i Tomasza Jarosławskich. Imienia swojej prawdziwej matki nigdy nie poznaje. Mało komu wspomina, że urodziła się daleko stąd. Pamięta niewiele, ale wszystkie historie przekazuje swoim córkom. O tym, jak ojciec z bratem wyjechali do Brazylii, aby uciec przed wojskiem i zarobić pieniądze. O ciężkiej pracy ojca na plantacji trzciny cukrowej, a wreszcie o powrocie w rodzinne strony.

BRAZYLIJSKA GORĄCZKA

Tomasz Jarosławski do Ameryki Południowej przyżytywa około roku 1890, wraz z największą falą brazylijskiej gorączki. Kraj serdecznie zaprasza tych, co pracy się nie boją. Dwa lata wcześniej zniesiono niewolnictwo, a plantacja kawy czy trzciny cukrowej sama się nie obrobi. Jednak marzeniem polskiego chłopca jest gospodarzyć na swoim. A większą szansę na otrzymanie kawałka ziemi ma on w południowych stanach Brazylii niż w rodzinnym powiecie. Chociaż chętniej przyjmuje się małżeństwa, to i dla Jarosławskiego znajdzie się miejsce. Byle szybko założył rodzinę. Szuka żony gospodarnej, dzięki której stworzy wymarzony dom. Nikt nie chce mieszkać w tymczasowych barakach przygotowanych dla nowo przybyłych. W końcu żeni się z Brazylijką o polskich korzeniach. To po niej Ewa odziedziczy urodę, a także pasję do szycia.

Brazylia w listach emigrantów jawi się mniej przychylnie niż Stany Zjednoczone. Rodziny z Detroit ślą do ojczyzny zdjęcia swoich pociech przystępujących do pierwszej komunii, te z Santa Catarina częściej informują o pogrzebie. Zwykle odchodzą dzieci, ale w rodzinie Jarosławskich pada na matkę. Umiera, gdy Ewa ma trzy lata. Tomasz próbuje pogodzić pracę z wychowaniem córki. Po dwóch latach kapituluje. Czas wracać do kraju. Jego cały majątek to maszyna do szycia, której niegdyś używała żona.

Nikt z załogi statku nie wie, że przemycają pięcioletnią dziewczynkę. W tamtych czasach często podróżuje się na tzw. drobinowcach.

Statki, oprócz przewożonych towarów, mogą zabrać do dwunastu pasażerów. Warunki są tu dużo surowsze niż na okrętach pasażerskich, ale liczy się cena. Dziecko nie ma żadnych dokumentów. Jarosławski chce stworzyć wszystkie metryki dopiero po powrocie. Po Brazylii nie ma pozostać żaden ślad, nawet w papierach. Ewa po latach będzie opowiadać, jak musiała się kryć za workami z towarem. Ojciec wieczorami przynosił jej część własnej racji żywieniowej. Dobrze, że była drobna i jadła jak ptaszek.

#### CHOROBA DWUBIEGUNOWA

Statystycznie wszystko się zgadza. Z Polski wyjechało dwóch Jarosławskich i wraca także dwoje. Z tą różnicą, że starszy brat Tomasza gdzieś zaginął, a w zamian pojawiła się córka. Dziadek Ewy tym bardziej czuje, że rodzina musi się trzymać razem. Jako bednarz we dworze otrzymał dwie izby w folwarku. Mieszka w nich razem z najmłodszym synem i synową. Postanawia przyjąć Tomasza z córką, dopóki nie znajdą własnego kąta. Po paru latach Ewa przeprowadza się na Pomorze, gdzie ojciec zamieszkał ze swoją drugą żoną. Nigdy nie powie do niej „mamo”. Nigdy nie zbuduje z nią bliższej więzi. Może dlatego, że szybko powróci w rodzinne strony, aby pomóc stryjence przy dzieciach. Jak inni członkowie rodziny musi wykonywać też drobne prace dla dziedzica. Początkowo pasie gęsi, ale właścicielka dworu uznaje, że ma dla niej ciekawsze zajęcie. Chce uczynić Ewę swoją pokojówką. Niepisaną umowę ma przypieczętować stara suknia, którą dziedziczka wręcza nowej pracownicy. W złym guście byłoby nosić drugi sezon ten sam krój. Ewie to nie przeszkadza, bez trudu dokona niezbędnych poprawek dzięki maszynie, która przepłynęła wraz z nią ocean. Suknia długo nie czeka w szafie na dobrą okazję. Zbliżają się dożynki, na które zaproszono także służbę.

#### KOCHLIWOŚĆ

– Dziadek Kowalski, jak zobaczył Ewoję we dworze, to się w niej od razu zakochał – opowiada z dumą Kazimiera.

Kowalski, mimo że wnuk kucharki, nie był byle jaką partią. Dzięki opiece zaradnych siostr Foksińskich, chociaż sam nie był w Ameryce, mógł z niej czerpać pełnymi garściami. Jego babka miała rodzinę w Stanach i wraz z siostrą pieczołowicie składowały wszystkie przysyłane dolary. Cent do centa odkładały na kupkę, aż w końcu bardziej pokaźne sumy wymieniały na złoto. Na początku zadbano, aby Kowalski otrzymał odpowiednie wykształcenie. Później babki Foksińskie odkupiły

dla niego 12 hektarów pola od dziedzica. Dla takiego kawalera potrzebna była odpowiednia żona.

Kazimiera jednym tchem wylicza zarzuty stawiane Ewie:

– Nie dość, że niegospodarska córka, to jeszcze starsza, bez wykształcenia, bez zawodu. Może gdyby Jarosławski został w tej Brazylii, gdyby zbił fortunę, babki Foksińskie byłyby bardziej przychylnie? Tymczasem uznają to za fanaberię wnuka, bo „Władus kobitki lubiał”. Ten jednak był uparty. – On tę Ewcię bardzo kochał, całe życie się nią chwalił. Jak był wójtem, to miał biurko i na nim takie szkło. A pod tym szkłem zdjęcia babki i żony Ewci – wspomina Kazimiera.

#### NAGŁA ŚMIERĆ ŁÓŻECZKOWA

Przez trzy lata Stanisław Kostka Stokowski ukrywa się w lesie. Potem ślad po dziadku Kazimierze urywa się. Ludzie gadali, że zaaresztowali go, ale uciekł. Dziwi tylko, że nie skontaktował się z rodziną. Zostawił przecież żonę i małe dzieci. Stanisława Stokowska jest pewna, że mąż nie żyje. Cierpi, ale nie będzie go szukać. Nie on pierwszy i nie ostatni. Wielu niechętnych carskiej polityce przepadło bez wieści w drugiej dekadzie xx wieku. Poza tym trzeba się zająć piątką małych dzieci. Stanisława nie umie czytać ani pisać, więc ciężko jej znaleźć pracę. Służy u państwa w Sokołowie jako kucharka. Gdy dziedzic Łempicki, wracając z polowania, zatrzymuje się we wsi na posiłek, tak smakują mu dania Stanisławy, że postanawia zatrudnić ją u siebie.

Chociaż życie rodziny staje się pewniejsze, to nie jest łatwiej. Praca ciężka i nie ma czasu dla dzieci. Do wieku nastoletniego dożywa tylko dwójka. Teściowie, wraz ze zniknięciem syna, zrywają kontakt z synową. Wiodą spokojne, dostatnie życie, nie potrzeba im problemów. Nigdy nie podobało im się to małżeństwo. Jak wykształcony chłopak mógł wziąć sobie za żonę córkę kościelnego?

#### NIEPAMIĘĆ

Ojciec Kazimierze w ogóle nie pamięta swojego ojca. Pamięta jednak listy, które w pewnym momencie zaczęły przychodzić do domu. Jego matka dużo płakała, patrząc na koperty. Wiedziała tylko od posłańca, że listy są od męża z Ameryki. Sama nic odczytać nie umiała. W złości niszczyła wszystkie. Stanisław odżył, ale dalej był nieosiągalny. Jeszcze bardziej niż za czasów ziemianki pod lasem.

– Tatusz chciał się czegoś dowiedzieć, pytał, prosił matkę. Ale ona milczała, całe życie nic o tym nie mówiła, tylko płakała – wspomina

Kazimiera. Stanisława otworzyła się dopiero przy swoich wnuczkach. Nie powracała do tematu Ameryki, listy już dawno zostały spalone. Mówiła tylko o tym, jak została sama w ciąży. Płakała, nawet gdy minęło trzydzieści lat. Rodzina Kazimieri jest pewna, że Stanisław nie mógł wrócić. Że uciekł i bardzo tęsknił. Potwierdzać ma to spadek, który po sobie pozostawił.

#### NOSTALGIA

Informacja o spadku, aby dotrzeć do adresatów, musiała pokonać nie tylko ocean. Konieczne było odnalezienie rodziny, która przeprowadzała się ze wsi do wsi. Tam, gdzie była potrzebna kucharka dla dziedzica, tam zjawiała się Stanisława. O całej historii jako pierwszy dowiedział się Łempicki, oferując pomoc. Sprawa nie była prosta. Należało wybrać się do stolicy na spotkanie z prawnikami. Dziedzic spadł rodzinie z nieba, nawet jeżeli chciał uszczknąć dla siebie jakiś procent. Decyzję o tym, kto pojedzie, miał podjąć dorosły już syn Stanisława, Włodzimierz. Znał Łempickiego równie dobrze jak matka, ponieważ służył w jego dworze jako pisarz. Zdecydował, że pojedzie sam. Nikt nie wie do dziś, co nim kierowało. Może była to troska, że jako jedyny piśmienny w rodzinie sam powinien zadbać o jej przyszłość. Może pycha, że poradzi sobie bez pomocy osób postronnych. A może strach, że dziedzic potraktuje spadek jako łakomy kąsek. Nie jest to istotne. Ważne, że Włodzimierz wrócił do domu tylko z niewielkim procentem sumy. Nikt już nawet nie pamięta, w jaki sposób tłumaczył się matce.

– Babcia do śmierci wypominała, że jakbyśmy wzięli dziedzicową pomoc, to moglibyśmy być dzisiaj bogaci – wspomina Kazimiera. Tak jak ojciec, nie rozpacza jednak za spadkiem, a za utratą dziadka. Do dzisiaj nie wie, w jakim mieście jest pochowany, gdzie żył i dlaczego umarł tak młodo. Bardzo jej żal tych listów, bo sama postąpiłaby inaczej. – Ja to jestem taki śmieciuch, wszystko zbieram, każdy wycinek z gazety, żeby później wspominać.

#### WYCIĘCZENIE

Mirosław nigdy nie uważał się za specja od Ameryki, a jednak zna historię, którymi mógłby obdzielić pół wsi. Chociaż nie był w żadnym z krajów, w którym kawał życia spędzili jego przodkowie, to łatwiej zrozumieć mu tych, którzy teraz wyjeżdżają.

– Bida była, bida jest – kwituje.

Z pudełka po czekoladkach wyciąga zdjęcia.

Siostra matki, ta, co z Nowego Jorku słała penicylinę, jej dzieci. Rodzice na emigracji we Francji.

– Tylko szkoda, że jakoś nie ma zdjęcia dziadka – wzdycha.

A nie był to byle kto. Dziadek Wiśniewski był w Ameryce aż trzy razy. Za każdym razem myślał, że w końcu namówi do przyjazdu żonę. Mogliby zacząć od nowa. W Nowym Jorku. Dla Wiśniewskiej strzeliste wieżowce Nowego Świata przegrywały jednak w przedbiegach z kościelną wieżą w jej rodzinnym Dulsku. Z każdą podróżą męża stawiała ten sam warunek. Może się przeprowadzić, ale codziennie musi słyszeć bicie dulskich dzwonów. Dźwięk jednak nie był aż tak donośny, żeby pokonać Atlantyck.

– Moja babcia była taką starowsiową kobietą. Gdzie ona by na drugi koniec świata jechała, jak rodzina od wieków w tej jednej wsi mieszkała? – śmieje się Mirosław.

Cóż miał zrobić więc Wiśniewski, skoro bardziej od niego i pieniędzy jego żona kochała Dulsk? Chociaż nie dorównywał małżonce w zawziętości, też był nieustępliwy. Mimo że w dwóch pierwszych podróżach trafił na zastój gospodarczy, postanowił, że się w Ameryce dorobi. Do Nowego Jorku przybył w 1920 roku, jeszcze przed wielkim kryzysem. Jednak sytuacja imigrantów nie była najlepsza. Już wtedy trudno było znaleźć pracę, a nawet ciepły kąt na nocleg. Dopiero trzecia podróż okazała się strzałem w dziesiątkę. Wiśniewski znalazł pracę w fabryce amunicji. Wojna z Japonią stworzyła popyt na broń, a także na mężczyzn, którzy mogliby ją wytwarzać. W fabrykach wśród lokalnych pracowników przeważały kobiety, tym chętniej przyjmowano silnych mężczyzn. Liczono, że będą oni bardziej wytrzymali na trudne warunki, ale równie często dopadało ich wycieńczenie. Wiśniewski podupadł na zdrowiu, chociaż był przyzwyczajony do ciężkiej pracy. Ciągłe powtarzał, że nigdy nic nie dostał za darmo.

#### CHOROBA MORSKA

– Dziadek statkiem Batorym do Ameryki płynął. A na statku kartofle skrobał, żeby zapracować na swoją podróż – śmieje się Mirosław. Chociaż nigdy nie poznał dziadka, zna wszystkie anegdotki o nim. Jak tę, gdy na środku oceanu w statku powstała dziura. Wiedziela o niej tylko załoga. Wszyscy od kapitana po kucharza zegnali się z życiem. Tymczasem udało się uszczelnić felerne miejsce i szczęśliwie dopłynąć do portu. Tego dnia Wiśniewski wykorzystał już chyba całą pulę szczęścia, jaką przygotowało mu życie. Powrócił do małżonki w Dulsku i postanowił szukać idealnej inwestycji na ulokowanie pieniędzy.

Nad wszystkim czuwała oczywiście Wiśniewska. Przypominała mężowi znany już warunek. Ktoś rzucił informację, że można kupić majątek



koło Kowalewa. Potrzebna była szybka decyzja, chętnych było wielu. Wiśniewska bez żalu zrezygnowała z Nowego Jorku, to i nad Kowalem nie rozpaczła. Nadal czuła, że do Dulaska będzie za daleko. Zainwestować mogli też w fabrykę w Golubiu, gdzie tłoczono oleje. Tym razem ktoś inny ich ubiegł. W kraju w zatrważającym tempie postępowała dewaluacja i każdy jak najszybciej chciał ulokować pieniądze w grunty. Mirosław stara się to wyjaśnić na przykładzie: – Dzisiaj mogła pani kupić konia, za trzy dni już tylko kozę, a za tydzień pudełko zapatek.

W końcu udało się Wiśniewskiemu nabyć ziemię, na której dziś mieszka jego wnuk. Tyle że nieurodzajna była, a więc mniej warta niż majątek w Kowalewie czy fabryka w Golubiu. Niewiele już decyzji Wiśniewscy podjęli razem. On dożył jedynie 52 lat. Ona, wierna polskiej ziemi, mogła słuchać dulskich dzwonów przez kolejne 30 lat.

#### ŁYSIENIE

Chociaż córka Wiśniewskich, Cecylia, osiadła na stałe w Nowym Jorku, to jej siostra lepszego życia postanowiła szukać w Europie. Rodzice Mirosława na początku lat 30. XX wieku wyjechali na sześć lat do Francji. Jak wszyscy w tamtych czasach – do pracy w kopalni.

Jego rodzice byli podobnie podzieleni jak dziadkowie. Jedno nie chciało wracać, drugie tęskniło za Polską. Tym razem na emigracji chciała pozostać matka. Ojciec nie umiał się przystosować. Mimo iż potrafił pisać i czytać, to wolniej opanowywał język niż jego niepiśmienna żona. Raz nawet, gdy chciał kupić śrubkę do roweru, tak przekręcił słowa, że zasugerował żonie fabrykanta romans. Na szczęście Francuz nie odebrał tego źle. Zdążył już polubić Polaka. Ten jednak nigdy szczególną miłością do Francuzów nie pałał.

Zieliński długo w kopalni nie popracował. Uszczerbek na zdrowiu był widoczny gołym okiem. Po paru miesiącach z bujnej czupryny nie pozostał nawet włos. Postanowił zmienić pracę. Udało mu się zostać listonoszem. Nadal jednak słabo znał język. Ten w kopalni nie był mu potrzebny. Zielińska za to szybko nauczyła się francuskiego. Może dzięki nowym przyjaźniom z pracodawcami, u których sprzątała i zajmowała się dziećmi. Tylko szkoda jej było męża, że coraz chudszy i bardziej markotny.

#### PRZERZUTY

Stosunek do emigrantów zmienił się wraz z nastaniem kryzysu we Francji. Każda posada była na wagę złota, tym gorzej, gdy zabierali ją obcy. Francuzi postanowili pozbyć się Zielińskiego.

Wszyscy wiedzieli, że francuskiego nie zna. Nie mógł się zorientować, że wiezie gazety zachęcające do jednoczenia się w komuny. Rząd za wszelką cenę starał się przeciwdziałać takim akcjom. A nasłany policjant już czekał, by udaremnić spisek. Później historia potoczyła się już szybko. – Z mety zatrzymany, nawet gazet nie dowiózł do reszty, zaraz do pracodawcy, dyscyplinarka – kwituje Mirosław.

Zieliński nie tylko musiał odwieść czapkę listonosza, ale i wyprowadzić się z miasteczka. Postanowili z żoną przenieść się na południe kraju. Mniej srogi klimat nie wpłynął jednak na złagodzenie usposobienia Francuzów. Trzeba było wracać do Polski.

#### WSTRZĄS POURAZOWY

Zieliński, będąc we Francji, starał się wspierać rodzinę. Z czasem ściągnął do siebie siostrę, Stefanię. Nic jej w Polsce nie trzymało, kawalera nie miała, pracy również. W nowym kraju szybko się odnalazła. Fakt, że pojawił się też francuski narzeczony, świadczył, że osiadzie tam chyba na stałe. Tym bardziej że znalazła dobrą pracę, która jednak zmusiła ją do zamieszkania w innym miasteczku niż brat z bratową. Nie przejmowała się tym, bo zawsze, gdy miała parę dni wolnych, odwiedzała rodzinę. Tak też zrobiła w święta Bożego Narodzenia.

Był to dzień przed Wigilią roku 1933. Francuskie koleje spodziewały się przeładowania pociągów, dlatego wyznaczyły dodatkowe kursy. Jednym z nich był ten wybrany przez Stefanię. Pogoda bardziej przypominała jesień niż zimę. Mgła utrudniała podróż, ostatecznie doprowadzając do katastrofy. Stefania nigdy nie dojechała do Paryża. Zabrakło 25 kilometrów.

Oprócz niej zginęły jeszcze 203 osoby. Rząd francuski chciał wspomóc rodziny ofiar. Napisał do Polski z pytaniem, czy przetransportować ciało do kraju. Ojciec zmarłej nie zgodził się. Chciał, żeby jego córka wróciła żywa, a nie w trumnie.





72

.....

Złoty pierścionek –  
prezent od sióstr Foksińskich  
dla Kazimierzy. Siostry wymieniały  
otrzymane dolary na złoto.  
Archiwum Kazimierzy Chmielewskiej  
fot. Katarzyna Schinkel

73

.....

[Płonne]  
Ewa Kowalska (ur. w Brazylii)  
ze swoją rodziną w Polsce.  
Archiwum Kazimierzy Chmielewskiej  
fot. Katarzyna Schinkel







74

Portret pani Wiśniewskiej,  
jedyna pamiątka z rodzinnego domu  
w Dulsku. Archiwum Mirosława Zielińskiego  
fot. Katarzyna Schinkel



75  
.....

Stefania Zielińska,  
zmarła w katastrofie kolejowej  
pod Paryżem w 1933 roku.  
Archiwum Mirosława Zielińskiego  
fot. Katarzyna Schinkel

## Rodzina wędrująca

→

s. → 2  
1  
2



PIOTR  
ZALEMSKIRodzina  
wędrującaPRAPRAPRADIADKOWIE:

FRANCJA

Michał przystawia lufę swojego ulubionego pistoletu do skroni. Jest rok 1850. Wszyscy wiedzą, że jest bankrutem. Kłosowski vel Kłosiński, bo tak nazywano go po powrocie z wojny, zasłużony na frontach we Francji, od dłuższego czasu znany jest głównie z całonocnych balów i polowań w swojej posiadłości. Zgromadził spory majątek pod Kikołem. Gospodarstwo, dom i pieniądze nie przejdą jednak w ręce jego żony i najstarszego syna Jana, ale wierzycieli, których przybyło podczas gier i zakładów. Mówią o nim, że bawił się i tańczył do samej śmierci.

PRAPRADIADKOWIE:

BRAZYLIA, ARGENTYNA

Jan postanawia zacząć od nowa, by zapomnieć o samobójczej śmierci ojca. Wraz z żoną Pauliną liczą na szybki zarobek. W okolicy mówi się o możliwości znalezienia pracy za oceanem, ciężkiej, ale za dobre pieniądze. Choć ich Stasiu ma dopiero cztery lata, wyruszają w wielotygodniową podróż. Najpierw muszą przedostać się przez granicę do zaboru pruskiego, potem dotrzeć pociągiem do portu w Antwerpii, skąd statki do Ameryki Południowej płyną ponad miesiąc. Na pokładzie panują choroby, wiele osób umiera, inni wychodzą na ląd wyniszczeni.

Przestrzegano ich przed zabieraniem dzieci, które często nie docierały żywe do Nowego Świata. Przycumowanie do portu w Rio de Janeiro oznacza kolejną morderczą podróż statkiem na południe kraju, a później wozami zaprzęgniętymi w woły przez bezkresne lasy. Cała podróż do Rio Grande do Sul trwa aż dwa miesiące.

Na miejscu zachwyca ich przyroda. W listach do domu piszą, że kwiaty najdroższe w Europie rosną tam jak chwasty, a ziemia rodzi kapusty tak wielkie, że nie sposób ich unieść w pojedynkę. Jak każdy, dostają ziemię pod uprawę i budowę domu. W 1891 roku Jan podejmuje pracę przy wycince lasu. Szkoda mu pięknych drzew, jakich nigdy wcześniej nie widział. Wkrótce, przy pomocy współpracowników, stawia dla rodziny dom na wysokich palach. Stasiu będzie wspominał na starość, że życie dziecka w Brazylii nie było łatwe. Z małpami złodziejkami musiał walczyć o placki, które piekła mu mama. Prawdziwie nieznośny jest jednak upał i wilgotne powietrze, które doskwierają i tak chorej na tarczycę Paulinie.

Nie chcąc rezygnować z możliwości, jakie daje Ameryka, po dwóch latach przenoszą się do Argentyny, gdzie klimat jest łagodniejszy. Tam Jan dorabia się dużych pieniędzy, wycinając cedr brazylijski, który nazywa „cudownym drzewem”. Egzotyczne drewno, ładowane na statki, w Europie osiąga niebotyczne ceny.

W Argentynie rodzi się Stefan i Józia, która potem będzie znana jako „ciocia z Buenos Aires”. Rodzice cały czas powtarzają dzieciom, że ich emigracja jest tymczasowa. W końcu wracają do Polski. Za zgromadzone pieniądze kupują ziemię i posiadłość, stać ich nawet na służbę. Dziś stary, opuszczony dom przesłaniają gęste drzewa.

#### PRADZIADKOWIE:

#### USA

Dorosły już Stasiu ma problemy ze znalezieniem pracy. Zaczyna rozważać emigrację. Teraz popularne jest zarobkowanie w USA. Jako siedemnastolatek ponownie płynie przez ocean, tym razem do Nowego Jorku. Po zejściu z pokładu czeka go procedura imigracyjna. Urzędnik pyta skąd, gdzie i po co jedzie. Pieczętka, podpis, jest wolny. Pozostaje przedrzeć się przez zatłoczony Manhattan, a potem na drugą stronę rzeki Hudson do New Jersey.

W rafinerii szukają ludzi do pracy. W przemyśle jest ciężko, ale nie może narzekać na zarobki. Wkrótce jednak przychodzi posłaniec z kopertą z zaboru rosyjskiego. List wzywa do służby w armii. Stasiu zobowiązany dokumentami, które podpisał przed wyjazdem, boi się odmówić władzy carskiej. Wsiada na statek do Polski. Zostaje wysłany na wschód.

Po dwóch latach udaje mu się szczęśliwie wrócić do domu, gdzie poznaje Rozalię Lisicką. Mieszkająca niedaleko dziewczyna przypada mu do gustu od samego początku. Ich pierwsze dziecko rodzi się krótko po ślubie, nadają mu imię po dziadku – Janek. Jednak Stasiu, zniechęcony brakiem pracy w Rypinie, decyduje się ponownie udać za ocean, by dokończyć swój plan. Namawia żonę, by została z synem w Polsce. Ona godzi się pod warunkiem jego szybkiego powrotu. Brat Stefan pyta, czy dla niego też znajdzie się praca. Wyjeżdżają razem.

Transatlantyk Giessen, z braćmi pod pokładem, wpływa do Zatoki Nowojorskiej 22 maja 1914 roku. Szybko podejmują pracę, nie zdążą jednak odłożyć wiele. Niespełna dwa miesiące później wybuch pierwsza wojna światowa. Przemysł ciężki staje się opłacalny, ale praca w armii jeszcze bardziej. Stasiu zaciąga się do wojska i trafia na front europejski. Traktuje to jak najzwyczajszą pracę. Ma rację. Zarobek w amerykańskiej armii okazuje się sowity. Ponadto weteranom przysługuje dożywotnia emerytura, która w Polsce stanie się jeszcze bardziej wartościowa. Co więcej, Stasiu z racji swoich zasług otrzymuje amerykańskie obywatelstwo, a ponieważ w dokumentach imigracyjnych wykazał posiadanie syna, niczego nieświadomy Janek również staje się Amerykaninem.

Po wojnie bracia wracają do kraju już na stałe. Na Stasia czeka żona i syn. W Polsce urodzi im się jeszcze czworo dzieci: Józio, Tadzio, Ania i Ela. Ojciec deponuje przywiezione dolary w banku i coraz częściej udziela pożyczek na weksle wielu znaczącym ludziom w okolicy. Żona często narzeka, że dłużników jest zbyt wielu, a pożyczone pieniądze nie wracają do rodzinnej kiesy. Jednym z największych wierzycieli Stasia jest jego przyjaciel, dziedzic pobliskiego majątku. 28 czerwca 1936 roku Stasiu wraz z dziećmi wchodzi do lasu leżącego na terenie posiadłości dziedzica. Zarządca bierze ich za intruzów. Przegania dzieci i, choć postraszyć mężczyznę, celuje w jego stronę. Chwilę później pada strzał. Stasiu kończy swoją podróż w wieku 49 lat.

#### DZIADKOWIE:

#### NIEMCY

Rodzina jeszcze nie poradziła sobie ze stratą męża i ojca, gdy zastaje ją druga wojna światowa. Ania ma zaledwie 13 lat. W 1941 roku w wiosce robi się bardzo niebezpiecznie. Słyszą od sąsiadów, że na okoliczne tereny przesiedlani są Besarabowie. Ponad 93 tysiące Niemców z Besarabii ma znaleźć nowy dom na obszarze rozrastającej się III Rzeszy. Wszystkie większe gospodarstwa zaczynają być wysiedlane. Rozalia pakuje dobytek, czuje, że wkrótce ktoś po nich przyjdzie. Ich 15-hektarowe gospodarstwo

jest zadbane. Następnej nocy pukają do drzwi. Każą zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Przewożą do Radomina, dalej koleją do Torunia i do szmalcówki w Potulicach. Tam rodziny są wystawiane na podłużnym placu. Wszyscy dostają tabliczki z adresem na szyję i prowadzeni są do kolejnego pociągu.

Skład z wycieńczonymi pasażerami zatrzymuje się w Luneburgu koło Hamburga. Stamtąd kobiety kierowane są do obozu pracy. Józef zostaje wysłany w dalszą podróż do Calais we Francji, gdzie najsilniejsi mają budować bunkry. Tadeusz trafia do stoczni w Holandii. Kiedy zaś Niemcy orientują się, że trzeci syn, Jan, nie dość, że ma amerykańskie obywatelstwo, to jeszcze walczył w polskim wojsku, kierują go do obozu koncentracyjnego w Dachau. Besarab, który zajął ich dom, znalazł ukryty w stodole mundur i broń.

Rozalia umiera w 1943 roku w obozie. Annie jest żal, że mama musi być pochowana w Niemczech. Dwa lata później Bergen-Belsen staje się przystankiem na trasie oświęcimskiego marszu śmierci. Naziści, słysząc o zbliżającej się Armii Czerwonej, zarządzają ewakuację Auschwitz. Wyprowadzeni więźniowie kierowani są na zachód. Piesza kolumna na każdym przystanku trasy pozostawia po sobie ciała tych, którzy nie dali rady. Po dotarciu do Wodzisławia Śląskiego więźniowie ładowani są do wagonów. Jeden z pociągów zostaje omyłkowo zbombardowany przez aliantów, w czasie kiedy Anna znajduje się w pobliżu na robotach.

– Widziałam uciekających do lasu więźniów, którzy kopali tam nory, by przeczekać do oswobodzenia. Nie było ani jednego, który by miał zęby, tylko szramy. Straszny widok. Pracując na pobliskich polach, rzuca im chleb i ziemniaki, by mogli przetrwać.

Kiedy w 1945 Anglicy wyzwalamy obóz, panuje chaos. – Wszyscy się gubili, było tam z 30 tysięcy ludzi, którzy nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Dlatego alianci tworzą obóz przejściowy w Bergen-Belsen, byłym obozie koncentracyjnym. Anna wspomina: – Anglicy jeździli tymi swoimi jeepami, ale punkt piąta, choćby się waliło, zatrzymywali się, wyciągali stoliki, krakersy i czajnik, i zabierali się za parzenie herbaty.

Wyzwolenie obozu nie poprawia jednak sytuacji. Porcje żywnościowe są nadal niewielkie, ludzie buntują się, chcąc cieszyć się wolnością. – Codziennie nam powtarzali, że władze na uchodźstwie nie podjęły jeszcze decyzji, co dalej z Polską. Bali się nas oddać w ręce komunistów. Ale Polacy przybyli z Oświęcimia nie chcą już dłużej czekać. Organizują ucieczkę. Anna zjawia się z torbą w umówionym miejscu. Jest ciemna noc, wychudzeni mężczyźni kończą wycinać dziurę w płocie. Kiedy drut pęka, słyszą sygnał: – Biegiem! Zgromadzeni przeciskają się przez ogrodzenie i pędzą w kierunku stacji przeładunku węgla.

Tam stoi pociąg relacji Hamburg – Norymberga. W wagonach jest węgiel, mimo to wszyscy znajdują w nich schronienie. Skład rusza, a na twarzach więźniów pojawia się ulga. Na chwilę. Na pierwszej stacji, tuż za obozem, pisk hamulca wstrząsa wagonami. Angielski żołnierz świeci latarką w oczy i nakazuje wszystkim wyjść. Na stacji czekają już inni uciekinierzy. – Czy wy naprawdę chcecie do tej Polski?! – dziwi się dowódca. Chcą. Anglicy się poddają. Wysyłają ich przez Czechosłowację. I tak Anna pociągiem towarowym, ale już czystym i bez węgla, dojeżdża do Zebrzydowic. Polski dworzec wita ich orkiestrą i kwiatami. Dla wielu jest to wzruszający moment. Otrzymują specjalne przepustki, które upoważniają do darmowego podróżowania po Polsce przez miesiąc w celu odnalezienia krewnych. Anna kieruje się do rodzinnego domu, ale zastaje puste mury.

Jan mieszka już wtedy w Gdańsku. Wraca do Polski zaraz po wyzwoleniu Dachau. Ma szczęście, niewiele przeżyło. Józef przyłącza się do armii polskiej zbierającej siły po wojnie i wraz z nią wraca do kraju. Tadeusz postanawia zamieszkać w Holandii na stałe. Anna również zauroczy się tym czystym i uczciwym krajem, kiedy odwiedzi brata wiele lat po wojnie.

#### DZIADKOWIE:

ANGLIA, USA

Jest zima, kiedy w drzwiach pojawia się sąsiadka. W rękę trzyma korpertę. Odbiorca: Anna Kłosińska, nadawca: Elżbieta Kłosińska. Treść jest szokująca, ale pozwala Annie odetchnąć z ulgą. Pierwsze zaskoczenie: Ela była w tym samym obozie, co Anna. Jak to możliwe, że przez ten cały czas były tak blisko? Drugie: teraz jest w Anglii. Ela miała 16 lat, kiedy pomoc zaoferował jej angielski Czerwony Krzyż. Sierotom wojennym proponował wyjazd do Anglii. Miały być tam bezpieczne i pod dobrą opieką. W liście Ela informuje, że dostała pracę i mieszkanie, poznała męża, Leona, z którym ma teraz dwójkę dzieci – Romana i Alicję. Siostry nawiązują regularną korespondencję.

W Polsce Anna wychodzi za Henryka Zemłę, utytułowanego oficera. Ich rodzina powiększa się, kiedy na świat przychodzi syn Henryk i córka Alina. Pewnego dnia Ela zapowiada, że przez dłuższy czas nie będzie z nią kontaktu. Leon, za sprawą wujka z Ameryki, przeprowadza się z rodziną do Stanów Zjednoczonych. W 1945 roku, po dziewięciu latach spędzonych w Anglii, wyprzedają do USA.

Ela przyjeżdża do Polski w 1964, pierwszy raz od czasu wojny. Nie widziała siostry już 20 lat.

Na warszawskim lotnisku, ze łzami w oczach, całują się w usta. Anna ma na sobie czerwony żakiet, Ela jest ubrana na biało, w rękę dzierży reklamówkę z logo Marlboro. Tuż po wyjściu z terminalu nie ukrywa zdziwienia. Polska, jaką widzi, nie podoba jej się. – Powiedziała, że na to dziadostwo to ona nie ma siły patrzeć. Mimo to siostra wraca, by zobaczyć się z Anną jeszcze kilkukrotnie. W 1966 zabiera ze sobą córkę. Alicja ma okazję poznać kuzynostwo. Innym razem przyjeżdża z bratem Tadeuszem z Holandii.

Anna pierwszy raz wsiada do samolotu dopiero dwa lata po transformacji ustrojowej. Na pokładzie dziwią ją podwieszane do sufitu kołyski dla niemowląt, małe toalety i przedział dla palących, gdzie w gęstym dymie mężczyźni grają w karty. Leci do Eli. Newark znajduje się tylko pół godziny drogi od Manhattanu. Tam siostra pokazuje jej wszystkie miejsca, o których słyszały od ojca. Dla Anny to podróż sentymalna. W 1998 wybiera się do Stanów po raz drugi. Próbuje przewieźć znaczne ilości spirytusu, który bardzo przypadł do gustu amerykańskiej rodzinie. Zapytana przy odprawie celnej o butelki z płynem, odpowiada bez zastanowienia.

– To woda święcona.

– A po co tyle tej wody?

– Ta z Częstochowy, ta z Lichenia, a ta z Krakowa – powstrzymuje śmiech.

Przesyłka dociera na miejsce ku uciesze domowników. Tym razem Ela zabiera siostrę na Karaiby, gdzie starsza już Anna uczy się pływać w turkusowej wodzie. Kobiety wykupują też rejs statkiem do Wenezueli, która wydaje się Annie bardzo bogatym państwem. Po powrocie do Europy odwiedza brata Tadeusza, który pokazuje jej Holandię, a potem zabiera ją do Francji i oprowadza po fortach w Calais, które budował Józef. Sprawiają na niej wrażenie monumentalnych.

#### RODZICE:

#### TURCJA, UKRAINA

Alina, córka Anny, pracuje w krakowskiej Suponie. Zakład handlowy przydziela odzież ochronną i sprzęt bhp na cały kraj. Kobieta nigdy nie narzeka: – Przyjechały zakłady zbożowe, to dostałam worek mąki, czasem ogórki, jakieś czekolady, jak Wedel przyjeżdżał, z alkoholi to tylko piwa.

Zakład daje jej stałe zatrudnienie aż do 1989, kiedy państwowe przedsiębiorstwo traci rację bytu. Mąż Aliny pracuje w znanej na cały region wytwórni świec. Pewnego razu słyszy od znajomego na bazarze o możliwości szybkiego zarobku w Turcji. – Ludzie jeździli tam na wczasy, a wracali z dwoma tysiącami damskich majtek. Poza tym firany, bluzki, swetry i garsonki. Zarobkowi turyści potrzebują pośredników, tam na miejscu.

Mąż sprzedaje im czasem skóry, Alina złoto. – Dywany to już nie, bo gdzie na wycieczce wsadysz dywan? Autokary wynajmowane na 50 osób zabierają tylko 30, resztę miejsc zajmują ruskie torby.

Przez trzy lata mieszkają w pokoju hotelowym w Stambule. – Było dobrze, nawet bardzo dobrze, no i trochę się zwiedziło. Koleżanka Aliny prowadzi biuro turystyczne w Krakowie. Czasem daje jej zlecenia. – Dzwoniła do mnie: „Słuchaj, byś przyjechała z wycieczką do Polski, bo będą wieźli skóry, tamto siamto”. Uprawnień to ja nie miałam, ale wiedziałam, gdzie co kupić, jak wizę załatwić i jak przewieźć towar. Znałam celników, a o to chodziło. Czasami autokar stoi na poboczu kilka godzin, czekając na odpowiednią zmianę. Kiedy nadchodzi pora, Alina znosi paszporty, znajomy celnik nie wychodzi nawet z budki. – 450 złotych miałam za kurs w jedną stronę. To nie tak dużo, jak na tamte czasy, ale korzystna z okazji, by odwiedzić dzieci, które zostawili pod opieką dziadków.

Alina przywozi trudno dostępny towar dla rodziny. Po jednej z wizyt w Polsce ciotka Ela wraca do Ameryki w tureckim futrze. Wycieczka często chce zwiedzić stronę azjatycką czy wyjść na miasto w nocy, co stwarza dodatkowe możliwości zarobkowe. – Do Hagii Sophii ich zabrałam, to zebrałam po dolarze, 100 osób i 100 dolarów w kieszeni, proste. Miałam walutę, nie będąc nawet w Ameryce. Jednego lata rodzice ściągają do siebie dzieci. Ania i Tomek wsiadają do autobusu, jadą przez Rumunię, za szybą pałac Ceaușescu w budowie. Pobyt w Stambule to dla nich pierwsze zagraniczne wakacje.

Okres prosperity nie trwa jednak wiecznie. – Potem już się lepiej nic nie działo. Ludzie zaczęli mówić, że się Turcja kończy, nasyciło się w Polsce tego towaru, bo co drugi dzień nikt firanek nie zmienia przecież. Dochodziły za to głosy, że Ukraina potrzebuje cytryn, potem dzinsów, gum do żucia, bo tam przecież nic nie było. Postanawiają z mężem rozkręcić nowy biznes. Towar kupują w Turcji i przewożą pociągiem na północ. Taka sprzedaż daje duży zysk, ale to też duże ryzyko: – Kiedyś nam cytryny padły po drodze, bo jedna była stara, innym razem się nie opłaciło, bo celnicy rumuńscy nas okradli. Na Ukrainie mieliśmy wynajętych ludzi, znajomych, którzy prowadzili stragan. Oni się u nas ubierali, mieli jakąś tam pensję, a ich dzieciaki czekolady.

Po roku wracają do dzieci i zostają w Polsce. – Dzisiaj Ania i Tomek to już dorośli ludzie, z własnymi rodzinami.

DZIECI:

## EUROPA

Zadbany zielony dom otoczony drzewami i kolorowym ogródkiem.

W środku wszystko nowe: tynki, meble, sprzęty. – Syna nie ma w domu, z synową pracują za granicą. Na sezonówkach. Wyjeżdżają w czerwcu i do końca lipca są na truskawkach w Niemczech, on kieruje busem, rozwozi, a ona, biedna dziewczyna, na polu zbiera. No, ale mają z tego pieniądze, ten dom cały sobie robią – Alina pokazuje nowoczesną kuchnię. Rozmowie przysłuchuje się jej mama, Anna. Ma już 90 lat. Uśmiecha się, dziś praca w Niemczech nie kojarzy jej się źle. – Potem się jabłka zaczynają we Francji. W styczniu znowu jadą do Francji przycinać winogrona na trzy miesiące, do Wielkanocy tam siedzą, wrócą na truskawki i pojadą na jabłka znowu. To im wystarcza na godne życie.

W Polsce Tomek pracował jako akwizytor, raz pieniądze były, raz nie. Jego żona w pobliskim Intermarché zarabiała najniższą krajową. Alina żali się, że taka płaca po odliczeniu dojazdów ledwo starczała na życie. – Teraz mają prawie 40 lat, muszą w końcu pomyśleć o dzieciach.

DZIECI:

## POLSKA

Ania pracuje w szkole, jest zadowolona. Zajmuje się dziećmi, pisze projekty, biega po urzędach. – Niestety wdową została chwilę po ślubie – załamuje ręce matka. Kiedy Ania była mała, do babci przylatywała ciocia z Ameryki. Ciocia Ela zawsze chciała, żeby ją odwiedzać. Zapraszała siostrzenicę Alinę, choćby z dziećmi. Alina bała się jednak latać, a syn Tomek nigdy nie marzył o Ameryce. – On to jest taki patriota. Padło na Anię: – W tamtych czasach, na początku lat 90., to było wielkie marzenie, nawet nie liczyłam, że się spełni.

Ania w dniu wylotu ma tylko 15 lat. Jest dzień po egzaminach do ogólniaka, ale nie czeka nawet na wyniki. W Warszawie stewardesa upewnia się, czy dziewczyna na pewno nie potrzebuje niczyjej opieki. Dziesięć godzin później wysiada już w Newark. – Pierwszą noc przepłakałam, niby znałam angielski, a nic nie rozumiałam. Nawet ciocia mówiła do mnie po angielsku.

Rodzina cioci to przeciętna klasa średnia, ale w porównaniu do polskiej wyglądają na bogaczy. Mąż Alicji pracuje w „bliźniaku” World Trade Center. Jest ładna pogoda, więc zabiera Anię na taras widokowy, ale miasto drapaczy chmur w ogóle jej nie zachwyca. – Sam beton – mówi, pokazując album pełen zdjęć z wtc. – Wujek Roman z kolei miał



licencję pilota i ładny dom pod Nowym Jorkiem, w Woodbridge, tam mi się bardziej podobało. Już wtedy na rodzinę przypadają trzy samochody. Szybki jaguar, zażytkowy jaguar i wygodna limuzyna. Przed wyjazdem do Karoliny Południowej wujek pyta ją, którym samochodem chce jechać. Ania widzi wzrok ciotki wskazujący sugestywnie limuzynę, chce jednak sportowe auto. – Była potem na mnie zła, że musiała się trzymać godzin męczyć na ciasnym siedzeniu.

Wakacje funduje ciocia, jest szczęśliwa, że Ania przyjęła zaproszenie. Z dumą oznajmia, że na Florydę polecą pierwszą klasą. Chce, by spróbowała wszystkiego. Najbardziej podoba jej się Disneyland, kupuje pocztówki i kolekcjonuje bilety, by pokazać tamtejsze cuda rodzinie. Dziś to jedyne pamiątki przywiezione zza oceanu. Ania dużo czasu spędza z kuzynką Kirsten, jedynym dzieckiem Romana. – Kirsten była taka inna niż polskie dzieci. Ona szalone lata 90., te ciuchy... A my tacy zahukani wtedy. Ona robiła, co chciała. Kuzynki zza oceanu nie mają dziś jednak kontaktu. – Wiem, że wyszła za Włocha i mieszka w Australii, bo wysłała zdjęcie ślubne parę lat temu. Ale to w zasadzie wszystko.

Ania nie lubi zakłamanania i amerykańskiego stylu bycia. – Ameryka uchodziła za bardzo zdrowy kraj, brało się jedzenie do pracy, jadło tylko zdrowe rzeczy. Na śniadanie codziennie płatki z mlekiem. Pewnego wakacyjnego dnia głodna zjadła rano tort. – Ania, jak ty zaczynasz dzień? – krzywiła się ciocia. – Ale sami w domu nie gotowali, codziennie wychodziło się do jakiejś restauracji. McDonald's był ostatecznością, tylko w trasie, jak chcieliśmy coś szybko zjeść.

Widząc McDonald'sową modę w Polsce, Ania łapie się za głowę. Tylko syn daje radę zaciągnąć ją do środka. – Ameryka to nie moja bajka, no chyba że do Disneylandu z dzieciakiem.

migracyjnej

(O)dzyskiwanie  
pamięci

2  
2  
2



76  
.....

Stasiu Kłosiński, który jako dziecko  
wyemigrował do Ameryki Południowej,  
a jako dorosły mężczyzna do Stanów Zjednoczonych,  
gdzie za swoje zasługi uzyskał amerykańskie  
obywatelstwo. Archiwum Anny Zemło  
fot. Ewelina Nowakowska



77

Ania na masce jaguara  
wujka Romana w USA.  
Archiwum Ani Werner-Dudkiewicz  
fot. Piotr Zalewski



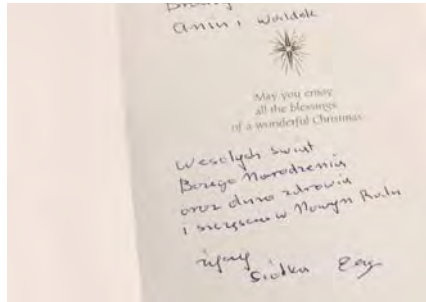
78

.....  
Wizyta cioci Eli z Ameryki.  
Archiwum Anny Zemło



79  
.....

Wizyta cioci Eli  
z Ameryki –  
powitanie na lotnisku.  
Archiwum Anny Zemło



80

.....  
Ania Werner-Dudkiewicz pokazuje zdjęcia z wycieczki do Ameryki; świąteczna kartka z Ameryki od cioci Eli; wspólne zdjęcie badaczy – Eweliny Nowakowskiej i Piotra Zalewskiego – z Anną Zemło i jej córką Aliną [Radomin] fot. Piotr Zalewski





81  
.....

Teresa Werner nad płytą nagrobną rodziców, której – po rozbiórce nagrobka – używa jako chodnika w przydomowym ogródku. To dzięki jej historii powstał ten reportaż. Prawdopodobnie pradziadek Teresy, Tomasz Krajnik, był jednym z adresatów niedostarczonych listów. Tak trafiliśmy do domu pani Werner i w ten sposób poznaliśmy jej wnuczkę Anię, bohaterkę reportażu.

fot. Piotr Zalewski

## Jak z filmu

s.	→	2
		2
		8

→



DOMINIK  
SZELĄŻEK

Jak z filmu

SPOTKANIE

– Rodzice jak się zapoznali? No, modne było kino. Więc chodzili sobie do kina, filmy sobie oglądali. I to przeróżne, westerny, Chaplina, *Brzdąca*, *Gorączkę złotą*. I właśnie przed tym kinem się zapoznali.

Władysława, urodzona w 1895 roku w Somsiorach. Wincenty, urodzony w 1895 roku w Kosiorach. Somsioy i Kosioy dzieli niewiele, 3 litery i 15 kilometrów. Ale Władysława z Wincentym się nie znają.

– Gdzie mogli się poznać? Tylko w kościele. Ojciec chodził do kościoła do Rogowa, a matka do Żałego.

To jeszcze bliżej, wsie dzieli tylko 10 kilometrów. Ale nie ma tam żadnego kina. Scenariusz tej miłości jest mniej oczywisty. Od pierwszego spotkania dzieli ich wciąż kilkanaście lat i 7 tysięcy kilometrów.

*A tak ci pisze, że tu w Ameryce jest dobrze, sto razy lepiej jak tam w starym kraju, bo tam jest ino bieda. Ja ci życzę żebyś sprzedał wszystko co masz i przyjechał.*

Wyjeżdżają z Polski w tym samym roku – 1912, w to samo miejsce – do Nowego Jorku. Oboje mają tam rodzeństwo, które namawia do przyjazdu i obiecuje pomoc.

– Kto był młody, odważny, ten jechał.

Mają tylko po 17 lat.

*W Ameryce spoczuntku jest zawsze ciężko.  
Ale jak kto odrazu wycierpi, to mu puźni letko.*

Wincenty zatrudnia się w rzeźni, w chłodni. Reumatyzm nie pozwala mu pracować, szybko musi znaleźć inne zajęcie. Udaje mu się dostać robotę przy budowie linii kolejowej prowadzonej na zachód. Ciężka fizyczna praca. – Wracaj do tej swojej Polski, bo ty się tutaj zamęczysz – mówi mu lekarz. Rezygnuje z posady, ale do Polski nie wraca.

Siostra Władysławy załatwia jej pracę w szpitalu gruźliczym, w którym sama jest zatrudniona. Niedługo później zapada na gruźlicę, choroba ją zabija. Władysława jest zdrowa, ale lekarz namawia ją, żeby przestała się narażać i poszukała bezpieczniejszego zajęcia.

Wincenty znajduje lżejszą i dobrze płatną posadę – pracuje jako ogrodnik na cmentarzu. – Bardzo bogatym cmentarzu, milionerzy tam byli chowani. Kwiatki sadił na grobach.

Lekarz ze szpitala stara się dla Władysławy o pracę. Przyjmuje ją do siebie adwokat z żoną, Anglicy, do opieki nad dziećmi, mają dwóch synków. Bardzo jej się tam podoba, zostaje kilka lat. – Moja mama mówiła, że była w Metropolitan Opera! Oni jechali i zabrali ją ze sobą. Ci chłopcy usiedli obok niej, a rodzice gdzie indziej, bo chcieli sobie spokojnie oglądać.

*Kochany kolego, ty do mnie piszesz  
o dziewczinach, ci [czy]tu su ładne.  
Tu su wszistkie dzewcini krajowe i sobie  
porzudnie hodzu jak w kraju dzedyczanki,  
wszystko jest jedno, możesz sobie dzewcini  
dostać jaki tylko zechces.*

Najpierw opera, potem kino. – Zapoznali się przed tym kinem. No i po-  
brali się, wynajęli domek, bo można było wynająć, na przedmieściu. I tak  
sobie mieszkali, starczało im. Mam jeszcze prezent ślubny mojej mamy  
z 1923 roku! Obrus, z Ameryki przywieziony. My go nadal na Wigilię  
rozkładamy. Bo kiedyś jak się robiło, to 100 lat trzyma. Tylko trochę go  
obszyłam, bo się siepał.

*Kochane rodzice, smutno mi jest i pszykro,  
zem się tak od was oddalył w daleky świat,  
osobliwie teraz, bo nadchodzące uroczystości  
Bożego Narodzenia (...) wy tam macie się z kim  
dzielić opłatkiem, a my opłatka nie mamy.*

– W Polsce były takie trudne czasy, ludzie nie mieli pracy przecież, strasznie się żyło. Chociaż każdy kochał tę swoją ojczyznę. I wracali.

W 1925 roku małżeństwo decyduje się na powrót do kraju. W skarpetach chowają pieniądze, za które kupią gospodarstwo w rodzinnych stronach. Władysława jest w drugiej ciąży. – Kiedyś tak nie było, że naprzód się dzieci trzaskało przed ślubem. Moja najstarsza siostra urodziła się w sylwestrową noc, na przełomie 1924 i 1925 roku. Miała amerykańskie obywatelstwo. Później był brat Wincenty, który urodził się już w Polsce, w 1926, parę miesięcy po przyjeździe. Także moja mama w ciąży już z nim była tam na tym statku. W 1928 na świat przyszła siostra. A w 1933 ja.

### ROZSTANIE

Leon jest od niej o kilka lat starszy. Wiktoria urodziła się w 1891 roku. Kiedy biorą ślub, ma 16 lat. Rodzi córeczkę, ale niemowlę umiera. Żyją biednie. Po licznych dyskusjach decydują się na emigrację, on wyjeżdża najpierw, młoda żona ma do niego dojechać.

*Trzeba jaki požundek zrobić,  
bo już dość długo tu sam jestem,  
a ty sama. Jak nie przyjaces  
do mnie to ja tu zginę, a ty tam  
będę bendziesz miała.*

Wiktoria wyrusza. Jedzie do męża, który przysłał jej szyfkartę – kartę okrętową uprawniającą do podróży przez ocean. Dla wszystkich wyjeżdżających z okolicy pierwszym etapem jest dostanie się na stronę pruską do Golubia, stamtąd jadą dalej, przez Berlin, albo do Hamburga, albo do Bremy, skąd wypływają statki do Stanów Zjednoczonych. Łącznie podróż może trwać nawet trzy tygodnie.

Ojciec Wiktorii zabiera ją do Golubia. – Dziadek mój odwiózł ciocię do pociągu. Ale dziadek był chory, miał konwulsje. I akurat wtedy go ta padaczka złapała. Jak cioci się żal zrobiło taty, tak nie pojechała, a już miała wszystko załatwione. Ze względu na stan zdrowia ojca do Ameryki nie pojechała.

*Bo już dość tego, zem się tak samotnie nasiedzieli.  
I na com sobie ślubowali przed Bogiem,  
jeżeli teraz każde w swoim kącie żyje. Pan Bóg  
się za to gniewa na takie małżeństwo.*

Po kilku latach Leon decyduje się na powrót. Krótko żyją razem, Wiktoria zachodzi w ciążę. – Ale ona go nie chciała, bo nie dbał, bo pił. On tam zaczął pić.

*To ja się dopiero pierwszy raz w Ameryce  
upiłem. To widzisz s tego wszystkiego  
umartwienia.*

– I ciocia go już nie przyjęła. Poszedł gdzieś tam do swojej rodziny i tam zmarł.

Ma 24 lata, kiedy zostaje wdową. Nigdy już nie wyjdzie za mąż. Rodzi jej się syn, Józef. Wprowadzają się do jej dawnego domu rodzinnego, do rodziny siostry. – A my wolelim tę ciocię czasem aniżeli matkę. – Bo ona wychowywała tu każde pokolenie, każdego z nas. I nikt na nią nie mówił „ciociu”, tylko „ciocio”.

– Była taką prawdziwą matką. Mama to i tu poleciała, i tam, a ciocio zawsze w domu, z nami, wszystkiego nas nauczyła. Nie wolno było zapłakać.

– Jaki to był dobry człowiek, o Jezu!

– A jaka ładna była! Kiedyś nie było różu, to miała czerwoną bibułę, taką z jakiej się kwiaty robiło. Było takie lustro, stoliczek, serweta. I pod tą serwetą zawsze miała bibułę, jak szła do kościoła, to sobie tą bibułą zawsze robiła róż na policzkach.

### TĘSKNOTA

*A teraz opiszę moją tęskność jako mam.  
Żebym miał skrzydła to zaraz do ciebie,  
kochana, frugnąłbym.*

– Mój dziadek to też w Ameryce był za młodu. Ale zakochany był już w mojej babce, Tekla miała na imię. I zawsze się u nas wszyscy w rodzinie śmieją, bo jak spytali dziadka, dlaczego wrócił do Polski, odpowiadał: „Bo tam takiej Tekli nie mieli”.

*Moja najukochańsza żono – bo przecież ja wole  
ciebie niż całku Ameryku i dobrze o tobie  
pamiętam i o naszych dzieciach (...) już gorzy  
być nie może, mimo, że mnie tu jest dobrze,  
ale jak to się mówi, choć wszystkiego mam  
dowoli, a jednak me serce boli, bo radbym*

*każdej chwili się z tobu widzieć. Ale cusz, zara  
jechać nie można, ale kiedy się przyjechało,  
to jusz czeba do jakiego czasu być. I tak każdej  
nocy się z tobu rozmawiam.*

– A to u nas w rodzinie była taka historia. Kostek i Józefina się w 1884 roku urodzili, mieli po 19 lat, kiedy wzięli ślub. Ona miała w Stanach wszystkich bliskich, rodzeństwo, ojca, więc mieli już do kogo jechać. Ale że była w ciąży, Konstanty wyruszył pierwszy. Już wcześniej mieli jedno dziecko, a jak to drugie się urodziło i miało z pół roku, Józefina pojechała z nimi do Ameryki. 13 dzieciaków się dorobili.

#### ZDRADA

– I był tu jeszcze taki Naradzynkowski. On też przed 1900 rokiem wyjechał do Stanów i ściągnął do siebie żonę z córką. I tam jakiś czas żyli, dwie córki jeszcze im się urodziły. Ale potem, nie wiem, jak to było, że ona wróciła z nimi do Polski, a on został.

*Teraz to ja wiem co ty myślis o mnie:  
ty pisies zawdy że ja miałbym iaką.  
Pewnie ty mas tam [jakiego], kiedy ty do mnie  
niechcesz przyjechać.*

– I za jakiś czas on wrócił, syn im się zdążył urodzić. Ale ja tam nie wiem, jak to było, że on w tej Ameryce złapał chorobę weneryczną. I ją zaraził.

*Chyba żeś się raz puścił, to cię tu nie choę  
widzieć i w kraju niekce cię znać.*

– Ona go z domu wyrzuciła. Tam gdzieś pod płótem zmarł w nędzy. A ona, widocznie w tej chorobie, bo nie było wtedy takich leków, powiesiła się. Gruba kobieta była, a na takim cieniutkim kablu. Pamiętam dobrze, byłem małym chłopcem. Drabka stara w stodole i beczka, widziałem. Weszła na tę beczkę, zawiązała sobie na szyję kabel. I to tu obok, już tych budynków nie ma, już rozebrane.

*Jak to me smuci bardzo bo jestem odłuncony  
ot was kochani rodzice jak owca od stada  
i wygana w pole, a nie wolno jy przyjść wjienci.*

Naradzynkowscy mieli czworo dzieci. Najmłodszy był syn, który przy-  
szedł na świat już po powrocie do Polski. Dwie córki urodziły się  
w Ameryce. A najstarsza była Pelagia.

– Ale ta to artystka była, chłopy się zabijali dla niej. Ładna, bardzo ład-  
na była Pelasia.

– Taka zgrabna i takie włosy miała ładne. I tu, i tu wszystkiego miała, o.

– Oni to z tej Ameryki pieniędzy nie przywieźli. Ale jej to się dobrze żyło,  
ona miała, jak to się mówi, agencję, ona pracowała w tym, o. I miała.

– Przez nią facet całą rodzinę wymordował, ona go namówiła, dla ma-  
jątku. Zabił kobietę z córką, dla pieniędzy. I go za to wieszali w Bydgosz-  
czy, a ona musiała jechać, patrzeć. Bo to było jego ostatnie życzenie.

– Potem z innym wyjechała do Warszawy, ale dzieci swoich nigdy nie  
miała, ani męża. W samotności umarła.

– Ale to była naprawdę artystka. Podobna była do tej aktorki, Marleny  
Dietrich.

– Historia jak z filmu.



82

.....

Imigranci  
na portowym nabrzeżu stacji  
imigracyjnej Ellis Island,  
1912

## Dworskie skrawki

→

s. → 2  
3  
6



AGATA  
Dworskie  
skrawki  
STASIK

Parobek, czyli robotnik rolny, sługa pracujący w folwarku. „Sługa, poświęcić winien na usługi pana cały swój czas, i wedle możliwości i sił swoich wypełniać będzie wszystkie jego rozkazy, dotyczące przyjętych przez siebie obowiązków”. Relacje między panem a sługą regulują przepisy obowiązujące w Królestwie Polskim. W żadnym wypadku „sługa nie może bez pozwolenia pana oddalić się ani dla własnego interesu, ani na zabawę; a gdy pan da pozwolenie, nie może go przetrzymać, ale na czas wrócić powinien”. Sługa, czyli chłop niepańszczyźniany. Bo pańszczyzny już nie ma. Są za to właściciele ziemscy, którzy w zastraszającym tempie tracą pielęgnowane przez wieki przywileje. Losy chłopów i ziemian zdają się splatać bardziej niż kiedykolwiek.

#### MAJĄTEK DZIAŁYŃSKI

Po ostatnich właścicielach dworku w Działyniu zachował się jedynie rodzinny grobowiec na cmentarzu parafialnym przy drodze do Rembiochy. Dopiero siedem kilometrów dalej, w Dulsku, ktoś sobie przypomniał, jak stary Chaciński odpalił papierosa amerykańskim banknotem u żydowskiego karczmarza na zabawie.

Klonowscy w Trąbinu, Chacińscy z Działynia, wcześniej Łukowscy. Nazwiska właścicieli majątków ziemskich pojawiają się jedno za drugim, trudno się połapać.

– To jakaś piąta woda po herbacie – kwituje mieszkaniec Dulaska.  
– Chaciński w Stanach pracował. Podobno marynarze ukryli go w węglu,

nie wiadomo przed czym. Przewieźli go i on tę resztówkę majątku w Działyniu kupić. Ale w których latach, nie powiem. Zaraz po wojnie albo tuż przed.

Dokładnie po 1923 roku. To jedna z niewielu informacji, jakie można znaleźć na temat zespołu dworskiego w Działyniu. Majątek, częściowo rozebrany w XIX wieku, przechodzi z rąk do rąk. Dziś jedynym śladem po nim jest ozdobny, kamienny kartusz herbowy z początku XVII wieku wmurowany w fasadę kościoła parafialnego. Przynajmniej tak twierdzą źródła.

– Tata zbudował nasz dom z cegły, którą wykopał z dworskiej piwnicy. Dworku już wtedy nie było – przypomina sobie z zawadiackim błyskiem w oku starsza pani spacerująca po Działyniu z imponującym dogiem niemieckim przy nodze.

Niektórzy wprost przyznają, że po wojnie ludność rozebrała cały dworek. Drewno, cegły, wszystko, co mogło się przydać do budowy własnego. – A to ludzie kominy pobudowali, a to to, a to owo.

Trudno uznać czyjś komin za pozostałość po dworku. Z drugiej strony, to jedyny materialny ślad po nieistniejącym już majątku. Podobnie jest z pamięcią o nim. O ostatnich właścicielach nikt nic nie wie, szczególnie w samym Działyniu. Wie tylko pani Halina, bo pani Halina ma 93 lata i jest najstarszą mieszkanką w okolicy. Pamięta wszystko, z córką Chacińskich do jednej klasy chodziła. Tak mówią we wsi.

– Chaciński wyjechał do Ameryki, do teściów dołączył. W tych Stanach trochę się rozpił, ale potem pojechała do niego żona i się dorobili. Majątek kupili od Żydów, już po powrocie.

Pod koniec XIX i na początku XX wieku właścicielami majątków ziemskich często są Żydzi. Po zniesieniu pańszczyzny pojawiają się liczne ogłoszenia prasowe o licytacjach organizowanych przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, utworzone w latach 60. XIX wieku w Królestwie Polskim. Niewypłacalni już wtedy właściciele dóbr zmuszeni są do sprzedaży majątków. Te trafiają między innymi w ręce Żydów, choć zwykle nie na długo.

Trudno powiedzieć, jak potoczyłyby się losy rodziny Chacińskich, gdyby nie wybuch drugiej wojny światowej. Wysiedlają ich Niemcy, tak jak i panią Halinę. Wysiedlają nocą, wszystkie majątki i duże gospodarstwa.

Po wojnie, wiadomo, reforma rolna, parcelacja. Okoliczni mieszkańcy robią użytek z pozostałości dworku.

– A w ogóle to ten dworek był zadłużony, w długach był cały. Ja pani powiem, że wszystkie gospodarstwa kupione za amerykańskie dolary upadły. Pecha przynosiły.

„Czarnich nigrów jest na jednego białego człowieka 2, czarni ludzie poddani są białemu, jak niegdyś w Polsce włościani Panom, muszą robić darmo” – pisze emigrant z USA w 1890 roku. Chłopska darmowa praca była podstawą utrzymania ówczesnego ziemiaństwa. Dziedzic, pan folwarczny, po blisko trzech dekadach od zniesienia pańszczyzny, wciąż jest dla chłopów punktem odniesienia. Uwłaszczenie przeprowadzone w zaborze rosyjskim po upadku powstania styczniowego nie przerywa chłopskiej niedoli. Próba przekształcenia Królestwa Polskiego z feudalistycznego w kapitalistyczne przyczynia się do powstania ogromnej liczby gospodarstw małorolnych, o wielkości od jednego do trzech hektarów. Przy wielodzietnych rodzinach to nie wystarcza. Przeciętne chłopskie rodziny ma czworo-pięcioro dzieci, choć i większa liczba potomstwa nie jest niczym niezwykłym. Do tego chłopci, uzyskując prawo do rozporządzania własną ziemią, z czasem doprowadzają do rozdrobnienia gospodarstw. Bieda się pogłębia. Po zniesieniu pańszczyzny nadal funkcjonuje pobór do wojska carskiego – zmianie ulega jedynie długość służby. Teraz chłop w wojsku spędza od 15 do 19 lat zamiast całego ćwierćwiecza. Ustawa z 1859 roku precyzuje, że służba ta dotyczy wszystkich nieżonatych mężczyzn. Za wyjątkiem ziemian. Ot, kosmetyczne zmiany.

Chłop ma do wyboru dwa rozwiązania, które mogą uchronić go od ubóstwa lub armii. Pierwszym jest powrót do majątku, czyli sparobczenie – jeden z największych lęków ówczesnego chłopstwa. Drugim – emigracja. Najczęściej chłopci wyjeżdżają na roboty do Europy Zachodniej, przede wszystkim do pobliskich Prus. Drugim punktem docelowym są Ameryki. I tak mąż, już zza oceanu, gorąco zachęca żonę do wyjazdu: „Sama się wyprzedawaj i przybywaj do Ameryki za mną, bo niema jak w Ameryce takim ludziom, co żyjom z wyrobku”. Chłopci uciekają więc tam, gdzie kapitalizm hula pełną parą, oferując liczne możliwości pracy w przemyśle.

#### MAJĄTEK UGOSKI

Na betonowym tarasie otoczonym przez klony i kasztanowce siedzi kobieta. Krzyczy, żeby nie robić zdjęć. Tuż obok, po podwórku, przechadza się dostojnie mężczyzna. Ciemne okulary, koszula zapięta pod samą szyję, marynarka, jasne, eleganckie spodnie. Kazimierz jest poetą. Wiersze pisze między innymi o ośrodku. O życiu w Ugoszczu wiele mógłby powiedzieć, ale zamiast tego recytuje fragment jednego z utworów: „Dyrektorka jak Nefretete, jest dobra, daje herbatę z cytryną”. Takich wierszy ma więcej.

Każda okazja wymaga literackiej oprawy. Takiej, jak opowieść o pożarze, który zaproszył papierosem pijany pensjonariusz.

Dom Pomocy Społecznej „Kombatant” mieści się w byłym majątku ziemskim. Tu, w Ugoszozu, dopiero pod koniec lat 90. kończy się wieloletnia restauracja budynku. Obok dworku pojawia się dobudówka dostosowana do potrzeb osób niepełnosprawnych, architekturą nawiązująca do pałacu. Zanim do tego dojdzie, zespół dworski należy do Antoniego Borzewskiego, który majątek dziedziczy pod koniec XIX wieku. Dziesięć lat później wraz z dwójką właścicieli ziemskich zakłada cukrownię w Ostrowitem. Mają nadzieję, że jej budowa przynajmniej częściowo powstrzyma falę wyjazdów do przemysłowych Prus. Borzewski ginie w 1920 roku, broniąc swojej posiadłości przed wojskami bolszewickimi. Po drugiej wojnie światowej majątek przejmuje Skarb Państwa. W późniejszych latach w pałacu mieści się szkoła wraz z kwaterami dla nauczycieli, następnie Klub Rolnika, biblioteka, sklep i mieszkania prywatne, a w latach 70. Wiejski Ośrodek Zdrowia, który przy odrobinie fantazji można uznać za protoplastę dzisiejszego DPS-u.

Na jaskrawopomarańczowym wózku inwalidzkim sprowadzonym z Niemiec podjeżdża Stefan. W białym swetrze, dżinsach z podwiniętymi nogawkami i z papierosem w ustach. – Turyści? Cyk. Zdjęcie robi tabletem. Ujęcie świetne, bo na tle dworskich schodów. Dopiero teraz zaczyna rozmowę. Pochodzi z Torunia, więc niedaleko. Chętnie śpiewa piosenki gwiazd polskiego disco polo. Ostatnimi czasy głównie na uroczystościach organizowanych w DPS-ie. Narzeczoną Stefana, młodszą o 15 lat Iwonkę, poznajemy kilka dni później, na festynie z okazji Dnia Dziecka. Festyn odbywa się tuż obok ośrodka. Impreza, jakich w Polsce tysiące. Tylko jeden z pensjonariuszy, chudy, wysoki mężczyzna stojący przed dworkiem, ciągle powtarza: – Tu mnie zostawili! W budynku zbudowanym na wyzysku!

#### SŁUŻBA NIE DRUŻBA

Fragmety postanowień o najmie sługi i o wzajemnych obowiązkach pań i sług z „Rocznika Wsi Polskiej”:

*Pkt 515. Sługą w dawniejszej ustawie nazywa się ten, kto się godzi do jakiej pracy w domu albo w gospodarstwie na pewien czas bez przerwy na dnie.*

*Pkt 545. Sługa winien swojemu panu, pani i tym wszystkim osobom, którym pan usługiwać każe; wierność, uszanowanie i posłuszeństwo.*

*Pkt 548. Wszystkimi siłami sługa powinien strzec pana swego od krzywdy i szkody, a starać się o jego pożytek.*

*Pkt 584. Sługa, który przed czasem odejdzie od pana bez prawnej przyczyny, skazany będzie przez sąd gminny na areszt do dni trzech i będzie na żądanie pana do powrotu zmuszony.*

Regulacje obowiązują na terenie Królestwa Polskiego w drugiej połowie XIX wieku oraz w pierwszej dekadzie XX wieku, zarówno na wsi, jak i w mieście. Nadanie chłopom ziemi na własność nie prowadzi do rewolucyjnych zmian w hierarchii społecznej. Z tego też względu częstym impulsem do emigracji jest nie tyle bieda, co widmo ponownego poddaństwa chłopca, który dopiero od niedawna samodzielnie gospodarzy. Widmo tym bardziej dotkliwie, że praca na wyrobku niekorzystnie wpływa na stan własnego gospodarstwa. Zaniedbane podupada. Chłopi wyjeżdżają więc, żeby zarobić, a po powrocie dokupić ziemi, postawić większy dom. To właśnie oni starają się na odległość zarządzać gospodarstwem, najczęściej przy pomocy pozostawionej w kraju żony. Jadą także po to, by za oceanem znaleźć inne, lepsze życie. Wyjeżdżają niechciani przez najbliższych: przygarniane biedne lub osierocone dzieci, traktowane gorzej niż własne, skłócenie z rodziną bracia, Żydzi coraz częściej odczuwający niechęć sąsiadów. Wyjeżdżają wreszcie ci, którzy marzą o swobodzie i przygodzie.

#### MAJĄTEK ŚWIĘTOSŁAWSKI

– Panowie rządzą, bieda była, a oni hulali – Markowski nie owija w bawetnę.  
– We Francji się bawili dziedzice.

Markowski to właściciel największego gospodarstwa w okolicy, które jest punktem orientacyjnym dla miejscowych. Niewysoki, szczupły mężczyzna. Nie widać po nim starości, czarne włosy skutecznie maskują wiek. Ubranie robocze. – Od krów wracam – mówi. Flanelowa koszula w szaro-czerwony kratę, do tego wielkie, niebieskie ogrodniczki z jakimś łatwo spieralnym materiałem. W tle kilka zabudowań gospodarskich, wielki zbiornik na mleko odbijający słoneczne promienie. Jego ojciec nie należał do najbogatszych, do wszystkiego doszedł własną pracą. Tak mówi Markowski.

– Ojciec robił w majątku. Był furmanem. Właściciel miał cztery konie i ojciec się nimi zajmował. Kochał je. One miały swoje przydziały jedzenia, ale ojciec i tak podkradał dla nich dodatkowe porcje.

W pierwszej połowie XIX wieku mieszkańcy Świętosławia i okolic są ofiarami epidemii cholery. Właściciele ziemscy także. Dwie młode kobiety dziedziczą majątek po zmarłym ojcu. Starsza z sióstr, Władysława, wychodzi za mąż za Adolfa Chełmickiego herbu Nałęcz.

Dzięki niemu spłacają wszelkie zadłużenia. Majątek pod jego rządami obejmuje prawie 900 hektarów. Kiedy w 1864 roku dochodzi do uwłaszczenia, chłopci zyskują serwitut, czyli prawo do wypasania bydła na ziemi pana przez określony czas. Później, na początku XX wieku, w zamian za rezygnację z tego prawa mieszkający na terenie folwarku chłopci otrzymują część ziemi.

– Ci, co pracowali w majątku, mieszkali w czworakach. Czworaków już nie ma. W latach powojennych, jak robili tu parcelacje, dostaliśmy siedem hektarów, a pozostałych sześć działek było po sześć hektarów. Po żniwach geodeta odmierzył ściernisko i tyle. Ani konia, ani wozu, ani łopaty i weź rób. Od niczego zaczynaj.

Na krótko przed pierwszą wojną światową dobra ziemskie zaczynają upadać. Problemy finansowe właścicieli ziemskich pojawiają się jednak znacznie wcześniej. Towarzystwo Kredytowe Ziemskie ma za zadanie oddłużenie własności rolnej, ale cel ten nigdy nie zostaje osiągnięty. Po wprowadzeniu reformy uwłaszczeniowej właściciele majątków tracą darmową siłę roboczą. Sytuacji nie poprawiają wypłacone rekompensaty za utracone na rzecz chłopca grunty, które w przeważającej liczbie przypadków od razu trafiają do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Często właścicielom nie pozostaje nic innego, jak wystawić majątki na sprzedaż i wyjechać.

– Wszystko kupowali Żydzi. Karczowali lasy, pieniądze wysyłali dziedzicowi, a dziedzic się bawił za granicą. Tak twierdzi Markowski.

Lata 30. są ciężkie dla tutejszych chłopów. Stale wzrasta bezrobocie. Wieś jest przeludniona. Chłopci zatrudniają się nie tylko w okolicznych majątkach, ale biorą każdą inną robotę. Nieważne, czy wyręb lasu, czy kopanie torfu. Praca to praca. W wyniku zadłużenia w 1934 roku część dawnego, ogromnego majątku w Świętostawiu zostaje sprzedana. A emigracja zarobkowa do Niemiec przybiera na sile.

Rozmawiamy o dźwiękach na wsi. W kuchni krząta się żona Markowskiego, robi obiad. Dla człowieka z miasta jest tutaj cicho. Jedynie ptaki słychać, czasem żaby.

– W tym roku jest bardzo mało żab. Kiedyś, wieczorami, to naszose wychodziły, niewygodnie było jechać... Jak tak mówisz o rechotaniu, to mi się przypomina, jak taki dziedzic mieszkał w pałacu. Tam zaraz obok był staw, tam te żaby rechotały. I był specjalnie zatrudniony facet, który chodził wkoło stawu i płoszył te żaby. Żeby panu nie przeszkadzały spać.

Obecnie w dworku prowadzone są prace remontowe. Odkupił go właściciel firmy budowlanej z Osieka w zamian za dwa domki jednorodzinne – jeden dla poprzedniego właściciela, drugi dla jego córki.

Podobno ma powstać tam hotel. Albo muzeum. Nowy właściciel niczego nie rusza, czyści wkoło, zielsko już usunął. I czeka na fundusze z Unii. Teraz szlaban tam postawił, żeby nikt nie wjeżdżał.



83

.....

Opuszczony dworek  
w Świętosławiu  
fot. Marcin Mielewczyk

Niektóre nazwiska zostały zmienione. W reportażu wykorzystano fragmenty książki *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891*, oprac. i wstęp W. Kula, N. Assorodobraj-Kula, M. Kula, Warszawa: Biblioteka Iberyjska 2012.

Pomocą posłużyły również materiały dostępne na stronach internetowych:  
<http://szpejankowski.eu/> (portal rodziny Szpejankowskich i Szpejenkowskich)  
oraz <http://www.polskiezabytki.pl/m/zabytki/>.

# To nie moja Ameryka

→

s. → 2  
4  
4



EWELINA  
NOWAKOWSKATo nie moja  
AmerykaZA CHLEBEM Z MASŁEM

Początek xx wieku. Nastoletni Wincenty Kwiatkowski podejmuje decyzję o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Z pewnością nie kieruje nim brak perspektyw na przyszłość. Jego rodzice, Anna i Franciszek, posiadają ziemię pod Ugoszczem. Gospodarstwo ma ponad 80 hektarów, dobrze prosperuje. Nie są dużą rodziną, nie borykają się z problemami finansowymi. Żaden z ich potomków nie jest więc zmuszony do emigracji zarobkowej. Mimo to trójka z czwórki dzieci decyduje się na wyprawę do Ameryki. Wszystko za sprawą listów od stryja. Jan Kwiatkowski, brat Franciszka, zaprasza krewnych do siebie. W rodzinnym domu pozostaje tylko najmłodsza z córek, Leokadia. Panny Kwiatkowskie – Stanisława i Antonina – osiadają w Stanach na stałe. Ale rodzynek Wincenty wróci.

Moment wyjazdu, rok 1905. Na holenderskim nadbrzeżu stoi wysoki, urodziwy brunet. Nie ma ze sobą zbyt wielu bagaży. Ma natomiast szczere chęci i ciekawość świata. Z listy pasażerskiej wynika, że wyrusza z Rotterdamu. Jego celem jest Nowy Jork. Na statku spotyka Żyda, Mordechaja. Gdy ktoś wywołuje bójkę, Wincenty staje w obronie nowo poznanego kolegi. Tym zaskarbia sobie jego sympatię. Ale nie tylko. Otrzymuje też propozycję pracy, co oznaczałoby dostanie się pod opiekę społeczności żydowskiej. Dla nastolatka, który po raz pierwszy jedzie do Ameryki, to mogła być ogromna szansa. Odmawia jednak. Chce być samodzielny. Na obcej ziemi pragnie dojść do wszystkiego sam.

Trafia do podnowojorskiego Elizabeth, do kopalni. Tam pracuje kilka lat, dorabiając do pensji grając na akordeonie. Robota w przemyśle jest ciężka i niebezpieczna. To wielogodzinna harówka w trudnych warunkach. Mrok i zaduch. Nieszczęśliwe wypadki zdarzają się często, bo brakuje odpowiednich zabezpieczeń, a pył węgielny utrudnia oddychanie. Pieniądz też niezbyt wielki, więc chłopak żyje skromnie. Nie jest jednak z tych, co narzekają.

W roku 1909 spotyka drobną brunetkę o brązowych oczach, która szybko skrada jego serce. Marianna Krajewska, bo tak nazywa się ukończona Wincentego, też jest imigrantką. Z amerykańskiego spisu ludności wynika, że urodziła się w roku 1893 w Lubawie, w zaborze rosyjskim. To panna z dobrego domu. Do Stanów przyjechała z rodzicami, którzy dorobili się w Nowym Świecie, prowadząc sieć aptek. Gdy Marianna poznaje swojego przyszłego męża, ma zaledwie szesnaście lat. Od samego początku wie, że to będzie ten jedyny. Zanim wstąpią w związek małżeński, muszą jednak zgromadzić odpowiednie środki. Nie trwa to długo, bo mogą liczyć na pomoc państwa Krajewskich. Kiedy młodzi idą po ślubną wyprawkę, Wincenty trafia na starego znajomego. Mordechaj jest już wówczas właścicielem dwupiętrowego sklepu, w którym przyszli państwo Kwiatkowscy robią weselne zakupy. Mimo upływu lat historia ze statku nadal tkwi mu mocno w pamięci. Chcąc się odwdzińczyć, ofiarowuje dawnemu kompanowi podróży i jego narzeczonej wszystko, co sobie wybrali – w prezencie.

Niedługo po ślubie przychodzi na świat ich pierwsze dziecko. Dają mu na imię Czesław. Razem postanawiają, że zgromadzone oszczędności zainwestują w niewielką restaurację, którą Marianna otrzymała od rodziców. Smaczna i tłusta polska kuchnia błyskawicznie przypada do gustu miejscowej klienteli. Zapach smażonego czosnku unoszący się w powietrzu sprawia, że w porze lunchu lokal pęka w szwach. Rodzinny biznes rozrasta się, gotówki przybywa, Kwiatkowscy mogą więc sobie pozwolić na powiększenie rodziny. W ciągu następnych ośmiu lat rodzą się Franciszek, Genowefa, Jan oraz Edward. Dzieci świetnie mówią po angielsku. To raczej z polskim mają problemy, bo tylko najstarszy Czesiek potrafi się dogadać w ojczystym języku rodziców. Cała piątka posiada obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Troje najstarszych zaczyna chodzić do szkoły w Elizabeth. Przesiąkają amerykańską kulturą.

Sukces zawodowy i rodzinny okazuje się być jednak niewystarczającym powodem, aby pozostać w USA. Piątka dzieci urodzonych w stanie New Jersey, kompletnie nieznających polskich realiów, też nie potrafi przekonać rodziców do pozostania. Ani Marianna, ani Wincenty nie uważają podmiejskiego Elizabeth za swoje miejsce na ziemi. Ciągnie ich w rodzinne strony, na wieś. W 1923 roku na zawsze opuszczają Stany Zjednoczone.

W Polsce wita ich całkowicie nowa rzeczywistość. Przede wszystkim niepodległość – nie wracają już do zaboru rosyjskiego. Radość z odzyskanej wolności przeplata się jednak z trudami życia po wielkiej wojnie. Mimo upływu pięciu lat od zakończenia działań wojskowych kraj nadal nie został odbudowany ze zniszczeń. Ponadto scalanie ziem z trzech różnych zaborów nie należy do łatwych zadań. Tworzenie nowoczesnej państwowości przebiega mozolnie i burzliwie. Przemysł i rolnictwo kuleją, a zapowiadana przez rząd reforma rolna jest stale odwlekana. Dodatkowo ceny ziemi ciągle są wysokie. Nie zniechęca to jednak Wincentego. Jest uparty, ale też bardzo rozsądny. Dla licznej rodziny potrzebuje odpowiedniego lokum. Wybór pada na położone nieopodal rodzinnego Ugoszcza Szczutowo. Wincenty kupuje tam przepiękny drewniany dworek oraz przyległe do niego ziemie. W ten sposób zostaje właścicielem ziemskim. Nareszcie posiada własne gospodarstwo, o którym tak marzył. Nie myśli jednak tylko o sobie. Dla najdroższej małżonki stawia okazałą stadninę. Marianna codziennie rano może odwiedzać ukochane konie.

Rodzice doskonale odnajdują się w nowej sytuacji. W przeciwieństwie do dzieci, które przywykły do amerykańskiego stylu i życia w mieście. Genowefa będzie opowiadać wnuczkom o ładnym, portowym Elizabeth, które musieli porzucić dla polskiej powojennej wsi. Inny jest język, krajobraz i mentalność ludzi. Chcąc złagodzić tęsknotę pociech za Ameryką, Wincenty wpada na pomysł, aby wysłać je do porządnej szkoły w miasteczku. Choć uchodzi za człowieka skąpego, nie oszczędza na edukacji. Cała piątka odbiera staranne wykształcenie w gimnazjum w Wąbrzeźnie. Mieszkają tam w specjalnie wynajętej kwaterze pod opieką guwernantek. Miejscowość oddalona jest 40 kilometrów od Szczutowa, dokąd dzieci przyjeżdżają tylko na wakacje.

Kwiatkowscy, dzięki zgromadzonemu majątkowi, zaczynają obracać się wśród lokalnych elit. Przestają być anonimowi: to „ci”, którzy wrócili z Ameryki. Młoda Genowefa zaprzyjaźnia się z dziedziczką z Ugoszcza. Uczy ją angielskiego, tamta z kolei tłumaczy „Amerykance” podstawy języka polskiego. Wincenty często pożyczka okolicznym ziemianom ukryte w kaflowym piecu dolary. Panowie przyjeżdżają do niego grać w karty. Kwiatkowscy stają się rodziną znaną w okolicy. Świadczyć o tym może chociażby fakt, że posiadają swoją ławkę w kościele w Płonnem. Podczas mszy świętej siadają tuż przy ołtarzu, po prawej stronie.

Już na ziemiach II Rzeczypospolitej Wincenty doczekuje się jeszcze dwójki potomstwa, Kazimierza i Teresy. Jednak w 1934 roku na zawsze traci ukochaną żonę. Marianna ma problemy z krążeniem, długo choruje

na zakrzepicę. Umiera w wieku czterdziestu jeden lat. Wincenty staje się zgorzkniały. Humoru nie poprawia mu fakt, że jest już właścicielem całego Szczutowa. Ma też kupić sąsiednią wieś Rętwiny, wpłaca nawet zaliczkę. Plany krzyżuje mu druga wojna światowa. Jego majątek zostaje zajęty przez Niemców, a on sam musi się ukrywać, w przeciwnym razie grozi mu zesłanie na roboty lub do obozu. Pomaga mu miejscowa ludność.

Gdy Hitler przegrywa wojnę i nazistowscy okupanci opuszczają Szczutowo, prawowici właściciele mogą wrócić. Synowie Wincentego trzymają rękę na pulsie i szybko zajmują ojcowiznę. Grozi im jednak reforma rolna Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, której celem jest uwłaszczenie bezrolnych, robotników rolnych oraz drobnych dzierżawców. Aby nie stracić wszystkiego, co dopiero odzyskał, Wincenty musi podzielić ziemię między gromadkę dzieci. Jego najstarszy syn ma rządową posesję, wie więc zawczasu, co czeka majątki o powierzchni powyżej 100 hektarów. Nie podoba mu się jednak taki obrót spraw, lubi gospodarzyć samodzielnie. Ponadto jego stan zdrowia nie jest już najlepszy. Wyjeżdża do Wrocławia, gdzie mieszka Czesław. Tam umiera w roku 1945. Zostaje pochowany obok żony na cmentarzu w Płonnem.

### DOM Z WIEŻĄ

Prawie sto lat później pytam w położonym sześć kilometrów od Szczutowa Radominie:

– No dobrze. Wszyscy wyjeżdżali do Ameryki, ale czy ktoś wrócił?

– Może i by się kto znalazł, ale ja nie wiem...

Szukam dalej.

– No był taki jeden, ale jak on się nazywał. Zaraz, zaraz, ze Szczutowa on chyba był. Ale dobrze nie pamiętam. Nie powiem pani.

– Wrócił, ano dziadek Kwiatkowski wrócił, z Ameryki przecież!

Jestem już blisko.

– Tylko Kwiatkowski wrócił – pada z ust ostatniego rozmówcy.

Niewiele brakuje, a zostaję z pustymi rękoma. Postawny mężczyzna, z włosami przyprószonymi siwizną, wygląda na gospodarza tego miejsca. Odrywam go od naprawiania auta, ale wydaje się, że mu to nie przeszkadza. Przeciwnie, dużo mówi. O okolicy, o mieszkańcach, o lokalnej historii, o emigracjach. Już mam odjeżdżać, gdy nagle pytam: – Ale dlaczego właściciel mówi pan o tym Kwiatkowskim „dziadek”? Tomasz patrzy na mnie ze zdumieniem: – No jak to? To przecież mój dziadek był, to jak mam o nim mówić?

Siedzę w salonie u Tomasza Laskowskiego, wnuka Wincentego. Trafiam tam zupełnie przypadkiem. Zrezygnowana błądźę po niewielkim

Szczutowie. W końcu moją uwagę przykuwa biały dom z imponującą wieżą. Jest wysoka, a jej czubek wieńczy iglica. Nie liczę okien, bo jest ich dużo, w różnych kształtach. Jak z bajki. Albo raczej jak z amerykańskiego snu. Krętymi schodami wchodzimy na półpiętro, siadamy w salonie. W pomieszczeniu panuje przepych. Rzeźbione krzesła, ogromny drewniany stół. Nad głową rozłożysty, kryształowy żyrandol. Dookoła mnóstwo obrazów w złotych ramach. Dom powstał już po śmierci Wincentego, ale w miejscu, w którym Tomasz go wybudował, mieszkał kiedyś dziadek. – Sprzedali wszystko i przyjechali do Polski. Tak po prostu.

– Tak po prostu? – powtarzam za Tomaszem, bo nie mogę tego zrozumieć.

– Tak wyszło. Tutaj obydwójce czuli się dobrze, nie w Ameryce. Tak mówiła mama. Ja dziadka nie pamiętam. Zmarł w tym samym roku, w którym się urodziłem.

Za radą Tomasza szukam kogoś, kto znał Wincentego nie tylko z opowiadań. Dzień po wizycie u Laskowskich ze Szczutowa, siedzę w kuchni u Laskowskich z Radomina. To Jerzy i Barbara, małżeństwo emerytów. Zbieżność nazwisk przypadkowa, choć jest też pokrewieństwo. Barbara z domu Sulkowska to córka Leokadii. Najmłodszej Kwiatkowskiej, która została w Polsce. Wincenty był jej wujem. W przeciwieństwie do Tomasza, ona z mężem znali go osobiście.

W Radominie dowiaduję się więcej o siostrach Wincentego. Do Ameryki rodzeństwo miało wyjechać razem, trafili jednak do różnych zakątków Stanów. Ale utrzymywali korespondencję z Leokadią, to było ich połączenie z Polską. Barbara najbardziej pamięta ciotkę Antoninę, środkową Kwiatkowską: – Ciocia najwięcej pisała z mamą, przysyłała z Ameryki kakao i modne ubrania. W latach 60., gdy po ponad pięciu dekadach nieobecności odwiedziła rodzinne strony, mogła się wreszcie spotkać z siostrzenicą. Stanisława nigdy do Polski nie przyjechała.

#### DUCHY Z PRZESZŁOŚCI

Władze komunistyczne nieprzychylnym okiem patrzą na ludzi, którzy posiadają amerykańskie obywatelstwo. Kiedy Tomasz, jako młodzieniec, chce wyjechać na misję wojskową na Bliski Wschód, zostaje cofnięty. Dzień przed wylotem. Wszystko przez matkę urodzoną w Ameryce. Już po 1989 roku otrzymuje propozycję wyjazdu do USA. Warunki bardzo korzystne, własne mieszkanie, możliwość pracy. Podobnie jak dziadek kilkadziesiąt lat wcześniej, wybiera Polskę. Chce zostać na wsi, z rodziną. Jednak zarówno on, jak i jego dzieci będą mieć pierwszeństwo w otrzymaniu wizy do Stanów.

Matka Tomasza, Genowefa Kwiatkowska, też musi żyć z amerykańską przeszłością. W styczniu 1936 roku wychodzi za mąż za Henryka Ostrowskiego, oficera. W prezencje od ojca dostaje kawałek ziemi po Trąbinem. W tym samym roku w grudniu rodzi piękną, ciemnowłosą córeczkę Jagusię. Wybuch wojny zabiera jednak męża i ojca bezpowrotnie. Dużo później Genowefa dowie się, że zginął w Ostaszkuwie jak inni polscy oficerowie. Sama cudem unika wywózki. Wraz z dzieckiem przenosi się do najstarszego brata, do Wrocławia. Tam pod fałszywym nazwiskiem dostaje pracę u Niemca, w sklepie obuwniczym. Udaje się jej dotrzeć do końca wojny. W okresie Polski Ludowej – jako wdowa po oficerze, a zarazem obywatelka USA – jest na celowniku władz. Ale w życiu osobistym układa się jej. Poznaje Adama Laskowskiego, rodzi drugą córkę, Marylę, potem Tomasza. Jagusia, gdy dorośnie, wyemigruje do Niemiec.

Genowefa umiera w wieku siedemdziesięciu dwóch lat, w roku 1987. Spoczywa obok drugiego męża, tuż przy mogile rodziców.

### PS

Przyjeżdżam za późno. Wszystkie dzieci Wincentego już nie żyją. Najmłodsza córka, Teresa, zmarła dwa lata przed moim pojawieniem się w Szczutowie. Jej mąż, podobno skarbnica wiedzy o rodzinie, umarł rok temu. Jesionowy pałacyk spłonął w latach 90., przez nieuwagę zaproszono ogień, wszystko znikło w okamgnieniu. Zdjęcia, pamiątki, listy.

Cmentarz w Płonnem. Jego mogiłę spostrzegam od razu. Jak przystało na ważną postać, spoczywa w okazałym grobowcu, przy głównej cmentarnej alei. Przyglądam się zdjęciu. Majestatyczny, podobny do wnuka. Kiedy rozmawia się z Tomaszem, trudno oprzeć się wrażeniu, że ma w sobie coś z dziadka. Zwłaszcza, gdy kroczy dumnie po okazałej posesji. Prawdziwy pan na włościach. Tak właśnie wyobrażam sobie dziadka Kwiatkowskiego. To nie była jego Ameryka. Znacznie ważniejsze okazało się małe Szczutowo.

STATE: New Jersey  
 COUNTY: Hudson  
 TOWNSHIP OR OTHER DIVISION OF COUNTY: Paterson

DEPARTMENT OF COMMERCE—BUREAU OF THE CENSUS  
**FOURTEENTH CENSUS OF THE UNITED STATES: 1920—POPULATION**  
 NAME OF INCORPORATED PLACE: Paterson, N. J.  
 DAY OF ENUMERATION: January 1920  
 ENUMERATED BY ME ON THE: Joseph J. Gagny—ENUMERATOR

1920  
 SUPERVISOR'S DISTRICT NO. 20  
 ENUMERATION DISTRICT NO. 52  
 WARD OF CITY: 56  
 SHEET NO. A

PLACE OF BIRTH	NAME	SEX	MARRIAGE	DATE OF BIRTH	CITIZENSHIP	EDUCATION			SIXTY AND MOTHER TONGUE			RELIGION	OCCUPATION	
						IN GRADE	IN HIGH SCHOOL	IN COLLEGE	IN GRADE	IN HIGH SCHOOL	IN COLLEGE			OTHER
1	Paterson	M	Married	1870	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
2	Paterson	F	Married	1875	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
3	Paterson	M	Married	1880	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
4	Paterson	F	Married	1885	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
5	Paterson	M	Married	1890	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
6	Paterson	F	Married	1895	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
7	Paterson	M	Married	1900	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
8	Paterson	F	Married	1905	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
9	Paterson	M	Married	1910	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
10	Paterson	F	Married	1915	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
11	Paterson	M	Married	1918	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
12	Paterson	F	Married	1919	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
13	Paterson	M	Married	1920	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
14	Paterson	F	Married	1921	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
15	Paterson	M	Married	1922	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
16	Paterson	F	Married	1923	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
17	Paterson	M	Married	1924	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
18	Paterson	F	Married	1925	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
19	Paterson	M	Married	1926	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
20	Paterson	F	Married	1927	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
21	Paterson	M	Married	1928	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
22	Paterson	F	Married	1929	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
23	Paterson	M	Married	1930	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
24	Paterson	F	Married	1931	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
25	Paterson	M	Married	1932	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
26	Paterson	F	Married	1933	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
27	Paterson	M	Married	1934	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
28	Paterson	F	Married	1935	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
29	Paterson	M	Married	1936	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None
30	Paterson	F	Married	1937	U.S. born	12	12	12	None	None	None	None	None	None

1718  
 564  
 564  
 142  
 140  
 586  
 10  
 11  
 12  
 13  
 14  
 15  
 16  
 17  
 18  
 19  
 20  
 21  
 22  
 23  
 24  
 25  
 26  
 27  
 28  
 29  
 30  
 31  
 32  
 33  
 34  
 35  
 36  
 37  
 38  
 39  
 40  
 41  
 42  
 43  
 44  
 45  
 46  
 47  
 48  
 49  
 50

Polak, katolik,  
Amerykan

→

s. → 2

5

2



DAWID  
BARBARZKAPolak, katolik,  
Amerykan

Amerykański Żyd, pochodzący z ziem dawnej Rzeczypospolitej, pisze w latach 70. powieść. Na jej podstawie powstaje musical *Ragtime*, z którego pochodzi piosenka *Henry Ford*. Tytułowa postać to słynny założyciel fabryki samochodów. Piosenka opowiada o pracy przy taśmie produkcyjnej w okresie międzywojennym:

*Ten opaski, ten zębatki,  
Ty zaś przewód zamontuj w czas.  
Auta idą wciąż w jedną stronę  
To Henry Ford, więc skłoń się w pas!  
Alleluja!  
Chwalcie stwórcę Modelu T!*

Bohaterowie musicalu, imigranci ze wschodniej Europy, często przywozili ze sobą wyłącznie ręce do pracy. A tego właśnie potrzebowały fabryki. Jakim językiem mówili właściciele tych rąk czy też to, w co wierzyli, miało drugorzędne znaczenie. Odtąd ich religią była praca, zaś świątynią fabryka. Piosenka kpi, że fordyzm ogarnie wkrótce cały kraj. Ale to tylko piosenka.

AMERYKANKA  
Z TARTAKIEM W TLE

Sobotnie, czerwcowe popołudnie we wsi Szafarnia. Leszek siedzi pod sklepem, odpoczywa przy piwku po pracy w pobliskim tartaku. Brudne spodnie, granatowe tenisówki przyprószone wiórami. Tuż obok, we dworoku Dziewanowskich, przed laty koncertował młody Chopin. Potem wyemigrował.

– Przejechałem całą Europę, a nigdzie nie jest tak przejebane, jak w Polsce – spracowaną ręką odkłada butelkę i sięga po papierosa. W tartaku pracuje od niedawna, wcześniej remontował budynki w Niemczech i Belgii, spawał w stoczni na Gibraltarze, za wschodnią granicą też był. Sądzi, że po niemiecku i rosyjsku można się dogadać w całej Europie. Z Kongresówki też uciekano na sezonowe roboty do Prus, tylko granica była bliżej. Dalej droga wiodła do Ameryki.

Wyjechać chciał zaraz po wojsku. Ale służył w łączności, a to w PRL wiązało się z zakazem opuszczania granic. Wyznaje, że dziesięć lat temu proponowano mu pracę w Ameryce. Odmówił, ma pod opieką starszą matkę. Jednak czuje, że na Zachodzie żyje się lepiej. Zbliży się do sześćdziesiątki, zarobiłby na wyższą emeryturę.

– Pewnie, że bym pojechał, *kein problem!* Ja się nie boję Ameryki ani Zachodu, niczego! Tylko że angielski to troszeczkę kulawo.

Nieznajomość języka zawsze była wyzwaniem dla imigrantów.

Dawno temu ktoś z Brooklynu pisał w liście do bliskich z Kongresówki: „Tylko mi brak czego, języka angielskiego. Każdy wieczór, od 7 godziny do 10, chodzę do szkoły uczyć się po angielsku”. A dzisiaj: – Trzy miesiące i po problemie! Dwie słuchawki do ucha, podstawowe odżywki, a resztę to nauczysz się w pracy! – Leszek jest pełen optymizmu. Kto zapraszał go do Ameryki? – Ja to właściwie powinienem na nią mówić „ciocia”.

W okolicy mówią o niej „Amerykanka”. Mówią, że przed laty jeździła czerwonym jeepem z rejestracją Michigan. Zimą mieszka w Golu-biu-Dobrzyniu, latem można ją spotkać w Szafarni. Dom na dużej działce pod lasem. Podobno lata temu przegoniła z bronią w rękę jakiegoś intruza, gdy panoszył się na jej terenie. Bez problemu wygrała proces, miała pozwolenie na broń, a odszkodowanie przeznaczyła na cele charytatywne. I zdecydowała się ogrodzić posesję.

– Jak będzie łańcuszek opuszczony w bramie, to znaczy, że jest – z tylnego siedzenia wyjaśnia Leszek. Wjeżdżamy na rozległe podwórze, wychodzimy, szukamy gospodarzy. Sympatyczną blondynkę zastajemy przy pracy w ogrodzie. Opalona, gustownie ubrana, wydaje się młodsza od Leszka. Nic dziwnego, że do cioci zwraca się po prostu „Krysia”.

– Jaka Amerykanka? Ja Polka z krwi i kości! – mówi, że wyjazd do USA to zamierzalne dzieje. Stan wojenny, trudna sytuacja rodzinna. Zamknięty rozdział. Wyjechała w czasach Jaruzelskiego, jak wielu innych. Chwali kulturę kraju, gdzie spędziła ponad dziesięć lat: – Mieszkałam w amerykańskim środowisku i wszyscy byli dla mnie superuprzejmi. Inny styl życia. Ale trudno mi się było przyzwyczaić. Gdybym wyjechała wcześniej, miałabym tam dzieci, rodzinę, byłoby inaczej.

W domu nigdy się nie przelewało. Co roku wracała zza oceanu do Bocheńca, łóżąc na ratowanie skromnej chałupy rodziców. Dziś mieszka sama, ale raz do roku odwiedza ją mąż. W okolicy mówią, że to chyba amerykański Żyd, a może Węgier, że ma rosyjskie nazwisko. Inni, że to „nie Amerykan, bo po polsku dobrze gadał!”.

– *Hello, nice to meet you!* – po kilku minutach dołącza do rozmowy, we własnej osobie. Uśmiechnięty, korpulentny mężczyzna o jasnych oczach. Biały T-shirt i czapka typu trucker, słowem: kierowca ciężarówki z amerykańskich filmów. Odstające białe włosy, trochę jak u Franklina na studolarówce. Od razu proponuje coś do picia i sięga do lodówki po zimną pepsa. Po chwili spogląda na Leszka i dodaje: – *Beer?* Chcesz piwo?

#### RODZINA FORDA

Krysia i Ted mieli polskich rodziców. Z tą różnicą, że on urodził się w Stanach. Ojciec, Jan Choroszy, pochodził z Galicji: – Turbia, bardzo blisko Sandomierza – uściśla Ted. Rozmawiamy po angielsku. Odkąd pamięta do ojca zwracano się „John”. Może jeszcze nazwisko wskazuje na słowiańskie korzenie, choć nieco je uproszczono: – Kiedy ojciec przyjechał do Stanów, zmienili mu Ch na H, bo ciężko było to wymówić – tak Jan Choroszy stał się Johnem Horoszy. Wyjechał na zaproszenie ciotki do Buffalo, wówczas szóstego co do wielkości polskiego ośrodka w USA.

– Zaczynał jako drwal – Ted rozpościera ramiona, pokazując jak ogromne drzewa ścinał ojciec. Potem trudził się przy równie wielkich piecach koksowniczych: fabryka Forda w Detroit dysponowała własną elektrownią i hutą. Tam pracował przez 36 lat.

Na podwórzu mieni się w słońcu czerwony Ford sprowadzony ze Stanów. Ted poszedł w ślady ojca. Znał się na metalurgii, przepracował u Forda 40 lat, głównie w ciężarówkach:

– *Więc jesteśmy Ford Family!*

Ojciec niewiele opowiadał o Polsce, nie planował powrotu: – Po co mam wracać, żeby tam umrzeć? – mawiał. Rzadko zresztą się widywali. Gdy Ted wracał ze szkoły, ojca już nie było, pracował popołudniami, wracał po północy.

Rodzice matki, Bielińscy, wyemigrowali do Buffalo z terenów dzisiejszej Ukrainy, ale uważali się za Polaków. Mieli liczne potomstwo, jednak to właśnie Daniela przysłała na świat jako pierwsze dziecko na emigracji. Czytała polską prasę, po polsku rozmawiała z rodzicami, a później z mężem, Johnem Choroszym. Perfekcyjnie znała angielski.

– Moja matka chciała być Amerykanką! Lata temu, gdy przyjeżdżałeś do Ameryki, nie chciałeś być Polakiem czy Włochem, czy kimś, chciałeś być Amerykaninem!

Być może dlatego rodzice nie naciskali, by Ted uczył się polskiego.

– Oni mówili po polsku, ale nie zwracałem na to uwagi, bo jestem Amerykaninem. Dlaczego miałbym mówić po polsku? – pyta samego siebie. Dziś po siedemdziesiątce, wydaje się nie pamiętać, jak prawie czterdzieści lat temu wybrał się do Krakowa. Chciał przyjąć obywatelstwo, ożenić się. Ale nie umiał się odnaleźć w Polsce. Jak bardzo się ucieszył, gdy po powrocie do Stanów okazało się, że czeka tam na niego polska kandydatka na żonę.

Krysia wyjeżdża do Stanów na zaproszenie chrzestnej. To dzięki niej poznaje Teda. Małżeństwo daje jej oparcie w czasach stanu wojennego. Dla teściowej jest jak córka, razem lepią pierogi, co niedzielę gotują rosół. Mimo to ciężko jej przywyknąć do Stanów. Po ślubie coraz częściej wraca do Polski. Ted przystaje na jej coroczne wyjazdy. Pewnego dnia żona decyduje na dobre pożegnać się z Ameryką. Dzisiaj, po wielu latach, to on każdego roku odwiedza Krysę w Polsce. Ona mówi do niego po polsku, on rozumie, ale odpowiada po angielsku. W Stanach ma dom, samochody i motocykle. A w Polsce? Nie ma tu przyjaciół, nie znosi polskiej zimy. W Krakowie mieszka kuzyn, ale nie utrzymują bliższego kontaktu.

– Nie mam tu co robić. Gdyby nie ona, nigdy bym tu nie przyjechał.

Ted podkreśla, że rodzice byli katolikami. Nie bywa w kościele tak często jak oni, choć w dzieciństwie był ministrantem, a w piątki zwykle jada rybę na obiad. W Detroit było kiedyś wielu katolików. Gdy w 1910 bracia Dodge otworzyli fabrykę w pobliskim Hamtramck, miasto szybko zmieniło się w polską enklawę z katolickimi parafiami. Jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku Polacy stanowili w Hamtramck 90 procent ludności. Dziś przeważają imigranci z Jemenu i Bangladeszu, a miasto ma siedem meczetów, najwięcej na głowę w skali kraju. W 2015 muzułmanie uzyskali większość w radzie miejskiej. Ted nie patrzy przychylnie na te zmiany. Zapytany jednak o obecność Latynosów w USA, odpowiada: – Lubię Meksykanów. Są dobrymi pracownikami. I katolikami.

Sobotni wieczór przed plebanią w Płonnem. Przy pobliskiej Górze Modrze-  
wiowej Dąbrowska pisała kiedyś *Noce i dnie*. Ksiądz proboszcz podlewa  
ogródek. W białym podkoszulku i spodenkach wygląda z dala jak ogrodnik.  
Pusty kościół zapełnią w niedzielę parafianie z pobliskich wsi. Ich przod-  
kowie, ukryci w parafialnych księgach, nie zawsze przychodzili na świat  
w sąsiedztwie kościoła. W rubryce miejsce urodzenia: „Pitsburg u.s.a.”,  
„Elisabeth” czy po prostu „Ameryka”. Dziś spoczywają na tutejszym  
cmentarzu.

Dawne listy z Ameryki przesyłane są wiarą: „Donosemy wam ze  
jeździeśmy dzienka Bogu Najwesemu zdrowi i nasza czureczka jest nam  
zdrowa z łaski Pana Boga”. Zawdzięczano mu każde powodzenie i powie-  
rzano wszelki plan: „jeżeli nam Pan Bug da zdrowie i wam to bratu Anto-  
niemu przyślemy syfkarte”. W parafii znajdowano oparcie w początkowym  
okresie adaptacji do nowego środowiska. Miejsce spotkań, ostoja swojsko-  
ści, często też szkoła. W kraju chodziły plotki, że w Ameryce „nima do-  
brego katolictwa”, że nie znajdują tam kościołów. Znaleźli, choć początkowo  
sami musieli je wznosić, bo „kto Pana Boga kocha i Matkę Boską, to się  
stara i płaci na kościół”.

Na wsi mówią, że mało kto pamięta o dawnej emigracji, a już  
na pewno nie młodzież. We wsi Łubki mieszka widać wyjątek. Na ławie  
w salonie Jachowskich czeka już drzewo genealogiczne. Piotrek z zaan-  
gażowaniem rozwija rulon. Zerkając zza okularów, wskazuje poszczególne  
nazwiska i sypie faktami o przodkach sprzed lat. Matka patrzy na syna  
z dumą. To właśnie jej pradziadkowie, Władysław i Petronela Stefańscy,  
zostawiają rodzinny Półwiesik i w 1893 wyruszają do Ameryki. Trafiają do  
Chicago, gdy w mieście ukazuje się broszura *O emigracji, a w szczegól-  
ności o emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki*.  
Modest Maryański, inżynier górnictwa, apeluje w niej do Kościoła w Pol-  
sce, by wspierał powstawanie polskich instytucji. Niemcy i Irlandczycy  
założyli nie tylko własne banki, ale i diecezje. A Polacy, stanowiący piątą  
część amerykańskich katolików, wciąż nie mają własnych biskupów. Ko-  
ścioły buduje się ze składek, brakuje organizacji dobroczynnych, parafii,  
polskich szkół.

W maju 1903 Stefańskim rodzi się syn Józef. Trzy dni później  
Władysław niesie niemowlę do kościoła św. Michała Archanioła, nowej  
parafii dla polskich pracowników pobliskiej huty. Piotrek pokazuje nam  
metrykę chrztu pradziadka, podpisaną przez Pawła Rhodego, który pięć  
lat później zostanie pierwszym biskupem amerykańskiej Polonii.  
Stal, którą Stefański i jego koledzy wytapiają w U.S. Steel South Works,

posłuży biskupowi do budowy monumentalnego kościoła, wzorowanego na krakowskiej Bazylice Mariackiej. Polacy z Chicago, ku zdziwieniu innych nacji, nie oszczędzą pieniędzy na wystawne świątynie. *Polish Cathedral style*, tak architekci określą później ich styl. Dziś parafia św. Michała jest silnie zlatynizowana, a obok Madonny Częstochowskiej, czci się tutaj też z Guadalupe.

Dziesięcioletni Józef wróci z rodzicami do Polski, osiadą na małym gospodarstwie w Półwiesku. Piotrek pokazuje zdjęcia dorosłego już pradziadka: tu z kolegami z wojska w Wilnie, tam z żoną i córką przed domem. Dzięki amerykańskiej metryce chrztu wiele lat później Ludwika, jedna z córek Józefa, otrzyma obywatelstwo i trafi z mężem do stanu Nebraska. Piotrek czasem rozmawia z ciotką i jej rodziną przez Skype'a: – Proponowaliśmy, żebym przyjechał na studia Wyolbrzymiają tę Amerykę, że taka wspańska, a Polska taka szara. Ojciec Piotrka dodaje: – Oni wyjechali kupę lat temu, w latach 80., to wtedy szaro było. Ale się rozwidniło!

Ciotka Ludwika jest dwujęzyczna, choć pisanie po angielsku sprawia jej trudność. Drugie pokolenie ma podobny problem, ale z polskim. A trzecie? – Jej syn ożenił się z Włoszką, drugi ze Szwedką. Wszystko się pomieszało. Wnuczki już nawet polskiego języka nie znają.

SISTER WITKOWSKA  
Ź FATHER DERESZEWSKI

Wśród przodków Piotrka byli też duchowni, którzy służyli emigrantom na wschodnim i zachodnim wybrzeżu USA. Zanim na świat przyszedł Józef Stefański, do Ameryki wyjechały trzy siostry jego matki, Petroneli Witkowskiej. Jedna do Nowego Jorku, druga do Chicago, a trzecia do Kalifornii, gdzie Polaków było zdecydowanie mniej. Przeglądamy stronę internetową rodu Stefańskich i Dereszewskich. Na kanapie obok komputera poduszki ze Statuą Wolności. Nie wszystkie historie rodzinne Piotrek usłyszał od rodziców czy dziadków. Jego wujek z Warszawy, profesor Polskiej Akademii Nauk, zebrał kiedyś rodzinne zdjęcia, wspomnienia i spisał wszelkie możliwe genealogie.

Po trzeciej siostrze Witkowskiej zachowało się jednak tylko zdjęcie. Spogląda z niego młoda zakonnica: gładka i pełna spokoju twarz, okulary, modlitewnik w ręku. Nie wiadomo nawet, jak miała na imię: Maria, a może Marta. Czym się zajmowała? Czarny habit z wydatnym białym kołnierzem i wyjątkowo wysokim czepkiem wskazuje na zgromadzenie Sióstr Świętej Rodziny. Założyła je w 1872 młodziutka Lizzy Armer, emigrantka z Australii, która jeszcze jako dziecko trafiła do San Francisco. Kalifornijska gorączka złota sprawiła, że w mieście obok biedoty żyli milionerzy.

Dzieci robotników często pozostawały bez opieki. To właśnie im poświęciły się Sisters of the Holy Family, do których wstąpiła Witkowska. Tworzone przez zgromadzenie domy opieki dziennej zapewniały dzieciom imigrantów posiłki i zajęcia, zakonnice były więc pionierkami przedszkoli na wschodnim wybrzeżu USA. Większość podopiecznych sióstr pochodziła z rodzin irlandzkich i włoskich. Potem dołączyli do nich mali mieszkańcy Chinatown. Nie wiadomo, dlaczego Witkowska nie osiadła wraz z siostrą w Chicago, gdzie jako nazaretanka mogłaby pracować z polskimi dziećmi.

Wśród amerykańskich przodków Piotrka jest jeszcze jeden duchowny spokrewniony z jego prababcią. „U nas teraz wesoło bendzie bo dostaniemy polskiego księdza na zawsze niedługo” – pisze emigrant z Schenectady w stanie Nowy Jork. Może nadawca miał na myśli młodego Józefa Dereszewskiego? W grudniu 1891 Józef, tuż po amerykańskim seminarium, odprawił swą pierwszą w życiu mszę. Krótco potem trafił do Schenectady. Podobno na stacji kolejowej czekał rozradowany tłum polskich imigrantów, którzy odprowadzili go do niemieckiego kościoła St. Joseph. Już po roku zorganizowano polską parafię, a po dwóch zbudowano kościół Matki Boskiej Częstochowskiej. W piwnicznej salce ksiądz Józef oraz jego niezamężna siostra Felicja prowadzili szkółkę dla 50 podopiecznych. Dzieci, jak to dzieci, bawiły się, a może przysypiały, gdy opowiadano im o nigdy niewidzianym kraju.

Parafia szybko zaczęła pękać w szwach. Dereszewski postawił więc nowy, granitowy kościół i trzypiętrową szkołę dla 450 uczniów. Dawni asystenci księdza zakładali kolejne wspólnoty, a wielu jego parafian w czasie pierwszej wojny światowej przywdziało we Francji mundury armii Hallera. Piotrek wyświetla na komputerze kolejne zdjęcie: dozorca cmentarza St. Mary's w geście pamięci o zmarłym Dereszewskim składa kwiaty na jego okazałym nagrobku. Ojciec księdza nie doczekał podobnych honorów, nie widział nawet dokonań syna. Zmarł na statku płynącym do Ameryki, a jego ciało spoczęło w Atlantyku.

#### JA I MÓJ OGRUDEK

„Włodzimierz, zawsze uśmiechnięty i wesoły. Przebył 4 i ½ lat w armii. Był w Europie w czasie wojny, ale Bóg dał, że wrócił szczęśliwie, dokończył studia i dziś ma dobrą pozycję. Bardzo dobry chłopiec. Był całą naszą pociechą i opiekunem w czasie choroby ojca”. Na odwrocie zdjęcia młody mężczyzna w garniturze. Wydatny nos, czarne lśniąco włosy zaczesał do tyłu. Podczas drugiej wojny światowej wspierał w Europie aliantów. Czy walczył za Europę, czy za swą nową ojczyznę? Krystyna Stasiak nigdy go nie spotkała. Nie widział go nawet jej ojciec, ani dziadek

Julian. Musiało wystarczyć tych kilka słów na fotografii z Detroit. Brat dziadka, Rupiński, wyjechał za chlebem jeszcze przed pierwszą wojną. Nie wiedział, co spotka go za oceanem, zostawił więc pod opieką Juliana trójkę swych dzieci. Później również i one trafią do Ameryki. Nie zapomną jednak o opiece, jakiej doznały w Płonnem od dziadków Krystyny:

– I te dzieci nawiązały kontakt z moim ojcem – opowiada przed swoim domem w Płonnem, pełna klasy i energii. Na ogrodowym stole herbata z własnej mięty. Obok zdjęcia, które ojciec dostawał z Ameryki. – Paczki nam przesyłali, takie żywnościowe i odzieżowe. Pończochy, chustki, kawę, kakao, pieprz. To, czego nie było.

Czarnobiałe podobizny kuzynek z dziećmi oraz dziećmi tych dzieci. Włodzimierz miał brata Waldego, a ten córeczkę Marylkę. „Waldy starszy, Włodzimierz młodszy” – wyjaśnia ktoś na zdjęciu. Krystynie trudno ich wszystkich rozróżnić. A przecież oni o krewnych z Polski wiedzieli jeszcze mniej: – Była komuna, to bieda była, kto tam miał aparat? Potem oni się postarzel, bo byli gdzieś w wieku mojego ojca. No i kontakt się urwał. Wnuki już nie znają polskiego. Nawet ich rodzicom zdarzało się zapomnieć języka, zwłaszcza w piśmie. Jedno ze zdjęć opisano „ja i mój ogrudek”, drugie „ja i moja curka Helen”. Czy kłopoty z ortografią nadawca zabrał z sobą do USA, czy też przyniosły je dopiero lata spędzone na emigracji? Na kolejnym zdjęciu Marylka w białym stroju, w tle choinka i prezenty. Podczas jasełek grała aniołka. Może już w anglojęzycznej szkole, a może jeszcze w polskiej parafii?

– Jak była ta wojna w Wietnamie, gdzie Ameryka wojowała, to już później oni mieli swoje problemy, już te wnuki tam wojowali na tej wojnie. W spisie weteranów wojennych *Vietnam Veterans Memorial Fund* widnieje niejaki Bernard Francis Rupinski. Trafiam na jego historię w internetowym artykule. Bernie dorastał w dolinie Wyoming, był dobrym sportowcem, grał w kosza. Potem wstąpił do armii i ożenił się ze Szwedką. Jego córeczka nie miała nawet roku, gdy w czerwcu 1968 w Północnym Wietnamie zestrzelono myśliwiec, którego był drugim pilotem. Dwadzieścia lat później w hrabstwie Luzerne weterani z Wietnamu stawiali pomnik kolegom, którzy mieli mniej szczęścia. Do dziś widnieje na nim nazwisko Rupińskiego.

Krystyna swych zmarłych bliskich ma tuż obok, na cmentarzu parafialnym w Płonnem. Niedawno zresztą wróciła z pogrzebu. Nie zna losów bohatera z Wietnamu, który walczył za swoją nową ojczyznę. Nie nad nim dziś płacze.



Przy drodze wychodzącej z Szafarni stoi piętrowy dom. Na jego balkonie odpoczywa w słońcu osiemdziesięcioletni mężczyzna. Kazimierz Sobkiewicz połowę życia przeżył jako wdowiec. Po zmarłej tragicznie żonie pozostały fotografie, które wyciąga z foliowej paczki. Wielu postaci nie rozpoznaje: – Kto to jest na tych zdjęciach? – otwiera kolejne szafki, nie pamiętając, gdzie schował pamiątki po krewnych z Ameryki. Często stuje czekoladkami z bombonierki, jemu cukrzyca nie pozwala.

W końcu trafia mu w ręce obrazek z wizerunkiem uśmiechniętej zakonnicy. Napis pod zdjęciem informuje, że Mary Peter zmarła w 2012 po sześćdziesięciu latach służby u felicjanek w Chicago. Kazimierz mówi, że od ciotki „Marii Pietry” często przychodziły listy. Ostatni i jedyny, jaki się zachował, przesała Frances, rodzona siostra zakonnicy. List napisała drukiem, bez polskich znaków. Z treści wynika, że Mary Peter miała wielu przyjaciół, nie tylko w zakonie: „Było mi bardzo miło gdy 36 osob z St. Paul przebyło 640 km do Chicago aby przekazać Siostrze ostatnie pożegnanie. Dla wielu Siostra była droga Ciocia”. Frances podkreśla polski charakter uroczystości: „Siostry zakonne śpiewały po polsku, angielsku i rzymsku. Mary Peter została pochowana na polskim cmentarzu w Chicago w pobliżu zakonu. Po uroczystościach pogrzebowych odbyła się stypa w polskiej restauracji, przy polskich tradycyjnych potrawach”. Swobodą świętowania w polskim stylu emigranci okresu zaborów cieszyli się dopiero w nowej ojczyźnie. W jednym z listów czytamy: „Bo Ameryka to jest nowa Polska (...) Bo sobie w kościele polskie pieśni śpiewamy, nie boim się nikogo, nikt nam nie zabroni”.

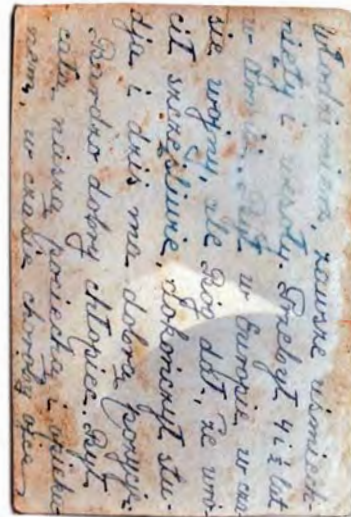
Radości ze swobody świętowania towarzyszyła niekiedy tęsknota za bliskimi, szczególnie dojmująca w okresie świątecznym. „Dziękujemi, że (...) o nas nie zapomniana, bo choć w tak dalekim kraju to jednak się opłatkami dzielita” – pisano przed stu laty. Również Frances w swym liście nie zapomina o świątach: „W czasie corocznego dzielenia się opłatkami będziemy sobie składać wzajemne życzenia zdrowia, szczęścia, pomysłności. Także przy tej okazji wspominać będziemy najbliższych, którzy od nas odeszli na wieczny odpoczynek. Wam kochani z okazji Świąt Bożego Narodzenia również życze wszystkiego najlepszego. Mocno sciskam i całuje”. List podpisuje swym polskim imieniem: „Frانيا”.

W reportażu wykorzystano fragmenty listów z książki *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891*, oprac. i wstęp W. Kula, N. Assorodobraj-Kula, M. Kula, Warszawa: Biblioteka Iberyjska 2012; fragment piosenki *Henry Ford* z musicalu *Ragtime* (tekst Lynn Ahrens, tłum. własne); broszurę M. Maryański, *O emigracji, a w szczególności o emigracji polskiej do Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, Chicago 1893*; stronę internetową rodziny Stefańskich i Dereszewskich (<http://www.dereszewski.waw.pl>), parafii św. Michała Archanioła w Chicago (<http://www.saintmichaelchicago.org/History.aspx>) oraz profil *Archives – Sisters of the Holy Family* w serwisie Historypin (<https://www.historypin.org/en/person/49637#!photos%2Flist%2F>); książkę D. J. Kavanagh, *The Holy Family Sisters of San Francisco*, San Francisco 1922; artykuł J. Halpin, *Bounded by War. Vietnam Veteran Pays Tribute to Fallen Pilot* oraz J. Piatt, *A Tribute to Lt. Bernie Rupinski, U.S. Navy – A Wyoming Valley Warrior, a Vietnam Hero* z „The Citizen’s Voice”.



85  
.....

Maria (Marta?) Witkowska:  
tajemnicza zakonnica z San Francisco.  
Archiwum państwa Jachowskich  
fot. Dawid Barbarzak

86  
.....

[Płonne-Plebanka]  
Nigdy niespotkany krewny i krótki opis jego  
życia. Archiwum Krystyny Stasiak  
fot. Dawid Barbarzak



87

.....

[Płonne-Plebanka]  
Śpiewnik kolędowy przysłany  
z Detroit od rodziny Foksińskich.  
Własność Wiesława Ostrowskiego  
fot. Dawid Barbarzak

88

.....

[Giżynek]  
Figurka Matki Boskiej  
w domu państwa Gulakowskich:  
„Ona tu sobie stoi i niech stoi”  
fot. Dominika Szelązek









**ALGIDA**  
**MAGNUM**  
 25 YEARS OF PLEASURE

**Oni żyją**  
**KROWKA-KUKULKA**  
 220 ml 270

Go bajzeleni...  
 Co kochasz na wigilię...  
 znowu słodyczy...  
 nie wstydź się okazać miłości Korall!

**Korall**  
 2016

WYGRANA W LOTERII  
 Korall 2016  
 www.paranakorall.pl  
 www.korall.com.pl

**Iglon**  
 Radość jedzenia

**BIG Milk**  
**NOWOSC**  
**COOKIE**

**BIG Milk**  
**NOWOSC**

**GRAND**  
 220 ml 270

**NOWOSC**  
**GRAND**  
 322

**GRAND**  
 220 ml 270

**Roller**  
**NOWOSC**  
 150

**faciate**  
**NOWOSC**

**rozek**  
 170

**TOP MILKER**  
 150

**OSHEE**  
**vitamin**  
**NOWOSC**  
 192

**NOWOSC**  
 100

**faciate**  
**NOWOSC**

**faciate**  
 130

**NOWOSC**  
 150

**NOWOSC**  
 150

**NOWOSC**  
 150

**faciate**  
**NOWOSC**

**faciate**  
 150

**faciate**  
 170

**faciate**  
 170

**faciate**  
 170

**Iglon**  
 Radość jedzenia



Certificate of Birth and Baptism - Testimonium Ortus et Baptismi	
ST. MICHAEL'S CHURCH 83rd and SOUTH SHORE DRIVE, CHICAGO, ILL.	
Child—Infans <i>Józef Stefański</i>	Place of Birth—Solum Natus <i>Chicago, Illinois</i>
Parents—Parentes <i>Józef Stefański</i> <i>Petronela Wolkowski</i>	Date of Birth Dies Natalis <i>Mar. 19 1903</i>
Sponsors—Patrimi <i>T. Mikolajczak</i> <i>A. Byszka</i>	Date of Baptism Dies Baptismi <i>Mar. 27 1903</i>
	Minister <i>Rev. P. Rhode</i>
	Certified by—Subscriptor <i>Rev. M. Waniak</i>
(For remarks see other side)	(Adaptation in large)

90  
.....

89  
.....  
[Ruże]  
Witryna sklepowa  
fot. Dominika Szelązek

Świadectwo chrztu  
Józefa Stefańskiego z podpisem  
Pawła Rhodego, parafia  
św. Michała Archanioła w Chicago  
fot. Piotr Jachowski

# Domy za dolary

→

s. → 2  
6  
8



MIELEWCZYK  
MARCINDomy  
za dolary

Marzysz, by spełnił się twój *American dream*? Willa zaprojektowana w niepowtarzalnym amerykańskim stylu może być twoja! Wystarczy, że weźmiesz udział w loterii. Do wygrania dom o znacznej wartości – kuszą firmy budowlane, biura architektoniczne, a nawet fundacje promujące styl amerykańskich domów.

Czym charakteryzują się amerykańskie domy? Strony internetowe poświęcone architekturze wyjaśniają: „Z punktu widzenia technicznego, są one lekkie, stosunkowo tanie i bardzo często składają się z gotowych elementów, dzięki czemu łatwo i szybko można je wybudować. Klasyczny dom amerykański jest biały, jednopiętrowy ze spadzistym dachem. Wykonany zwykle z drewna, jest lekki i wygodny. Projekt dużego rodzinnego domu idealnie obrazuje ten styl. Drewniana biała boazeria idealnie się komponuje z szarym dachem. Architekci nie zapomnieli o klasycznej werandzie idealnej na odpoczynek w ciepłe dni. Ten eklektyzm wynika chyba z natury samego kraju, który składa się przecież z imigrantów. Łamanie zasady dozwolone – liczy się przecież efekt końcowy”.

*Amerykańska weranda – tzw. porch. Jest to jeden z elementów, który wyznacza styl domu. Obszerna, biała, zadaszona to pierwszy podstawowy element amerykańskiego domu. Często zdecydowano się na znacznie większą niż zwykle werandę, umożliwiając w sezonie letnim urządzenie jadalni na świeżym powietrzu.*

#### DUPLEX

Na podwórku siedzi staruszka i patroszy ryby. Skrobie, odcina główki. – Dostałam je od sąsiada – tłumaczy, drapiąc się pod nosem ręką całą w rybich łuskach.

Mieszka w Radzynku od urodzenia. Jej babcia osiedliła się tu po powrocie z Ameryki. Ze Stanów wróciła z dwójką dzieci. Miały wówczas po kilka lat, ale doskonale zapamiętały, jak wielką wodą płynęły.

– Mój dziadek został w Ameryce i tam zmarł na zapalenie płuc. Był muzykiem, skrzypkiem. Podobno grywał przy otwartym oknie. Jak zaczął się kryzys na nowojorskiej giełdzie, babcia uciekła do Polski. Ludzie w ogóle wtedy uciekali. A brat obiecywał w listach, że da jej tu ziemię. Wróciła i wybudowała dom za pieniądze, które mąż słał z Ameryki.

Niezbyt duży, bo też czasy były niepewne. Parterowy, zbity z desek, przywodzi na myśl serial *Domek na prerii*. Wyróżnia się typową amerykańską werandą i podwójnymi drzwiami jak do saloonu. Wiele okien umieszczonych obok siebie zapewnia dopływ światła słonecznego do całego wnętrza, mimo że same okna są niewielkich rozmiarów. Sprawia to wrażenie przestronności. Dom zbudowany został w latach 30., więc do współczesnych standardów brakuje mu choćby łazienki.

Po przeciwnej stronie ulicy stoi drugi bliźniaczko podobny dom. Postawiła go wnuczka, na wzór tego, w którym żyła jej babcia. Choć wzniezione dużo później i w innych okolicznościach, to wystylizowali go z mężem na „amerykański”. Budowali w latach 70., tym razem już nie za przysłane zza oceanu dolary. Projekt miał współgrać z otoczeniem, dlatego budynek jest szeroki i dość niski, sprawia wrażenie, jakby wrastał w ziemię. Drewniany, z wysuniętą werandą, wyglądem kontrastuje ze współczesnymi murowanymi zabudowaniami.

Do dziś są to jedyne dwa „amerykańskie” domy w Radzynku.

*Dachy domu amerykańskiego są skomplikowane. Projektowanie domu z dachem dwuspadowym na modłę amerykańską praktycznie mija się z celem. Nie można uzyskać efektu «amerykańskiego domu» bez skomplikowania dachu.*

*Oczywiście w naszych warunkach taki dach jest często droższy, ale to należy wiedzieć, decydując się na dom w stylu amerykańskim.*

DOM ZROBI  
DLA CIEBIE WSZYSTKO

Sołtys pobliskiej wsi także miał rodzinę w Ameryce. Mieszka na końcu drogi, ale i tak wie o wszystkim. Jego dom to duży budynek z czerwonej cegły. Okazały, dwa piętra i strych. Z tyłu zabudowania gospodarskie, z przodu wielkie wrota dla ciągników. Pomiędzy, na brukowanym placu, biegają psy i ujadają na przechodzących.

Bruk położył jego pradziadek. On także postawił inne zabudowania w gospodarstwie. Mógł sobie na to pozwolić. W końcu budował za dolary przywiezione z Ameryki.

Wyjechał wraz z żoną w 1896 roku. Zaraz po tym, jak w sąsiedniej wsi Mazowsze wzięli ślub. Nie zdecydowali się na zostanie w rodzinnych stronach. Sprzedali skrawek ziemi i kupili bilety w jedną stronę. On na miejscu pracował przy wycince drzew, ona jako kucharka. W Stanach byli pięć lat. Widać się dorobili, bo jak wrócili, kupili ośmiohektarowe gospodarstwo i wybudowali na nim dom.

Zabudowania, jakie chcieli postawić, miały być proste i wykonane z łatwo dostępnych materiałów, a przede wszystkim funkcjonalne. Zaprojektowane na planie koła wszystkie budynki zostały połączone wspólnym dachem. Ułożone w okrąg, płynnie przechodziły z jednego w drugi. Z domu mieszkalnego w magazyn sprzętów gospodarskich, z magazynu w stodołę, i dalej w chlew. Tylko w jednym miejscu zostawiono przerwę na bramę wjazdową. Wygląd budynków przez te wszystkie lata znacząco się zmienił, ale ich układ pozostał ten sam.

Ze Stanów wrócili z trzema córkami. Najstarsza miała wówczas pięć lat. Gdy dorośnie, jedyne wspomnienie, jakie przekáže wnukom, to obraz wielkiej wody. I nic poza tym.

– Wrócili. Widocznie tęsknili za domem – domyśla się sołtys.  
Za domem, który musieli sobie dopiero zbudować.

*Bryła, a co za tym idzie rzut zwany planem, jest nieregularny. Są uskoki, duże wykusze, bryły w kształcie litery L i rozszczepione od podstawowej bryły pomieszczenia, takie jak garaże i budynki gospodarskie połączone z domem jedynie przewiązką.*

MAŁY WIELKI CZŁOWIEK

– A mój dziadek to do Argentyny pojechał – zza ściany dobiega kobiecy głos. Należy do żony sołtysa, która nieśmiało wychyla się zza drzwi. Opowiedana historia wyraźnie ją zajmuje. – Tam pracował troszkę, a jak wrócił, to postawił za dolary dom w Mazowszu.

Ignacy Zgliński do Argentyny pojechał, gdy miał dwadzieścia lat. Zmówił się z kolegą i razem popłynęli, w ciemno. Pewnie szukać lepszego życia. Na okręcie spędzili okrągły miesiąc. W rodzinnej wsi Ignacy zostawił żonę i córkę, których już nigdy nie zobaczył. Prawdopodobnie wyprowadziły się z okolicy. Ich małżeństwo nie przetrwało rozłąki. Po powrocie Ignacy ożenił się ponownie i miał dwóch synów, Włodzimierza i Adama Tadeusza.

W Argentynie spędził ponad dwa lata. Zarabiał ponoć dość dobrze, choć nie wiadomo, co dokładnie robił. Jedni mówią, że tyrał na kolei, gdzie kładł tory, inni zaś, że pracował na farmie, ścinał trzcinę i zbierał kukurydzę. Mieszkał z innymi robotnikami w szałasach zbudowanych z iglastych gałęzi araukarii. Spali i jedli na drewnianych belkach.

Ignacy wrócił z Argentyny w 1927. Do domu zawitał jednak tylko na chwilę, po czym wyjechał do Niemiec, gdzie przez dwa lata pracował na linii produkcyjnej w fabryce czekolady. Po powrocie zabrał się za stawianie nowego domu, który przetrwał do dziś. Zbity z ułożonych pionowo desek, z jednym tylko oknem od frontu i ogródkiem wokół, niczym szczególnym się nie wyróżnia. Wysunięte wejście z przedsionkiem sugeruje, że został postawiony na planie litery L. W rzeczywistości jest to prostokątny projekt z dobudowanym gankiem. Tak było najprościej.

W sąsiedniej wsi, na szczycie stromej góry, mieszka syn Ignacego, Włodzimierz. W jego domu trwa właśnie remont dachu. Po podwórku kręcą się ludzie, czuć zapach palonej gumy i sosnowego drewna, a uszy wypełnia nieustanny warkot maszyn. Historię ojca pamięta jak przez mgłę. Jedyne pamiątką, jaką po nim posiada, jest pożółkła fotografia przedstawiająca mocno już łysiejącego gospodarza z sześciolatkiem synkiem na kolanach.

Obecnie w domu Ignacego nie mieszka już nikt z rodziny Zglińskich. Włodzimierz sprzedał go znajomej, która szukała nowego lokum. Ona sama nie zna historii domu. Może zastanawia ją stary układ i to, że nie jest murowany.

Sąsiedzi zdają się pielęgnować mit bogacza, który dorobił się za oceanem i za zgromadzone pieniądze postawił sobie dom.

– Bogaty zgreń przyjechał, tak mówili. A on z tego, co przywiózł, rower sobie kupił – wyjaśnia Włodzimierz. Pierwszy rower we wsi. To właśnie dzięki niemu znalazł stałą pracę i nie musiał już więcej wyjeżdżać. Został listonoszem i do wybuchu wojny rozwoził listy po okolicy.

#### ..... KANON BUDOWLANY: ELEWACJA .....

*Elewacja domu amerykańskiego jest rozrzeźbiona. Mamy tam gzymsy, rynnę gzymsowaną, wiele elementów drewnianych, rozbudowane obudowy okienne, duże kominy, tarasy i werandy z drewna lub kompozytu.*

#### ŁAKOME KĄSKI

W 1917 roku trzech braci popłynęło do Ameryki. Najpierw dotarli koleją do portu w Gdyni. Tam po raz pierwszy zobaczyli morze. Następnie statkiem do Stanów. Antoni, Jan i Franciszek Czarnecki, wszyscy mieli wtedy po dwadzieścia parę lat. Na miejscu szybko znaleźli pracę. Jeden z nich został stolarzem, dwaj pozostali mechanikami samochodowymi. Ówczesny przemysł motoryzacyjny rozwijał się pełną parą, nic dziwnego, że tylko jeden z rodzeństwa wrócił do kraju. Jednak nie z pustymi rękoma. Antoni przywiózł ze sobą lśniącą kolekcję nowych narzędzi stolarskich. Chciał otworzyć własny warsztat.

Kandydat na męża z Ameryki był łakomym kąskiem w rodzinnym Mazowszu. Miał już około czterdziestki, kiedy ożenił się z panną młodszą o dwadzieścia lat. – Wzięłam starego kawalera, ale przynajmniej Amerykan! – mówiła. Choć przez długi czas pracował w Stanach, nigdy nie nauczył się języka. Taki z niego Amerykan. – Ruski już prędzej pojme – powiadał.

Antoni zarobił w Ameryce na tyle dużo, że stać go było na 19 hektarów ziemi wraz z budynkami gospodarskimi. Potem zabrali się z żoną za budowę domu. Za dolary wynajęli majstrów, uwinęli się w niespełna rok. Ściany ozdobili gzymsami i wzorami ułożonymi z cegieł. Nawet nadproża, elementy konstrukcyjne nad oknami, nie były zwyczajne, ale uformowane

w łuk. Budynek ustawili krótszym, bardziej okazałym bokiem w stronę ulicy tak, żeby prezentował się urokliwie wśród drzew. Zamieszkali w nim w 1937 roku.

Dwa lata później dom miał już nowych, niemieckich właścicieli. Podobnie jak komplet narzędzi stolarskich. Od powrotu ze Stanów Antonii nie miał okazji ich użyć. Stracił wszystko. Nowiutkie heble, dłuta i świdry nie doczekały swojej premiery w budowanym przez niego warsztacie.

Po wojnie dom wrócił w ręce rodziny Czarneckich. Odzyskał go syn Franciszek i zamieszkał w nim na stałe. O ojcu przypomina mu wyryta na cokole data 1937.

KANON BUDOWLANY:  
.....  
SPLENDOR  
.....

*Wysoki salon to taki otwarty na dwie kondygnacje. Zapomnij o praktyczności. W salonie spędzasz najwięcej czasu! Doświeć go wielkimi oknami i mieszkać jak gwiazda. Z pewnością każdy będzie ci zazdrościł.*

DYSKRETNY UROK LUKSUSU

Świętosław, droga na Piotrowo. Na uboczu stoi schowany za wysokimi cyprysami dom. Prawdziwy amerykański dom. Bogata willa. Dwupiętrowa, z wykuszowymi oknami na poddaszu. Skomplikowana linia dachu nadaje budynkowi charakteru, a nieregularny plan sprawia, że jego układ wydaje się nieoczywisty. Gdzieś widać zdobienia na elewacji. Z boku dobudowano garaż, z tyłu zaś werandę połączoną z kuchnią. Dom otacza kunsztownie kuty płot, a misternie ułożony z bruku herb zdobi podjazd. Całości dopełnia trampolina ustawiona w ogrodzie.

Jest to dom Krzyśka. Zbudował go dla rodziny, pracując na emigracji. Pierwszy raz wyjechał, gdy miał dwadzieścia dwa lata. Do Włoch, gdzie przez pół roku nosił cegły na budowie. W ten sposób zarobił na swoje wesele.

Przez firmę lub na własną rękę Krzysiek zaczął dużo wyjeżdżać za granicę. Do pracy fizycznej w budowlance. Głównie do Niemiec, ale też do Włoch, Francji i Holandii. Najbardziej podobało mu się w Niemczech. – Najlepszy zarobek – wyjaśnia. Na saksy jeździł przynajmniej na kilka miesięcy, czasem nawet na pół roku.

Jak miał dojścia, brał ze sobą bliskich. Do Holandii pojechał ze szwagrem. Córka brata wyprowadziła się tam z mężem.

Mieszkają w Amsterdamie już sześć lat. Planują zarobić na wybudowanie domu w Polsce. Jak się tylko dorobią, wrócą.

Brat Krzyśka, Piotrek, też parę razy wyjeżdżał z nim do roboty. Finansowo gorzej na tym wyszedł i zrezygnował. Poza tym w Polsce jest rolnikiem, więc musi pracować na gospodarstwie, ma 50 hektarów i 150 krów. Wiedzie mu się dobrze, choć dużo haruje. – Zapierdala jak garbata, gorzej wygląda jak ja! – kwituje go ojciec, pokazując na swoje plecy wygięte siedemdziesięcioletnią pracą w polu. Pracując sezonowo za granicą, pierwszy z braci więcej czasu oszczędza dla rodziny.

Krzysiek skończył tylko obowiązkowe osiem klas podstawówki. Edukacji nie myślał kontynuować, od razu zatrudnił się w firmie budowlanej, gdzie stopniowo, w praktyce uczył się fachu. Z pracy fizycznej zrezygnował po dziewięciu latach. Niedawno założył własną firmę, kupił sprzęt, zatrudnił pracowników.

#### DZISIAJ MIGRUJĄ PIENIĄDZE

Krzysiek jest ostatnio nieosiągalny. Siedzi zamknięty w gabinecie i wypełnia formularze. Ubiega się o dotację z Unii na rozwój firmy. Parę lat temu otrzymał jednorazowe wsparcie, 18 tysięcy złotych z Urzędu Pracy na rozpoczęcie działalności. Teraz stara się o jej rozszerzenie.

Pojawiają się kolejne zlecenia na nowe domy, więc i pracowników przybywa. Potrzebuje więcej maszyn, to i magazyn planuje wybudować. Pieniądze przydadzą się zawsze. Jednorazowe dofinansowanie ze środków unijnych, jakie może uzyskać indywidualny beneficjent to 50 tysięcy złotych.

Jeśli jego wniosek zostanie rozpatrzony pozytywnie, pieniądze wpłyną na konto.

On sam już nigdzie się nie rusza.

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci2  
7  
6

Niektóre imiona i nazwiska zostały zmienione. W reportażu wykorzystano fragmenty materiałów o „amerykańskich domach” dostępne na polskojęzycznych stronach internetowych poświęconych architekturze i budowie domów: <https://www.homify.pl> oraz <http://panidyrektor.pl>.





91  
.....

Dom „z Argentyny”  
zbudowany  
przez Ignacego Zglińskiego  
w 1934 roku  
fot. Marcin Mielewczyk



92

.....

Dom państwa Czarneckich  
z Mazowsza zbudowany w 1937 roku  
fot. Marcin Mielewczyk



93

.....  
„Amerykański”  
dom z Radzynka  
fot. Joanna Łopion

# Własny kawałek Ameryki

→

s. → 2

8  
0

JOANNA  
LOPIONWłasny  
kawałek Ameryki

Wodzirej podnosi mikrofon i prosi gości o chwilę uwagi. Stróżka potu ścieka mu po skroni. Podchodzi do stolika młodej pary i podniosłym tonem oznajmia, że właśnie przyszła do nich paczka z Ameryki! Podaje panu młodemu zawiniątko i zadowolony odsuwa się na bok. Zaciekawione ciotki i kilku wąsatych wujków odwraca się na krzesłach, żeby lepiej widzieć.

– Oto jest paczuszka dla żartu przyniesiona, zaraz będzie przez męża żoneczce wręczona. Czerwony na twarzy wodzirej kieruje maślany uśmiech do panny młodej. – Kochana, masz paczuszkę w swoich rączkach, możesz ją obejrzeć z każdej strony, ale jeszcze nie jest twoja. Zanieś ją panu, co najdalej siedzi, niech on się teraz nad paczuszką biedzi.

Zanim paczka wróci do młodych przejdzie przez wiele rąk. Przez pana z największym nosem, przez łysego, tę, co ma łydki jak sarenka, i taką w najpiękniejszej sukni. Goście śmieją się i robią zdjęcia, a kilka młodych dziewczyn chowa się do toalety. No, chociaż i tak lepsze to niż występ „ciotki z Ameryki”, kiedy facet wydurnia się ubrany w kieckę. I to przy najbardziej sprośnych przyśpiewkach, jakie kiedykolwiek słyszały.

– Co oni wszyscy mają z tą Ameryką? – komentują między sobą.  
– Straszna wiocha.

ZAGRANICZNY TRANSFER GOTÓWKOWY

*Najdroższy Bracie teraz domoszen tobie o swoim zdroju i powodzeniu. Jo jezdem z łaski Najwyszego Pana Bogo zdrów, czego i tobie zycze od Pana Bogo tego zdrowia. Teraz donoszę tobie, ze ja pieniedze wystałem osiemdzesut rubli to jest dlo ciebie szedesut rubli, a dlo Mamy to dwa-dześco, to jak odbiezez to oddaj Momie dwadześco.*

Siedzimy pod sklepem. Juras wpatrzony w pustą butelkę po oranżadzie gazowanej Ciechocinka wraca pamięcią do 1963. Wtedy ostatni raz przyszła jakaś paczka. Mówi powoli, przygnieciony upałem, ciężko wypuszczając powietrze. Zresztą ma czas. Niedawno przeszedł na emeryturę, a i koledzy z ławeczki nigdzie się nie wybierają. U Juras w domu się nie przelewało, ojciec miał na utrzymaniu czwórkę dzieci, żonę i babkę. Mimo że mieli rodzinę w Stanach, nie mogli sobie pozwolić na wyjazd.

– Ale kto by nie chciał jechać? Ja bym i dzisiaj pojechał.

Batorym do Ameryki wyłynęła Leokadia, siostra jego babki.

Do Polski już nie wróciła. Nie zapomniała jednak o krewnych i kilka razy w roku słała paczki z ubraniami, świętymi obrazkami i pieniędzmi. Zanim te trafiły do rodziny Jurka, musiały przejść nie tylko przez ręce ciekawskich listonoszy. Przesyłki adresowane były na drugą siostrę babki. Ta część ich zawartości zostawiała sobie, a resztę oddawała krewnym. Juras zapamiętał najlepiej za małą kurtkę i dwadzieścia dolarów ukryte w jej kieszeni.

Paczki były wysyłane w kartonowych pudełkach i w drodze łatwo się rozrywały. Wtedy przychodziły posklejane taśmą. Trzeba było pamiętać, że na poczcie mogli taką przesyłkę skontrolować. Obrót, przesyłanie czy posiadanie dolarów było nielegalne. Najczęściej zaszywano je więc w częściach garderoby, na przykład pod kołnierzem kurtki. Lub chowano w tabliczkach czekolady pomiędzy sreberkiem a papierem. Zabiegi te wymagały uprzedniego poinformowania adresatów w liście, gdzie szukać.

Pod sklepem się wie, że ktoś kupił Ładę za dolary z paczek.

W Okoninie na przykład jeden po roku już miał kombajn. – Kto to wtedy o kombajnie słytał? – choć Juras mówi od niechcienia, przez jego twarz przemyka cień ożywienia. – Jak listonosz przychodził do szkoły, to wołał: „Jurek, weź no to rozdaj” i wyciągał listy adresowane do mojej wioski. Nie chciało mu się tam jeździć. Ja sobie wtedy zdzierałem te amerykańskie znaczki do albumu. Taką mieliśmy umowę. Juras milknie i bierze kilka głośnych łyków piwa. Odstawia butelkę, z impetem uderzając o stół.

– A kto wie, czy oni tam wystali dwadzieścia czy sto dwadzieścia dolarów?!

DO RĄK WŁASNYCH

*Kochana siostrzo dowiaduje się co się stało s tobom rze ty nie odpisujesz swymu myszowi [= mężowi]. On ci posłał piniendzy, a ty mu jeszcze nie odpisała, a on się gniewa i mowi, rze jak mu nie odpiszesz to on nie chce o tobie wiedzieć bo, on mówi, czy ty się wstydzisz za mnie czyś tam sobie lichu postąpiła bo on się teras dowiaduje.*

– Wuj Wiktor i ciotka Klementyna opuścili rodzinny dom w czasie drugiej wojny światowej – Zofia wbija zakrzywiony drut w gorącą babkę. Jeszcze pięć minut w piekarniku. – Wiktora los pokierował do Anglii, a jego siostra dotarła aż do Ameryki. Kontakt listowny z rodziną utrzymywali przez długie lata. Obydwoje wysyłali kartki na święta, życzenia na imieniny, a od czasu do czasu paczki. Przesyłki adresowali do brata, który został w Polsce, czyli do dziadka Zofii. Po jego śmierci z poczty w Golu-  
biu-Dobrzyniu paczki odbierały dzieci.

Było lato, kilkuletnia Zofia bawiła się z bratem w piasku. Jej tata pracował w polu. W tym samym czasie jego siostra dowiedziała się o czekającej na pocztę przesyłce od ciotki Klementyny. Chcąc odebrać pakunek jako pierwsza, pobiegła szybko do urzędu. W okienku pocztowym posprzeczała się z kobietą, która uparcie odmawiała jej wydania paczki. Okazało się, że upoważnienie do odbioru ma tylko ojciec Zofii. Zdenerwowa-  
wana wpadła więc prosto z poczty do jego domu, gdzie zastała w kuchni bratową szorującą perzem stół. – „Już ja cię zabiję! Kto ci pozwolił?” – krzyczała do mojej mamy, a ta do niej: „Wyjdź mi z domu, ja nie przykła-  
dałam do tego ręki, tylko Włodek. Powiedzieli mu, że kiedy ojca nie ma, jemu się należy”. Wtedy ciotka w złości chwyciła za drewnianą łopatę do wkładania chleba do pieca. Zofia głośno przełyka ślinę. – Pamiętam, że ktoś z dzieciaków przybiegł i powiedział: „Waszą mamę ciotka zabiła”.

Nastaje nieznośna cisza. Patrzę, jak kobieta wyjmuje z piekarnika ciasto. – Mama była wtedy w ciąży. Leżała na ziemi, pełno krwi. Ojciec zabrał ją do szpitala w Rypinie. Na szczęście ciotka złapała za łopatę, a nie za siekiere.

Włodek był wściekły na siostrę. Gdyby nie interwencja ich matki, prawdopodobnie doszłoby do kolejnej rodzinnej tragedii. Po uderzeniu w głowę mama Zofii dochodziła do siebie przez kilka tygodni w szpitalu, ciężę udało się uratować. Nie chciała zakładać sprawy w sądzie ani mścić się na rodzinie. – Mama była dobrym człowiekiem.

W paczce znajdował się materiał na sukienki, dwa białe przeście-  
radła, cieniutkie narzuty i dwa pióra do pisania.

*Dzieci moje trochę lepi chodzą na co dzień,  
jak w kraju na święto.*

*(...) Przecie nie chodzie tak opszarpano  
jak w kraju, tylko sobie chodzie jak Pani.  
Každy kto jest w Amerycie tak chodzi.*

Naprzeciwko mnie piękna, stara komoda. Na ścianie proporczyk z rysunkiem biegnącego chłopca i pęk medalii. – Od Judżina mieliśmy paczki! Kiedyś przysłał mi dres, ale był przymały – mężczyzna o posturze misia zwraca się do matki w stronę salonu. – Ooo, i proszek, kiedy nic nie było. Teraz, jakby powąchał, toby powiedział, że najgorszej jakości, ale wtedy! W ogóle w latach 70. furorę robiły puzzle i te, emenensy. Noo, i w domu wystrój mieliśmy bardzo nowoczesny.

No tak, w końcu kto słyszał o firankach na rolce, których się nie pierze? Wystarczyło oderwać zużyty odcinek i *voilà!*

Sąsiedzi wiedzieli, kto mógł mieć w Ameryce jakąś rodzinę.

To było widać po ubraniach, miały inny krój. Nie były takie przyciężkie jak tutaj. W Okoninie mieszka staruszek, który przerabiał ludziom buty przysyłane w paczkach. Z amerykańskich na nasze, polskie. – Ano przerabiali, sama miałam takie trzewiki – Stasia siada za stołem naprzeciw mnie, podsuwając pudełko pełne fotografii. – A że polskie, to znaczyło, że z krótkim obcasem. W Ameryce mieli takie wysokie.

Rodzice Stasi poznali się w Nowym Jorku i tam pobrali. Na dowód tego oglądam ślubny prezent: biały, płócienny obrus przywieziony z Ameryki w 1924. Również brat ojca Stasi wyemigrował w tym czasie do Stanów i tam założył rodzinę. – Mój tata to był kawał faceta, wysoki, metr dziewięćdziesiąt dwa. Raz dostał od brata spodnie, bardzo ładne. Całe lata namawiałam go, żeby je wreszcie zaniósł do przerobienia – Stasia opiera skrzyżowane ręce na piersi. – No i zmarnowały się. Krawcowa spartoliła.

Syn wuja, Judżin, słabo mówił po polsku, ale nie przeszkadzało mu to w kontaktach z rodziną. Tak, jak kiedyś ojciec, przysyłał w paczkach ubrania i smakołyki, a w listach zdjęcia. Ubrany w koszulkę z kołnierzykiem i czerwone spodnie spogląda na mnie z jednego z nich. Wygląda dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie wujka z Ameryki.

– Na początku nie wiedzieliśmy, że to się pod przykrywką robi – śmieje się Stasia, wspominając jeden z prezentów od kuzyna. – Wrzuciliśmy na patelnię, a to zaczęło strzelać we wszystkie strony! Popuchło, porobiły się kwiaty. Popkorn!



ODBIORCA STAŁY

*Matko Kochana moja, prosicie o poratunek,  
to możecie dostać, ale musicie mi przysłać  
dobre i wyraźne adresy to wam pare dolarów moge  
przysłać. Pytam was Matko dlaczegoście do nas  
prędzej nie pisali. Ja chciałem napisać do was,  
ale nie miałem adresu do was.*

– Nie wążaj tego, cholera! Co za pies. Jak mi go brat przywiózł, to tak się zdenerwowałam, aż się chałupa trzęsła – Irena, pomimo swoich siedemdziesięciu lat, z niebywałą energią wymachuje rękoma nad dogiem niemieckim. – Kapsel wymyślili, takiemu psu Kapsel – kręci głowę i zaprasza mnie do domu. I tak ma dzisiaj zły dzień, róże dokończy przycinać jutro. Jako mała dziewczynka zdołała zapamiętać głównie paczki. W domu mówiło się o wyjazdach do Stanów, ale młody nie słucha i nie zapamiętuje takich rzeczy. Pierścionki, wisiorki, sukienki, dolary, zabawki, to tak! – U nas zawsze było dobrze, bo przysyłali, ale nikt się tym specjalnie nie chwalił. W wieku pięciu lat nosiła prześliczny amerykański komplecik, przez który wołali za nią Czerwony Kapturek. – To był płaszczyk zimowy, grube rajtuzy i czapa. I cała czerwona byłam – chichocze. – Poza czekoladą wysyłali też kawę albo takie cieniutkie chustki na głowę. Pamiętam, że kiedyś moja nauczycielka z Giżynka odkupiła jedną ode mnie.

Paczki przychodziły nawet wtedy, kiedy już pracowała. Dzięki temu może z dumą mówić, że była posiadaczką pierwszych w okolicy nylonów z czarnym szewkiem. Opowiadając, Irena wykonuje serię ruchów wzdłuż tydki. – Nie pamiętam, żeby wysyłali jedzenie. Za to przysłali Jezusa fluorescencyjnego i gumy do żucia – z rzewnym uśmiechem wpatruje się w Kapsla, drapiąc go po brzuchu: – Teraz to się żuje chwilę i zaraz jest do wyrzucenia.

POWRÓT DO NADAWCY

*(...) dzielę się tym opłatakiem co mi go przysłecie  
i życze wam wesołych świąt, daj nam Boże  
doczekać na za rok w zdrowiu, szczęściu i ażebyśmy  
się już na za rok nie dzielili za pomocą listu, ale abyśmy  
się dzielili rzeczywiście ustnie i dotykalnie rękoma  
i cieszyli się naszą radością, aż do śmierci, bo tej  
radości nam Pan Bóg nie zabierze bo Pan Bóg chce,  
aby się wzajemnie kochać i miłować.*

Trafiam idealnie na niedzielną kawę i drożdżowca. Pytaniem o Amerykę zakłócam rutynę cotygodniowych rozmów po kościele. – Akurat na Dzień Matki mi taki prezent zrobili, wyprowadzili się do Kalifornii. Wnuk szedł wtedy do pierwszej klasy – Teresa z tęsknotą w oczach opowiada o swoich dzieciach. – Napłakałam się za nimi. Sama w Ameryce była już kilka razy. Najpierw latała zobaczyć się z wnukiem, teraz odwiedza już prawnuki. Najstarszy z chłopców mówi po polsku, dwaj młodszy już tylko po angielsku. Kiedy składają wizytę Teresie w Polsce, najbardziej smakują im tutejsze jabłka. Dalekie podróże i przeprowadzki to rodzinna tradycja. Pierwsza do Ameryki wyjechała siostra mamy. Wyszła tam za męża i bardzo młodo owdowiała. Nie była bogata, ciężko pracowała, by móc wychować trzech synów. Według Teresy to właśnie brak czasu sprawił, że ciotka nie nauczyła dzieci polskiego. Z Ameryki słała listy, okazynie jakąś paczkę, w jednej z nich przysłała suknią weselną. – Jaka? No piękna była! Najpierw ja w niej ślubowałam, potem moja bratowa. Z trenem, korallkami wyszywana o tu, i bufki miała przy rękawach – Teresa pokazuje na sobie rozmieszczenie wszystkich elementów kreacji.

O śmierci ciotki rodzina dowiedziała się z listu napisanego przez żonę jednego z jej synów. Pomimo że jest Niemką, postarała się, by list był napisany po polsku. Streściła w nim przebieg choroby i ostatnie dni teściowej. – My w ogóle mamy taką kolorową rodzinę. Teraz mamy i Meksykańczyka, i Araba, a od strony męża jest Irańczyk.

Dzieci starają się odwiedzać Teresę przynajmniej raz w roku. Wysyłają na święta słodycze, koniak, witaminy. To, co najlepsze.

#### PACZKA Z AMERYKI

No, droga wolna. Można wracać na swoje miejsce. Państwo młodzi stoją za stołem i grzecznie uśmiechają się do bliskich. W rękach trzymają szary pakunek. Wodzirej idzie tyłem w stronę orkiestry i używając wszystkich swoich teatralnych umiejętności, intonuje: – Co w tej paczce może być? Nasze myśli i życzenia do rychłego spełnienia. Wszyscy się bawili, panowie i panie, śmiechu zdrowego było sporo i było wesoło – jedną ręką uniesioną w górze próbuje nadać wzniosłości swoim słowom.

– Gdy otworzycie paczuszkę, bieda was nie udusi, dzisiaj jesteście życia krezusi. A my zdrowia i lat długiego pożycia ze sobą życzymy. Dzisiaj jesteście bohaterami naszymi!

Orkiestra z hukiem zaczyna grać weselną przyśpiewkę.



94

[Chrostkowo]

Sukienka z amerykańskiego materiału przysłanego w paczce.  
Archiwum rodziny Mazurów

Wszystkie cytaty zapisane kursywą pochodzą z książki *Listy emigrantów z Brazylii i Stanów Zjednoczonych. 1890–1891*, oprac. i wstęp W. Kula, N. Assorodobraj-Kula, M. Kula, Warszawa: Biblioteka Iberyjska 2012. Tekst weselnej zabawy w paczkę wykorzystany w reportażu pochodzi z forum strony StaloweMiasto.pl: [http://stalowemiasto.pl/forum/forum.php?mode=pokaz\\_posty&id=690688](http://stalowemiasto.pl/forum/forum.php?mode=pokaz_posty&id=690688).

95

.....

[Sokołowo-Rumunki]  
Dolary od cioci z Ameryki  
fot. Zofia Kędziora









96

.....

[Chrostkowo]

Pudełko po maśle orzechowym  
przysłanym z Ameryki około 30 lat temu  
służy dziś do przechowywania koperku  
fot. Agata Kochaniewicz



# Nekrohistorie, czyli spotkania w międzyświatach

→

s. → 2  
9  
2



ZBIGNIEW  
SZMYTNekrohistorie,  
czyli spotkania  
w międzyświatachRYPIN JUŻ NIE GRZEJE

– Wychodząc z restauracji United Chicken przy Warszawskiej, musisz przejść jezdnię i kierować się cały czas prosto. Po drodze miniesz budynek byłej apteki, w której 11 listopada 1918 roku spędził noc Iwaszkiewicz. Informuje o tym tablica pamiątkowa, z pewnością jej nie przeoczysz. Po drugiej stronie ulicy zobaczysz Muzeum Ziemi Dobrzyńskiej. Płoną przed nim znicze i wędną kwiaty. Biblioteka jest tuż obok. Jeżeli ktoś coś napisał o tych migracjach do Ameryki, to tam to znajdziesz. Tylko nie zdejmuj kurtki. Mimo że maj, jest tam zimno jak w kostnicy. Sam zobaczysz, pani Natalia też siedzi w kaftanie i szaliku.

– A dyrektor już w zeszłym tygodniu wyłączył kaloryfery. Wiadomo, oszczędza. Tylko dlaczego na moim zdrowiu? Pan tu nowy? To dowód poproszę. Muszę pana zapisać. Proszę, niech pan się rozejrzy tymczasem.

Przy biurku regał obciążony historią ziemi dobrzyńskiej. Wzrok mimowolnie snuje się po albumach, przewodnikach, memuarach, monografiach. Zbiorowa mogiła kilku pokoleń muzealników, krajoznawców-amatorów, strzępki powiatowych budżetów z rubryki „promocja regionu”.

Miejscowi herosi z Bractwa Rycerskiego Ziemi Dobrzyńskiej spozierają chrobrze z kart muzealnego albumu, gotowi bronić granicy przed zakonem niemieckim z Gołubia tudzież Brodnicy. W sąsiednim folderze rypińskie dzieci z uwagą słuchają opowieści czerwonoskórych, rozbiwszy uprzednio tipi w miejscowym parku. Moda na rekonstrukcje historyczne nie ominęła Rypina. Krzyżacy konkurują tu z Indianami, wyznaczając horyzonty przestrzennej i historycznej tożsamości mieszkańców regionu.

– Cały regał historii mamy, tylko przyszłości żadnej – rzuca pani Natalia. – Tu tak zawsze było. Powstania kończyły się w Rypinie. Bo niby gdzie mieli dalej ci powstańcy się wycofywać? Dalej już Prusy były. A teraz kolej się skończyła, PKS już nigdzie nie dojeżdża. Kiedyś jeszcze do Gdańska jeździł, do Płocka, proszę pana, jeździł codziennie. Zamrozi nas ten dyrektor. Chociaż tydzień dłużej by pogrzał. W Brodnicy na pewno grzeją. W Brodnicy to co innego. To bogate krzyżackie miasto. A my? Bose Antki na nas wołają, już pan słyszał? I powiem panu, że rację mają.

– Nie, to nie przez ten ziąb tak tu pusto. Wszyscy wyjechali, proszę pana. Stąd zawsze wszyscy wyjeżdżali. Do liceum, na studia, a potem już nie wracają. Po co mają wracać? Wie pan, jakie tu są zarobki? Żaden młody po studiach nie chce pracować za takie pieniądze. Ja też chciałam wyjechać do Poznania, ale zachorowałam – szpital, leczenie. A teraz marzę tu do emerytury. Jutro będę miała trzydzieści dziewięć jak nic, już teraz to czuję. Jeszcze pół godziny i zamykam.

– Do Ameryki? Jeżdżą, pewnie, że jeżdżą: do Ameryki, do Anglii, Niemiec, Danii. Kiedyś jeździli i teraz też jeżdżą. Tylko tutaj się nie chwala. Ludzie potrafią być zawistni, proszę pana. Lepiej nie pokazywać, że rodzina z zagranicy pomaga. A to krewni przyjdą i zaczną pytać: tobie przesyłają pieniądze, a nam dlaczego nie? Moja znajoma dostała spadek z Ameryki, ale siedzi cicho. Sąsiedzi coś podejrzewają, plotkują, ale ona nic. Milczy. I dobrze robi.

– Bieda była. Z Rypina za granicę uciekali, a na ich miejsce jeszcze biedniejsi przyjeżdżali. Żydzi się osiedlali, Niemcy ziemię kupowali. W zeszłym roku Niemcy przyjechali całym autobusem. Pomogłam im, jeździłam z nimi, dogadywałam się z gospodarzami, żeby wpuścili do domów, żeby mogli pooglądać, gdzie kiedyś mieszkali. Ludzie różnie na nich reagowali. Był pan w muzeum? Widział pan, co Niemcy w czasie wojny zrobili? Groby masowe do teraz w lesie odnajdują. Tu każdy kogoś stracił w czasie wojny. Sąsiedzi z Selbstschutzu nas rozstrzelowali. A teraz ten dyrektor nas mrozi.

Rypiński omentarz katolicki jak zwykle tętni życiem. Trzech mężczyzn z powagą rozpija wódkę naprzeciw całkiem zadbanego nagrobka. Dostojnie ubrane panie w średnim wieku wymieniają krewnym kwiaty. W głębi nekropolii odbywa się pogrzeb: garnitury, flagi maryjne, wieńce. Ksiądz intonuje: „Anielski orszak niech twą duszę przyjmie, uniesie z ziemi ku wyżynom nieba”. Mężczyźni z flaszką mimowolnie podśpiewują dobrze znaną melodię.

– Bogaty, w samym środku omentarza załatwił sobie kwaterę – z nutą zawiści syczy starsza pani przyglądająca się ceremonii.

– Teraz to już mu chyba wszystko jedno – ripostuje.

– A żeby pan wiedział, że nie. Jak masz wykupione miejsce na środku omentarza, to cię ludzie szanują. I wszyscy wiedzą, że rodzina w mieście coś znaczy. Tylko porozumieć się z tym popem nie jest łatwo. Tam, na środku, to prawosławny omentarz był i rządzi się tam pop z Torunia. Jak mu dobrze zapłacić, to wydzielili miejsce, gdzie te Ruskie pogrzebane. U nich taka sama korupcja, jak u nas, tylko drożej. Ale za to człowiek leży w centrum, a nie jak biedak na skraju, pod murem.

W cieniu starych lip i klonów uważny obserwator dostrzeże ślady osadnictwa ciał katolickich wśród ciał prawosławnych. Pionierzy utworzyli przyczółki na skraju ruskiej ziemi. Franciszek z żoną Zofią (zm. 1980) schronili się pod przyzwoitym, choć skromnym nagrobkiem. Być może czuli się jeszcze niezręcznie wśród oficerów Tatarskiego Pułku Dragonów Pogranicznych. Po 1989 roku nowo przybyli stali się jakby śmielsi. Coraz większe pomniki z bardziej szlachetnego kamienia zaczęły przenikać w głąb nekropolii. Zepchnęły carskich oficerów pod drzewa, ścisnęły ich ze sobą, wyraźnie sugerując, że powinni już sobie pójść. Biedny Kostia Suszynow został jakby rozjechany przez rodzinę K., której nagrobek bardziej przypomina maybacha niż kamień grobowy. Pewnie nawet nie zauważyli Rosjanina pod podwoziem.

Czym im zawinił? Niczym. Po prostu znalazł się w złym miejscu i w złym czasie – przeszłym.

– Kostynnie Jakowlewiczu, zauważcie jednak, że za życia nie mieliście takiego powodzenia. Dziś tyle kobiet pragnie położyć się u waszego boku albo wręcz na was. Staliśmy się dyskretnym obiektem pożądania każdej rypińskiej staruszki.

– Błyskotliwa uwaga, Edwardzie Sergiejewiczu, ale dlaczego one kładą się tu z mężczyznami?

– Hegel powiedziałyby „duch epoki”. Nikt już nie nosi Boga w sercu ni pod opiekę wyniosłej carskiej ręki się nie oddaje A takie ładne, bogobojne listy

pisali zza oceanu, pamiętasz? „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Marya Nieustayacej Pomocy która nas wspiera we dnie i w nocy...”.

– Ech, byliśmy jeszcze młodzi, świeżo zakopani. Gdyby to Ariadna Siergiejewna widziała, co się tu porobiło...

– I ona zdobyła swego czasu szyfkartę na rejs do Chicago. W którym to było roku? 1914? 1916? Wieki temu. Spoczywa pewnie gdzieś tam na obczyźnie, w mogile pod Denver.

– Pisała do was?

– Nigdy. Iwan Olegowicz wspominał o niej podczas naszej ostatniej rozmowy. Dobranoc, pułkowniku.

– Dobranoc, kapitanie.

Spod na wół zanurzonego już w ziemi piaskowca wystaje epitafium wryte przedrewolucyjną cyrylicą: „Prosti menja, ne zabywaj na mo-giłu obeszczaj ty prinosit mne chryzantemy” (Przebacz mi, nie zapomnij o mnie. Obiecay na grób mój przynosić chryzantemy).

#### POMNIK NIEZNAWEGO ŻOŁNIERZA

Henryk Ness przechadza się po świeżo odrestaurowanych alejkach omentarza ewangelickiego. W milczeniu kontempluje harmonogram i kosztorys następnych prac remontowych. Odkąd przeszedł na emeryturę, coraz więcej czasu spędza w Rypinie – mieście, z którego wyjechał do RFN w latach 70. Kupił dom w pobliskiej wsi i z dala od zręczącej żony zajmuje się rodziną. Kto tu nie spoczywa: brat zmarły tragicznie (nie zdążył wyjechać), matka, ojciec, wujek... Henryk wynajął robotników z koparką i remontuje swój rodzinny omentarz. Jacyś ludzie z muzeum przychodzili, odgrązali się, że to samowolka budowlana, że bez konserwatora nie wolno nic ruszać. Ciekawe, gdzie byli, kiedy miejscowi kradli krzyże na złom – myśli rozgoryczony.

Nadejście obcego wybija go z zadumy. – Szuka pan kogoś konkretnego? – pyta z delikatnym niemieckim akcentem.

– A, zwiedza pan tylko. Z Poznania? Schmitt? To ty prawie nasz! Znam jednego Schmitta, zresztą u nas Schmittów jak psów. Chodź, oprowadzę cię. Tu rzadko kto przyjeżdża. Większość wyjechała do Niemiec. Z naszej parafii prawie nikt nie został. Pastor tylko w niedziele na msze przyjeżdża. Czasami ktoś z Brodnicy na omentarz zajrzy, ale większość grobów jest zapuszczożona. Ja się tym zajmuję. O, a to jest pomnik nieznanego żołnierza. Sam go odnowiłem i te drzewa przyciąłem, bo konary tablicę zasłaniały, a korzenie rozsadały... Jak to po polsku będzie „Mauer”?

– Murek?

– No właśnie, jo.

Otoczony murkiem masywny głąz pamiątkowy zdobi nowa czarna tablica. W centrum umieszczono pruski krzyż żelazny. Nad nim daty 1914–1918. Pod nim 1939–1945.

– Pod tą skałą pochowani są nasi żołnierze, którzy zginęli w 1914, kiedy Rypin z rosyjskich rąk odbijali. Miejscowym się ten pomnik nie podoba, ale to przecież grób. Czy oni są winni, że tu polegli? Mój wujek był tu nauczycielem w szkole, a dwóch jego synów zginęło pod Monte Cassino. Niemcy, a na ochotnika się zgłosili. Teraz tam leżą i nikt ich stamtąd nie wygania.

Henryk kontynuuje spacer. O wyjazdach do Ameryki słyszał, ale sam niewiele pamięta. Większość jego znajomych wyemigrowała do Niemiec. Na kolejnych pomnikach pokazuje prośby o modlitwy i epitafia po polsku i po niemiecku. Rodzina Noumann „prosi o modlitwę”, „hier ruht in Gott” rodzina Pieniążek. Usprawiedliwiając swoją samotność, Emma tłumaczy się, że „Mąż spoczywa w Szkocji”. Julie Arndt (z domu Bloch) za św. Pawłem powtarza, iż „Christus ist mein leben, sterben ist mein gewinn” (Jezus jest mym życiem, a śmierć mym zwycięstwem). Poniżej umieszczono numer tramwaju, który jej to zwycięstwo zapewnił – 21. W Rypinie nigdy nie było linii tramwajowej. Niejeden już oczyma wyobraźni rzucał frau Arndt na tory Torunia, Gdańska czy Warszawy. Kto wie, w jakim mieście kursowała mordercza linia 21. Tej tajemnicy nie zna nawet Henryk Ness.

#### FRED FLINSTONE I AMERYKAŃSKI GENDER

– Jak pan myśli, kto to jest?

– Fred Flinstone.

– Biskup też tak powiedział, jak przyjechał na odsłonięcie pomnika. To nie jaskiniowiec, to Jan Chrzciciel, patron naszego miasta. Miejscowy artysta miał mało czasu i jakoś mu nie wyszło. Wszyscy się przez to z nas śmieją. Bose Antki postawiły sobie bosego jaskiniowca za patrona. Rypin nie ma szczęścia do pomników.

– Myślałem, że to dar od Polonii amerykańskiej.

– Polonia sfinansowała budowę przedszkola i tam stoi kamień pamiątkowy, a to miał być Jan Chrzciciel.

Andrzej oddaje się na chwilę smutnej zadumie. Po chwili jednak jego twarz rozpromienia się triumfalnie. Jest jeden pomnik, który się udał!

– Pomnik Stanisławy Walasiewicz, widział pan? Ten koło boiska mosir-u. I jak się panu spodobał? Ja rozumiem, że to nie Rodin, ale czy widział pan piersi? I jak, podobają się? Duże, co? To po to, żeby ludzie wiedzieli, że to kobieta była. Nasza kobieta spod Rypina. Bo Amerykanie zaczęli

pisać, że te złote medale na olimpiadach zdobyła dlatego, że była przebranym mężczyzną, transseksualna albo gender miała inny. No to jej artysta wyrzeźbił piersi odpowiednich rozmiarów, aby nikt nie miał wątpliwości, że te medale dla Polski wywalczyła ucziowie. Amerykanie po prostu nam zazdroszczą, bo Walasiewicz biegła dla Polski, choć mieszkała w Stanach. Oni jej proponowali reprezentowanie USA, ale ona im odmówiła. To teraz ją próbują zdyskredytować tym genderem. Dlatego postawiliśmy ten pomnik, żeby cały świat zobaczył, że to bzdura. No i żeby uhonorować naszą Polonię w USA. Wcześniej mieliśmy z nią bliższe kontakty. Był w Rypinie jeden ksiądz, który skrupulatnie zbierał wszystkie adresy rodzin rypińskich w USA. Przed każdym Bożym Narodzeniem i Wielkanocą wysyłał im pozdrowienia, prosił o wsparcie na wymianę kościelnego dachu, do Polski zapraszał. A jak już nawiązał z nimi dobre kontakty, to wyemigrował za ocean. Taki był sprytny. À propos, wie pan, że na Marsie jest krater Rypin nazwany na cześć naszego miasta? Ma osiemnaście i pół kilometra średnicy. Cały ziemski Rypin by się w nim zmieścił.

#### CHODNIKI PEŁNE MACEW

– O, dzień dobry, wrócił pan – pani Natalia opatulona kurtką rozpoczyna nowy dzień na bibliotecznym posterunku. – Chodził pan po cmentarzach. A żydowskie lapidarium pan odwiedził? W latach 90. je wybudowali. W czasie wojny Niemcy zniszczyli żydowskie cmentarze, a Żydów pozabijali albo wywieźli. Macew użyli jako płyt chodnikowych. Te, co zostały, ludzie wykorzystali gdzieś przy stawianiu budynków gospodarskich. Do teraz czasem ktoś przebudowuje chlew i znajdzie. Przynoszą je potem do muzeum. To, co się zebrało z tych chodników i od ludzi, umieszczono w lapidarium za miastem. Przed wojną w Rypinie mnóstwo Żydów było. W 1945 kilkudziesięciu wróciło, ale wkrótce potem wyjechali. Pomagały im różne organizacje. Powyjeżdżali do Palestyny albo do Ameryki. Niemcy do Niemiec wyjechali. Tylko Cyganie u nas zostali. Kiedy władze PRL-u wydały nakaz osiedlenia Cyganów, ich tabor stał akurat pod Rypinem. Przez to ich u nas osiedlili. Do teraz żyją, Romami się obecnie nazywają. Niech pan przyjdzie jutro. Dyrektor obiecał włączyć ogrzewanie. Posiedzi pan, poczyta w cieple.

Na zewnątrz deszcz obmywa chodniki i macewy. Gdzieś tam pod Rypinem, w Godziszewach, ku swoim 101. urodzinom zmierza obywatelka amerykańska Sabina Irena Resskiewicz. Na pewno mogłaby wiele opowiedzieć, ale już nie mówi. W zeszłym roku jubileuszowe gratulacje w epistoлярnej formie złożyła jej ambasada amerykańska. To być może jedna z najbardziej wiekowych Amerykanek na Starym Kontynencie. Na stronie gminy Rypin można przeczytać o niej zwięzłą notatkę:

„Szacowna Jubilatka urodziła się 25 grudnia 1915 roku w Passaic w stanie New Jersey w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Tam wówczas zamieszkiwali jej rodzice. W 1921 roku cała rodzina wróciła do Polski i osiedliła się w Rypinie. Do 1982 roku posiadała działkę gruntu rolnego o powierzchni 1,27 ha położoną w Rypinie przy ulicy Polnej. Od tego roku przebywa na emeryturze pobieranej z Kasy Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego. W 1955 roku zamieszkała u swojej siostrzenicy w Rypinie przy ulicy Nowe Osiedle 16, a w 1962 roku przeprowadziła się z rodziną siostrzenicy do wsi Godziszewy. Rodzina prowadziła tam gospodarstwo rolne. Obecnie jest ono prowadzone przez kolejnego następcę”.

Pani Irena jest jednym z wielu rypińskich stulatków. Nikt do końca nie wie, dlaczego akurat tutaj ludzie żyją tak długo. Może czekają na listy, które kiedyś zatrzymała carska cenzura? A może raczej wypatrują dnia, gdy wreszcie oswobodzi się upragnione miejsce na cmentarzu – na samym środku nekropolii?

# Mobilne domy

→

s. → 3  
0  
0



ZOFIA  
KĘDZIORA

## Mobilne domy

Rok 1941. Powozy z dobytkiem jadą już kilkanaście dni. Konie są zmęczone. Nocami robi się chłodno. Przybysze ogrzewają się kocami i metalowymi termoformami zabranymi z domu. Nikt nie wie dokładnie, dokąd zmierzają. Z Wittenbergu jadą cztery rodziny, z Berezyny trzy.

Pewnej nocy krzyk jednej z kobiet budzi cały korowód przesiedleńców.

- Reinhold, Reinhold!
- Emma? – mąż przeciera zaspane oczy.
- To nie są wcale Niemcy. Popatrz na tabliczkę!
- Wengers... – próbuje odczytać zniszczony napis.
- To jest Polska, Reinhold.

NIECYWILIZOWANI NIEMCY

Pierwszy dzień czerwca. Korytarz w małej wiejskiej szkole w Węgiersku. Rozlega się dzwonek, z sal wybiegają dzieci. Chwilę potem siedzimy z historykiem na ławce koło boiska. Rozmawiamy o Niemcach besarabskich przesiedlanych na lokalne ziemie podczas drugiej wojny światowej. Reinhold i Emma Herrmann z Berezyny byli jednymi z nich. – Oni byli inni od tych „prawdziwych” Niemców. Mniej, że tak powiem, cywilizowani. Odmienne stroje, język. Wyróżniali się – opowiada nauczyciel.

W 1813 roku car Rosji, Aleksander I, po zdobyciu Księstwa Mołdawskiego proponuje Niemcom, aby je na nowo zasiedlili. Car wie, że Niemcy to porządni protestanccy gospodarze, a wcześniejsi koczownicy tych terenów zostali wypędzeni. Oferowane przywileje, takie jak zwolnienie od służby wojskowej, nadanie gruntów, wolność religijna czy nawet nieoprocentowane kredyty, zachęcają niemieckich osadników. Trafają do Besarabii, gdzie zakładają takie wioski, jak Lipsk czy Wittenberg. Nazwa regionu pochodzi od dynastii Basarabów, którzy do XVII wieku panowali na terenach Wołoszczyzny. Później Besarabia w wyniku wojen kilkakrotnie zmieniała zakres swojego terytorium, a po pierwszej wojnie światowej stała się częścią Rumunii.

Gdy jednak w roku 1939 podpisany zostaje pakt Ribbentrop-Mołotow, Besarabia trafia w strefę wpływów Związku Radzieckiego. Niemieckojęzyczni mieszkańcy, doświadczeni wcześniejszymi represjami rewolucji bolszewickiej, marzą o wyjeździe.

Okazja nadarza się we wrześniu 1940 roku. W wyniku niemiecko-rosyjskiego porozumienia Besarabowie otrzymują możliwość powrotu do Heimatlandu. W myśl obustronnego układu z 5 września: „chęć przesiedlenia może być wyrażona ustnie bądź pisemnie. Przesiedlenie jest dobrowolne; nie może być przy tym stosowany żaden pośredni lub bezpośredni nacisk”.

Wszystko idzie zgodnie z planem. Ochrona praw mniejszości niemieckiej staje się dla Führera polityczną sposobnością do realizacji programu umocnienia tożsamości Niemiec. Akcja *Heim ins Reich*, czyli Powrót do Rzeszy, jest tego namacalnym dowodem. Przesiedlenia są przeprowadzane na wielką skalę, koordynuje je wojsko. Męcząca podróż jest przerywana przystankami w obozach przejściowych. Nowi osadnicy są witani oklaskami i propagandowymi plakatami. Nazywa się ich *volksdeutschenami*. Z tym że Rzesza rozciąga się teraz na tereny okupowane, w tym Polskę.

– W 1942 Besarabowie przenieśli swoją szkołę z pobliskiej wsi do tego budynku. Tam pod płótem była kuchnia polowa, gdzie się stołowali – kontynuuje swoją opowieść historyk. Patrzę na wskazane przez niego miejsce. Pustka. Tylko leniwie kotłujące się drzewa.

Pytam, gdzie mieszkali przesiedleńcy. – Te ich domki są nie do podrobienia. Na planie kwadratu, dach dwuspadowy z dachówki, czarne. Składane, trochę jak z Ikea. Stoją przy głównej drodze. Ludzie będą wiedzieli. Nie orientują się, co prawda, o co dokładnie chodzi, ale na hasło „besarabki” zareagują. Tu było siedem rodzin besarabskich, domki zostały trzy.

To dużo, jak na taką małą wieś. Raptem dwie ulice na krzyż.

SEGMENTY

– Może pani wejdzie? Proszę usiąść.

Czterdziestoletnia kobieta otwiera mi drzwi niedawno wybudowanego, murowanego domu. – Rozbieraliśmy ten besarabski domek, ale żeby to zrobić, musiał być wcześniej wykonany jego opis. Wiadomo, zabytek. Pani architekt zrobiła całą dokumentację, no i mamy zdjęcia. Mogę pani pokazać.

Ciężka, kilkudziesięciostronicowa książka. Na pierwszej kartce pieczętka i podpis. Przeglądam całość. „Chata numer 12, wzniesiona w 1940 roku, dla kolonistów niemieckich przesiedlonych z Besarabii. Budowa każdej chaty trwała jedynie kilka dni. Zbudowana ze wcześniej przygotowanych elementów drewnianych. Inwentaryzację pomiarowo-rysunkową wykonano metodą tradycyjną przy zastosowaniu miar metalowych oraz dalmierza”.

– To były domki budowane z segmentów. Każdy miał około metra trzydzieści wysokości. Fundamenty zalewano i potem wszystko ustawiano z tych drewnianych części – kobieta mówi szybko, nerwowo. Wracają niemiłe wspomnienia. – Wie pani, jak byłem dzieckiem, to źle się w nim czułem. Owszem, był porządnie zbudowany, ale ja mimo wszystko podświadomie bałam się tam mieszkać.

Dokładnie objaśnia mi każde ze zdjęć. Wskazuje palcem na kolejne fotografie przedstawiające jej dziecięcy pokój i malunki na ścianach, które sama zrobiła. – To taka nasza pamiątka, ten album. Musieliśmy ten dom rozebrać, bo groził zawaleniem. Jak się w domu nie mieszka, to on niszczeje.

Oglądamy rysunki techniczne: „Dach proporcjonalnie większy niż ściany boczne. Cztery okna z przodu, z czego dwa na poddaszu. Na ścianie bocznej dwa okna. Deski kładzione pionowo. Zastrzały drewniane. Elewacja zakończona oczepek. Więźba dachowa wykonana przy pomocy krawędziaków. Posadzka z wypalanej cegły”.

– Niewiele wiem o Besarabach. Tylko to, że tu byli przez jakiś czas. Mieli takie konstrukcje tam u siebie, przywieźli je ze sobą do Polski. Gdy moi rodzice wrócili tu po wojnie, to ich już nie było. Zostały po nich tylko te domy. Tata właściwie nigdy o tym nie opowiadał.

POCIĄGI

Wchodzę na podwórko. W oddali, za drzewami stoi drewniana „besarabka”. Mały chłopiec patrzy na mnie w bezruchu. Mężczyzna w gumiakach i flanelowej koszuli otwiera drzwi. Trzask ich zamknięcia odbija się echem wewnątrz posiadłości.

- Niemcy kolejną te domy przywieźli. To mi wuj mówił, co z nami mieszkał.
- Państwo są tu teraz właścicielami?
- No tak. Po wojnie polski rząd przejął te ziemie wraz z domami jako łupy wojenne. A my potem jakieś tam raty płaciliśmy, by to od państwa wykupić. Nasze dziadki to mogły coś więcej powiedzieć, ja tam się nigdy nie interesowałem.
- Ktoś z nich jeszcze żyje?
- Pani kochana, nie ma już nikogo.

.....  
 MOJA OJCZYZNA,  
 .....  
 MEIN HEIMATLAND  
 .....

*Niech Cię Bóg błogostawi, moja ojczyzno  
 Pozdrawiam Cię tysiąckroć  
 Ciebie gdzie ma kolebka  
 Poprzez wybór mych Ojców  
 Ty ziemio bogata we wszystkie dobra  
 Trzymam Cię zamkniętą w sercu  
 Pozostaję Ci wierny  
 W obliczu śmierci jestem Twój.*

Rok 1941. Jakob i Katharina Eberle wraz z dziećmi i kilkoma innymi rodzinami na polecenie Führera jadą z Wittenbergu w stronę Niemiec. Klara Bollinger, córka Jakoba i Kathariny, wspomina: – Pewnego ranka mój ojciec przyjechał na wozie, z koszykiem winogron z gór. O 7 rano cały konwój ruszył. Było wiele łez, biły dzwony. Dziewczęta śpiewały pieśni o ojczyźnie. Bydło zostało puszczone wolno, gospodarstwa zamknięto, a dla zwierząt porozrzucano jeszcze jedzenie. Psy również zostały uwolnione. Jak odjeżdżaliśmy, słysząc było, jak te psy za nami wyły.

By wzmacnić tożsamość ojczyzny, znów stają się prawowitymi Niemcami. Gdy docierają na miejsce, Jakob dostaje *Einbürgerungsurkunde*, potwierdzenie obywatelstwa. Klara do dzisiaj mówi z przejęciem:

– Moi rodzice byli bardzo zaskoczeni, gdy dowiedzieli się, że nie jedziemy do Niemiec, a do Polski. Inne rodziny też były przygnębione z tego powodu. Trafiliśmy do miejscowości, której nazwę trudno było nam wypowiedzieć. Miejscowi Polacy mówili na nią „Węgiersk”, my „Wengers”.

Zanim przyjadą drewniane segmenty, Besarabowie dostają lokum po wysiedlonych Polakach. – Niemcy zajmowali najbogatsze domy w Węgiersku. Ich poprzedni mieszkańcy trafiali albo do obozów, albo na gospodarstwa do Niemców – wspomina Irena Dzikowska, mieszkanka wsi w czasie wojny. Często opowiada tę historię uczniom w Węgiersku.

Szkoła dla besarabskich Niemców mieści się początkowo w sąsiedniej miejscowości. Klara lubiła do niej chodzić. – Do dziś wspominam długie spacerunki do szkoły z moimi koleżankami. To wszystko było dla mnie tak nowe. Rok później przenieśliśmy się do nowej szkoły. Była bardzo duża, chociaż jeszcze nie całkiem wykończona.

Do niej po wojnie będą chodzić dzieci z okolicznych wsi.

Polacy mieszkający wówczas w Węgiersku niechętnie wypowiadają się o Besarabach. Niemcy mają osobne miejsce modlitwy. Inaczej niż Polacy – nie potrzebują kościoła. Gromadzą się w domu jednego z mieszkańców, Karla Nittla.

Niemiecki sołtys nie lubi Polaków, a mała Irena Dzikowska nie lubi jego: – O 7 rano musieliśmy stawiać się przed nim, ubranym w mundur. Zawsze trzymał różgę w ręku. Mieliśmy zbierać ziemniaki, od gospodarza do gospodarza. Nie było mowy, by choć kilka z nich zatrzymać w koszyczku dla siebie.

Mimo swojej nowej przynależności do III Rzeszy przybysze z Besarabii różnią się od lokalnych okupantów. Irena przypomina sobie: – Mój tato był szewcem i zaraz po ich przyjeździe musiał prawie wszystkim buty naprawić. A kilkoro z nich nawet tych butów nie miało. Poziom ich kultury i rozwoju był niższy.

Hitler tego nie przewidział. Wcześniejsze plany zakładały wysiedlenie Polaków i zastąpienie ich czystymi rasowo Niemcami. Na nic zdaje się pomysł władz nazistowskich, by przeprowadzać „wstępne staże germanizacyjne”. W tych Besarabach nie ma ani krzty aryjskości.

Przez około cztery lata Polacy, Niemcy i Niemcy besarabscy żyją razem w Węgiersku. Każdego ranka trzeba wstać i wydoić krowy. Bez względu na okoliczności. Zrobić jedzenie, nakarmić zwierzęta. Iść spać, by wstać kolejnego dnia. Zebrać plony. Trzeba żyć. Wspólnie.

Jednak Führer w końcu przegrywa. Zima tego roku nadaje nowy bieg historii.

Mimo wiadomej już klęski III Rzeszy władze niemieckie zwlekają z ewakuacją. Parafialny kronikarz zapisuje: „17 stycznia 1945 roku Armia Czerwona rozpoczęła operację mającą wyprzeć Niemców z ich terenów na Pomorzu. Besarabowie z Węgierska mieli tylko kilkanaście godzin na spakowanie rzeczy”.

Mieszkanca pobliskiego Macikowa pamięta, że jak zaczęło świtać, to Niemców już nie było.

BRAWO KORNEŁKU

Szkoła w Węgiersku ma już ponad sto lat. Jej patron, Józef Sołtykiewicz, został podczas drugiej wojny wywieziony do obozu koncentracyjnego w Sztutowie. Przedtem zdążył jednak wybudować szkołę na granicy dwóch sołectw. Odbywało się w niej tajne nauczanie. Po wojnie w jednej klasie siedzą dorośli i dzieci. Z czasem liczba uczniów rośnie.

W latach 90., gdy szkoła wciąż jest rozbudowywana, w Węgiersku pojawia się Klara Bollinger. Zbiera informacje o Niemcach besarabskich. Efektem jej badań jest między innymi niemieckojęzyczna strona internetowa. Szkoła z okazji swojego 100-lecia wydaje okolicznościową monografię, w której widnieje małe, pamiątkowe zdjęcie Klary na tle szkolnego budynku.

W kwietniu 2016 roku dwójka uczniów zwycięża w lokalnym konkursie historycznym: „Kolejny sukces! «Besarabowie – cztery lata w Węgiersku» to praca, która wygrała w konkursie organizowanym przez Stowarzyszenie Gmin Ziemi Dobrzyńskiej. Autorzy Kornel Socha i Jakub Zduński utworzyli prezentację multimedialną z zebranych z różnych źródeł informacji. Gratulujemy sukcesu o zasięgu regionalnym”.

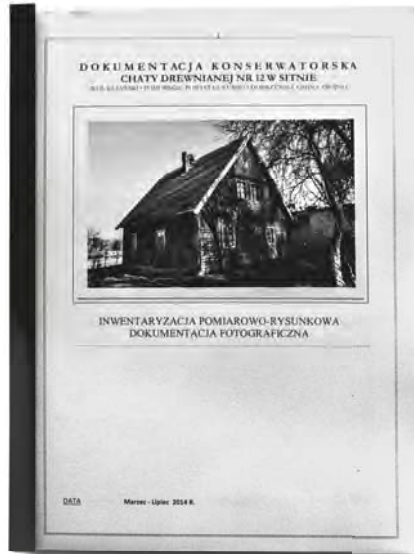
Wieść rozchodzi się po lokalnych mediach. Na jednym z profili popularnego portalu społecznościowego widnieje zdjęcie uśmiechniętych zwycięzców i ich opiekuna, nauczyciela historii. Pod fotografią komentarz: „Brawo Kornelku”.

Niektóre wątki dotyczące Niemców besarabskich oraz fragment z kroniki Parafii Nowogrodzkiej zostały umieszczone dzięki uprzejmości pana Piotra Wołyńskiego. W reportażu wykorzystano wypowiedzi świadków pochodzące z monografii szkoły w Węgiersku: *Historia i terażniejszość szkoły. Monografia wydana na okazję 100-lecia placówki oraz 10-lecia nadania jej imienia Józefa Sołtykiewicza*, red. U. Arentowicz, Węgiersk: SP w Węgiersku 2016 oraz fragment pracy zbiorowej pt. *Wysiedlenia, wypędzenia i ucieczki 1939–1945. Atlas ziem Polski*, red. W. Sienkiewicz i G. Hryciuk, Warszawa: Demart 2008. Wspomniana strona internetowa autorstwa Klary Bollinger to: <http://www.wittenberg-bessarabien.de/>.

Pomocą posłużyły również materiały dostępne na stronach:

<http://isap.sejm.gov.pl/DetailsServlet?id=WDU19440040017>, <http://www.mein-bessarabien.de/>,  
<https://sp-wegiersk.edupage.org/news/>, <https://www.youtube.com/watch?v=pToJSJLe4BA>.

Serdeczne podziękowania dla Marii Książkiewicz za pomoc w tłumaczeniu niemieckich dokumentów audiowizualnych.



97

.....

[Sitno]  
Okładka dokumentacji  
konserwatorskiej  
domu besarabskiego  
fot. Zofia Kędziora

98

.....

[Węgiersk]  
Dom besarabski  
fot. Zofia Kędziora







3  
1  
1

WSZYSCY JESTEŚMY MIGRANTAMI

03  
cz.

(O)dzyskiwanie  
pamięci  
migracyjnej

3 1 1

# Sprawy przeważnie miejscowe



s. → 3

1

2

ZOFIA  
LAMPRECHTSprawy  
przeważnie miejscowe

*.. aby ta fabryka  
wstrzymała emigrację do Prus robotnika  
By te ręce, co niosły trud swój w obce strony  
Jedynie odtąd nasze uprawiali zagony;  
By ci ludzie w tej ziemi od wieków osiedli  
Z rąk naszych chleb polski, nie obcy gdzieś jedli.*

Jest rok 1900. Lokalny entuzjasta recytuje wiersz podczas uroczystości otwarcia cukrowni w Ostrowitem. Stworzenie nowych miejsc pracy ma powstrzymać migracje zarobkowe miejscowej ludności do uprzemysłowionej części Prus. Od drugiej połowy XIX wieku pruska gospodarka rozwija się najlepiej w Europie. W przeciwieństwie do zaboru rosyjskiego, gdzie własność ziemska jest rozdrobniona, przemysł słabo rozwinięty, a infrastruktura kolejowa znikoma. Nie mogąc się utrzymać, setki tysięcy Polaków emigrują do Zagłębia Ruhry. To tam znajduje się najwięcej złóż i kopalni węgla kamiennego, kwitnie przemysł ciężki, chemiczny i spożywczy.

W szczytowych momentach rozwoju ostrowicka cukrownia daje pracę 300 stałym pracownikom. Zajmują się czyszczeniem i naprawianiem maszyn, wymianą urządzeń. Podczas kampanii cukrowniczej, gdy mają miejsce zbiory buraków i produkcja cukru, zatrudnia nawet dwa razy tyle.



Dwanaście lat później część ziem dzierżawionych do tej pory przez Towarzystwo Akcyjne Cukrowni kupuje niejaki Rąciecki. Jest Polakiem niemieckiego pochodzenia. To budzi niepokój o przyszłość fabryki. Rąciecki już wcześniej sprzedał Niemcowi majątek Bachórz. Sytuację komentuje dziennikarz „Głosu Płockiego”: „Cała okolica w ręku Niemców. Tak wspinał się majątki Cetki, Łączonek, Radziki, Bachórz przeszedł w ręce Niemców. Maluczko – a ziemi wam na groby zabraknie!”.

Do końca drugiej wojny światowej na terenie powiatu rypińskiego mieszka wielu Niemców. Być może dzięki jednemu z nich w 1939 Ostrowite nie zostaje zniszczone.

► Pracownica sezonowa, 86 lat. W cukrowni pracował jej ojciec, mąż i trzech szwagrów:

– Mieli bombardować wieś, ale Niemiec nas ostrzegł, bo pracował wtedy w cukrowni. Kazał nam wywiesić białą pościel. Wtedy wiadomo będzie, że Niemcy tu mieszkają. Miałam osiem, może dziesięć lat, ciekawska byłam. Patrzyłam w niebo i liczyłam: jeden samolot, drugi, trzeci... Sześć naliczyłam. Musieli zobaczyć tę pościel, bo polecili dalej. Zwalili bombę do jeziora, chyba dwie osoby zginęły.

W czasie okupacji Niemcy, którzy przejmują cukrownię, wywożą pasy napędowe. W 1945 kampania buraczana mało co się nie odbywa. Na szczęście pasy odnajdują się na jednej ze stacji kolejowych w województwie olsztyńskim. Wracają do fabryki, a produkcja rusza. Wtedy już na rzecz Skarbu Państwa.

Pod koniec lat 80. zakład ponownie trafia w obce ręce. Przedsiębiorstwo „Cukrownie Toruńskie” zakłada spółkę z British Sugar. Powstaje SugarPol z 51-procentowym udziałem Anglików. Zagraniczny kapitał ma pozwolić na rozbudowanie i zmodernizowanie fabryki. Ówczesny dyrektor w wywiadzie udzielonym z okazji stulecia powstania cukrowni stwierdza, że „dziś to, co zostało przyniesione z Zachodu i wniesione do współpracy z rolnikami i plantatorami nie da się przecenić. Pomoc, szkolenia, własne plantacje, pokazy... To procentuje”.

Nowi właściciele kupują nowe maszyny, pozostałe ulepszają. Remontują magazyn efektów. W żargonie cukrowniczym tym mianem określa się miejsce przechowywania cukru. Ponoć ostrowicki jest jednym z lepszych w Polsce. Wykorzystuje się go w produkcji coca-coli i słodczy Wedla. Ale od 2004 roku Anglicy zaczynają ograniczać liczbę zatrudnionych. W ramach odprawy proponują pracownikom z działu transportu samochody z cukrowni. Mogą rozkręcić własną działalność gospodarczą. Kilka osób próbuje, ale nie wszystkim się udaje.

► Pracownik ВНР, 63 lata. W cukrowni pracował jego teść i wuj:  
– Mój sąsiad wziął dwa samochody. Jeden rozbił, drugi mu ukradli.  
Interes padł. Jakiś czas szukał tu pracy, ale w końcu się poddał.  
Wyjechał z rodziną do Anglii, kilka lat już tam siedzą.

W wyniku trwającego dziesiątki lat dofinansowywania rodzimej produkcji cukru przez Unię Europejską państwa członkowskie kupują go tylko na rynku wewnętrznym. To ogranicza możliwości tej branży w krajach rozwijających się, co wywołuje sprzeciw Światowej Organizacji ds. Handlu. W rezultacie w 2006 roku wdrożona zostaje unijna reforma wspólnotowego rynku cukru, której częścią jest ograniczenie produkcji. Anglicy zaczynają kupować fabryki w Chinach i Indonezji, stopniowo wycofując się z inwestowania w Polsce. Obecnie żadna z dziewięciu cukrowni, które należały do British Sugar, nie produkuje cukru.

#### „MAZURY” I „DWORASY”

Równoległe z budową części fabrycznej rusza budowa tej mieszkalnej, zwanej Osadą. Pracownicy fizyczni wprowadzają się do drewnianych budynków, a umysłowi do murowanych. Mieszkańcy mówią na nie „dwanastki”, bo tyle jest w nich mieszkań. Obok „murowanek” powstaje dom mieszkalny dla dyrekcji, księgowości i sekretariatu. Okala go park.

► Inspektor surowcowy, 81 lat. W cukrowni pracował jego dziadek, ojciec, szwagierka i szwagier:  
– Tuż przed wojną był tam piękny kort tenisowy. Często grały na nim córki ówczesnego dyrektora. Poza dyrekcją nikt nie miał wstępu na ten teren, ale czasem brały młodego chłopaczka, żeby im piłki podawał. Jak kończyły grać, to dawały mu pięć złotych. Ile to było pieniędzy na tamte czasy! Słodka bułka kosztowała pięć groszy, kilogram słoniny dwa złote.

Do pracy w cukrowni potrzebni są fachowcy. Najłatwiej znaleźć ich na tam, gdzie istnieją już jakieś zakłady. Przyjeżdżają więc z Lubelskiego, Mazowsza, Kielecczyny, Wielkopolski. Niektórzy wymowę mają jakąś inną, autochtoni mówią na nich „Mazury”. I choć większość pracowników fabryki pochodzi z okolic Krasinca i Przasnego, czyli z Mazowsza, to określenie nadal funkcjonuje.

Pojawienie się przybyszów dzieli mieszkańców na dwie grupy. Linię graniczną stanowi Kościół św. Stanisława Kostki. Oddziela od siebie część zamieszkałą przez „Mazurów” od tej, w której żyją „dworasy”. Tak określa się miejscowych pracujących w tutejszym folwarku. Początkowo przyjezdni nie wchodzą w bliższe relacje z „dworasami”. Zawierają małżeństwa tylko między sobą. W cukrowni pracują całymi rodzinami i boją się konkurencji.

► Księgowa, 79 lat. W cukrowni pracował jej ojciec i szwagier:  
– Ale z biegiem lat to się zmieniało. Zaczęli się mieszać, bo wiadomo, miłość czym innym się kieruje. Ja na przykład byłam „Mazurką”, a mój mąż „dworasem”. Teraz to już wszyscy swoi.

Mimo że do Ostrowitego przyjechało kilkadziesiąt rodzin, oboje z trudem przypominają sobie nazwiska dawnych pracowników. Osadnicy, którzy budowali cukrownię, nie żyją, a ich potomkowie w większości posprzedawali mieszkania po rodzicach i dziadkach.

► Elektrotechnik, 82 lata. W fabryce pracował jego pradziadek, dziadek, ojciec i siostra:

– Jak my umrzemy, to nasze dzieciaki też pewnie komuś sprzedadzą, nie będą tutaj mieszkać. Pracy nie ma, po co mieliby się tu przeprowadzać?

### RAJ UTRACONY

Osada stanowi we wsi punkt orientacyjny: „za Osadą w prawo i trochę pod górkę”, „no to musi pani przejechać Osadę i dalej w dół i w lewo”, „na Osadzie pani powiedzą, bo ja nie wiem”. Po prawej stronie drogi stoją budynki pocukrownianej portierni. Obok sklep wielobranżowy „ABC” i nieczynna remiza strażacka. Naprzeciwko konkurencyjny es, dawny dom dyrekcji cukrowni, nazywany przez mieszkańców „Pałacem” i otaczający go park. Nieopodal widać domy mieszkalne byłych pracowników i zabity dechami Dom Kultury. Sklepy wydają się centralnym punktem tego miejsca. Wokół nich orbituje zwykle kilku mężczyzn. Sączą leniwie napoje, chyba się nudzą. Jest gorąco, powietrze stoi. Niedaleko starsza pani wiesza z trudem pranie. Nawet z pobliskiego placu zabaw nie dochodzą żadne odgłosy. Ponoć we wsi kiedyś dzieci było więcej. Całymi bandami się bawiły.

Dawniej wszystko kręciło się wokół fabryki. Szczególnie w latach 50., choć okres prosperity trwa do końca lat 70. Niezwykle prężnie działa wtedy fabryczny Dom Kultury, w którym zatrudniony jest kierownik, jego zastępca i sprzątaczką. W budynku mieści się kino, organizowane są koncerty. Występuje tam nawet Eleni. Jest też świetlica, w ciągu dnia pełni funkcję kawiarni, a wieczorami służy za miejsce do potańcówek. Ludzie mają gdzie wyjść, porozmawiać, napić się. Przy cukrowni działa grupa teatralna, chór i drużyna piłkarska.

Anglicy zamknęli Dom Kultury w latach 80. Nie byli zainteresowani inwestowaniem w lokalne życie kulturalne.



CUKIER KRZEPI

► Pracownica sezonowa, 90 lat. W cukrowni pracował jej ojciec, mąż i szwagierka:

– Jestem schorowana, więc tylko siedzę i czekam końca. Przez tę bezczynność zaczęłam wspominać młodość. Wciąż myślę o ludziach, z którymi pracowałam. Zastanawiam się, gdzie teraz są ich dzieci, co robią. Dobrze mieliśmy. Od cukrowni dostaliśmy mieszkania, nie płaciliśmy za prąd, wodę i węgiel.

Praca w fabryce wzbudza zazdrość. Cukrownicy są w lepszej sytuacji niż ci, którzy muszą utrzymać się z małego kawałka ziemi. Dostają regularne wynagrodzenia. Do cukrowni trudno się dostać, bo pracę zwykle dziedziczą dzieci i wnuki pracowników. One również mają lepsze życie niż ich rówieśnicy. Do rypińskiej szkoły zawozi i odwozi je telega, drewniany wóz konny. Cukrownia kupuje im podręczniki, zeszyty i przybory szkolne.

Pracownicy dostają też niewielkie, pięćdziesięcioarowe poletka. Dzięki temu mogą hodować świnię, kury i gęsi. Fabryka codziennie rozwodzi cukrownikom po kilkadziesiąt kilogramów wystodków, czyli odpadków powstających podczas produkcji cukru. Stanowią doskonałą paszę dla zwierząt. Wiele osób zatrudnionych w fabryce trzyma też krowy. Wypasają je na placu fabrycznym. Sprzedają nadwyżki mleka, napędzając rozwój mleczarstwa. W efekcie w 1926 roku powstaje Spółdzielnia Mleczarni Parowej „Rotr” w Rypinie.

Na terenie fabryki mieszkają też owce i barany. Zjadają trawę i chwasty rosnące wokół budynków produkcyjnych.

► Pracownica kadr, 81 lat. W cukrowni pracował jej pradziadek, dziadek, ojciec, mąż, brat i trzech szwagrów:

– Mój ojciec pracował na zmiany w kotłowni. Byłam może w trzeciej klasie podstawówki, poleciałam zanieść mu kolację. W laboratorium pracownicy robili czasem cukierki, bo w sklepach nie było. Kazał mi poczekać, a sam poszedł po stodycze. Stoję więc sobie przy wejściu do kotłowni, aż tu nagle otwierają się frontowe drzwi. A przez nie wparowuje baran! Miał ogromne rogi, przeraziłam się na amen. Jak dałam dyla, to aż się za mną kurzyło.

DROGA DONIKAD

Po pierwszej wojnie światowej powstaje kolej wąskotorowa z Ostrowitego do Brodnicy. Miasto do 1920 roku należy do Prus Zachodnich, intensywnie inwestujących w rozbudowywanie sieci kolejowej.

Wąskotorówka ułatwia przewożenie dużych ilości węgla, kamienia wapiennego, melasy i buraków.

► Kierowca, lat 75. W cukrowni pracowała jego matka i syn:

– Wzdłuż torów są bardzo ładne widoki. To jest w ogóle urokliwy teren, z jeziorami i lasami. Kolejka ściągnęłaby turystów. Ale złomiarze się do niej dorwali i wszystko porozkradali.

Wąskotorówka figuruje jako zabytek od 1988 roku. Jest ostatnią kolejką cukrowniczą w Polsce. I jedną z ostatnich wąskotorówek w kujawsko-pomorskim. Ale przez ponad dwadzieścia lat nikt się nią nie interesuje. Podobno brakuje pieniędzy na jej utrzymanie. Stoi i niszczeje. Jest to wystarczający powód, by wojewódzki konserwator zabytków wniósł o skreślenie ostrowickiej kolejki z rejestru w 2011. Zaniedbania powodują, że „ulega zniszczeniu w stopniu powodującym utratę jej wartości historycznej”.

Po zamknięciu cukrowni w 2008 roku właściciele dają pracownikom rok na wykupienie działki lub mieszkania. Część jedzie szukać pracy do Anglii, Irlandii, Norwegii czy Niemiec. Kobiety przeważnie zatrudniają się jako opiekunki osób starszych. Jeśli wyjeżdżają samotnie, często wiążą się z tamtejszymi. Uczą się języków, kupują domy. Nie planują powrotu do Polski. Nie mają do czego. Najczęściej jednak emigrują mężczyźni, żeby utrzymać rodzinę. Załapują się do prac remontowych, w budowlance, ogrodnictwie.

► Pracownik ВНР, 65 lat. W cukrowni pracował jego teść i wuj:

– Osada jest, a ludzie nie mają roboty, więc wyjeżdżają. Rzadko odwiedzają rodziny, choć jak najwięcej zarobić. A wie pani do czego rozłąki doprowadzają?

#### POGRZEB CUKROWNI

#### W OSTROWITEM

Zamknięcie fabryki wywołuje protesty wśród pracowników. Pod bramą układają ze zniczy napis „koniec”. Wierzą, że uchowają się chociaż budynki i magazyny budowane przez ich pradiadków.

► Laborantka, 76 lat. W cukrowni pracował jej pradziadek, dziadek, ojciec i córka:

– Ojciec pokazywał mi łąki, na których pradziadek wyrabiał cegły. Nosił je w takim specjalnym plecaku, ponad dwadzieścia cegieł mógł udźwignąć na raz.

Chodzą słuchy, że w pofabrycznych budynkach ma powstać muzeum cukrownictwa. Byłoby drugim w Polsce. Jednak angielscy właściciele dostają od Unii Europejskiej kilkanaście milionów złotych

na likwidację fabryki i rekompensaty dla pracowników. Część starych, przedwojennych maszyn trafia na złom. Część zostaje przeniesiona do innych cukrowni.

Zamknięcie zakładu wywołuje też wzburzenie na forach internetowych. Jeden z komentujących – w dyskusji dotyczącej rozbiórki – lamentuje:

*Przy wieka głuchym odgłosie i modłach za a nie przeciw  
rytmicznym ale koślawym i chwiejącym kroku  
wciąż brzmiących bolesnym echem walonych murów  
trzaskającej w mechanicznym uścisku  
a kaleczącej nas i nasze jestestwo stali  
dźwięku pękających szyb  
słyszanych w najgłębszych zakątkach naszych mieszkań  
pokory i dumy, zawstydzenia z tytułu bezradności  
brzmi „miła i grzeczna” rozmowa o biznesie.*

„Pałac” i park kupuje właściciel rypińskiego przedsiębiorstwa meblowego „Rejs”. Po wsi chodzi plotka, że chce tam stworzyć dom starców dla Niemców. Teren wokół budynku jest już uporządkowany. Miejscowi nie mają tam wstępu.

#### MIT ZAŁOŻYCIELSKI

Jest rok 1899. Kilku dziedziców z Ostrowitego, Żałem, Ugoszoza, Ruszkowa i Nadroża uczestniczy w tajnym spotkaniu. Spiskują przeciwko rosyjskiemu zaborcy. Przytępuje ich carska policja, ponoć ktoś ich zakablował. Z obawy przed aresztowaniem za działalność konspiracyjną kłamią, że planują rozbudować przemysł w regionie.

- Co wy tu robicie?!
- Myślimy budować cukrownię.
- Budujcie, ale musicie zdążyć w rok.

O nielegalnym zebraniu dziedziców mówią wszyscy. Wielokrotnie powtarzana opowieść z czasem staje się legendą. Dziś traktowana jest jak fakt historyczny. Bez względu na okoliczności, słowo staje się czynem. W 1900 roku powstaje cukrownia w Ostrowitem, wsi leżącej pomiędzy Rypinem a Dobrzyniem nad Drwęcą. Inicjatorami są dziedzice dużych majątków, między innymi Antoni Borzewski, Ludwik Zieliński i Stanisław Grotowski.

O wydarzeniu pisze gazeta „Echa Płockie i Łomżyńskie. Pismo poświęcone głównie sprawom miejscowym”: „Okolica, w której ma stanąć

cukrownia, jest dotychczas bardzo upośledzoną pod względem handlo-  
wo–przemysłowym pomimo że swoją głębą, kulturą i gospodarstwami  
postępowemi stoi najwyżej w gub. płockiej”.

100

.....

[Działyń]

Droga donikąd.

Byłe tereny cukrowni w Ostrowitem

fot. Jędrzej Lichota

101

.....

Pozostałości po cukrowni

w Ostrowitem

fot. Jędrzej Lichota

102

.....

Krajobraz pod napięciem:

pozostałości po cukrowni

w Ostrowitem

fot. Jędrzej Lichota



W reportażu wykorzystano artykuły z gazety „Echa Płockie i Łomżyńskie”, książkę *Stulecie cukrowni Ostrowite 1900–2000* (M. Krajewski, Rypin: Dom Wydawniczy Verbum 2000), *Rozbiórka cukrowni Ostrowite* – komentarz internauty w dyskusji dotyczącej rozbiórki cukrowni (<http://forum.pomorska.pl/rozbiorka-cukrowni-ostrowite-kto-za-nia-odpowiada-t56088/page-25>) oraz Ustawę z dnia 23 lipca 2003 r. o ochronie zabytków i opiece nad zabytkami.



migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

2 2 2

WYSTAWA  
24.09.—27.11.2016 wt.—nd. / g. 12-20

# wszyscy jesteśmy migrantami

Lista polskich emigrantów  
z końca XIX wieku  
AMERYKI

\_\_\_\_\_ Wystawa

www.czamek.pl  
Centrum Kultury ZAMEK w Poznaniu

migracyjnej  
pamięci

3 2 3

3 2 3





**wszyscy  
jesteśmy  
migrantami**











# BLISKOŚĆ NA

ogrzebie, bo jus nie zastane  
uw wylał jak my go brat

z Leszkowski z Cleveland, Ohio do sony Józefy  
Pachtarnia, pow. Sierpc, 25 I 1891

będę, bo my się nawet  
spiał na bapci łusku.  
ował, takim się ziem  
dziękuję ci mój kochany  
o syna (...). Najprzód  
ro syna, dziękuję i tobie  
ly kochanego syna asz

z Grand Rapids, Mich. do siostrzeńca  
(adres niezany), 17 I 1891

pare słuw i donieś  
ch i czy ta najmlotrza  
ie tęschno bes dzieci

grzha, Pa. d Marianny Borkowskiej  
wo, pow. Calub-Dobrzyń, 21 I 1891

dzieci, bo jeżeli  
ć do siebje,  
myslunek o nich,

do Antoniego Binkowskiego  
kanin, pow. Rypin, 3 XII 1890







Pani Cłowaczowska z dziećmi  
Wielki Komórk, Kociewie, ok. 1910  
Muzeum Etnograficzne w Toruniu

(...) a teraz opisze swoją tęskność jako n  
do ciebie, kochana żono, fruiał bym [

Zono (...), donieśłaś mi listowni  
josz nie opisze swój boleści na  
chyba pękło od zalu za to co j

I proszę kochaną teściu  
jest jej już dość trudno  
Wierz mi, że przy każ

A teraz zawiad  
sobie perswa  
i tęsknotą s  
niezadowol  
tylko żon

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

3  
3  
2

Passagier-Annahme  
für die  
Schneldampfschiffe des Norddeutschen Lloyd.

**F. Missler**  
*Bank- und Geld-Wechsel.*

30 Bahnhofstrasse 30 Grand Street 231  
**BREMEN. NEW-YORK.**

Lahn, Ems, Werra, Trave, Eider, Saale, Aller, Havel, Fulda, Spree  
8-9 Tage

**BREMEN**  
nach  
**AMERIKA.**

Diese Karte ist bei Ankunft in Bremen vorzuzeigen.

Archiv. 1881  
1874

Wystawa



72



Do przybyciu na dworcu kolejni żelaznej w Bremen  
trzeba głośno wołać imię „Missler“ i karte tę  
pokazać.

אין 8 ביז 9 טאג  
פאן ברעמען דירעקט נאך אמעריקא

**F. Missler, Bremen,**  
obrigk. conc. General-Schiffsexpedient.  
**30 Bahnhofstrasse 30.**

ביליגסטער ביללעטפערקויף  
מיט דייטשען פאסט שנעל דאמפשיפפען  
מאן ביטקעט, אינטערנענעס קיינע אנדערע  
אנדערסקארטען אנצוגעהקען אינד דורכאויס מיט  
אונבעקאנטען לייטען זיך נישט איינצולאסען  
זיין גאסטהייזער מיטצוגעהען, דעכן עס איזט  
שאן אפט פארנעקאממען, דאס אינטערע פאסט  
סאגערע אין פרעמדען הייזער נעקאממען זינד  
אינד דאדורך דאס שיפף פערזוימט האפען.  
מאן ביטקעט בייא אנקונפט אין ברעמען  
זויף דעם באהנהאף, דיעזע קארטע זיין דער  
האנד צו האטען אונד מיססלער צורופען אינטערע  
אנגעשטעללעטען זינד שטעטס אס באהנהאף אג  
וועזענר, פאסטאגערע אין עמפאנג צו געהקען

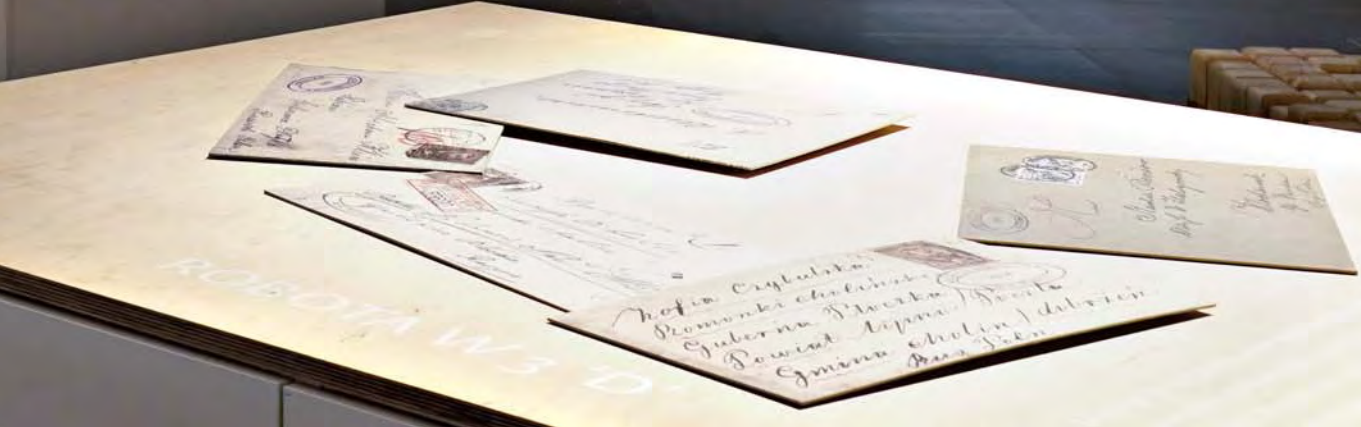
(Co)zytkiwanie  
pamięci  
migracyjnej  
3 3 3











ROBOTA W3 D

Местно Сыздана  
Ромонки елчинск  
Губерния Псковка / Ровно  
Повинд Липна / дел рич  
Гмина еболна / дел рич  
Бас Пел...

С. С. С. С.  
С. С. С. С.  
С. С. С. С.



migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

∞ ∞ ∞

Wystawa













migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

2 4 3

Wystawa



WSZYSCY JESTEŚMY MIGRANTAMI

3  
4  
3



(O)zyskiwanie  
pamięci migracyjnej

3  
4  
3

Wystawa

migracyjnej

(Od)zyskiwanie  
pamięci

3  
4  
4

Wystawa



3

4

5

(O)dzyskiwanie  
pamięci

migracyjnej

3

4

5

Wystawa

Źródła fotografii  
i dokumentów archiwalnych:

Library of Congress

Prints and Photographs Division Washington, D.C.

nr fot.: 2, 3, 7, 8, 9, 10, 11, 15, 16, 17, 18, 23, 24,  
25, 26, 27, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 42, 43, 68, 69, 70, 82

The New York Public Library

nr fot.: 6

Muzeum Etnograficzne w Toruniu

nr fot.: 5, 12 oraz fot. na s. 338, 339, 342, 344

Polona – Cyfrowa Biblioteka Narodowa

nr fot.: 40, 41

Archiwum Państwowe w Warszawie

I i IV strona okładki, sygn. 106, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 4, sygn. 97, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 13, 14, sygn. 47, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 20, 28, 52, sygn. 103, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 29, 45, sygn. 106, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 44, sygn. 257, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 46, sygn. 373, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 47, sygn. 399, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 48, sygn. 469, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 49, sygn. 345, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 50, sygn. 243, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 51, sygn. 129, zbiór Listy Emigrantów

nr fot.: 53, sygn. 114, zbiór Listy Emigrantów

fot. na s. 332, 333, sygn. 436, zbiór Listy Emigrantów

Wikimedia Commons

nr fot.: 38

Dokumentacja fotograficzna wystawy – Tomasz Koszewnik  
za wyjątkiem fot. na s. 340–341 – Maciej Kaczyński, Centrum Kultury ZAMEK



**— Dużo wyjeżdżało, dużo! — toczy się opowieść nad paczką kabanosów i sokiem porzeczkowym w chłodnej kuchni. — Jedni za chlebem, a inni, żeby nie iść do carskiego wojska. Na wiele lat. Więc uciekali tam, do Ameryki. Wtenczas była taka umowa z księdzem. Wypisywał człowiekowi akt zgonu, w księgach figurowało i już go nie szukali. Bo nie żył.**

*Przejęciowe  
zaćmienie*

fragment reportażu  
Michałiny Januszewskiej